

Kły i Pazury

Masterton Graham

Książka II z Rook



calibre 0.9.43

Graham Masterton

Kły i pazury

Rook II: Tooth And Claw

Przełożył Marcin Krygier

WEST GROVE COMMUNITY COLLEGE II KLASA SPECJALNA

Greg Lake

Amanda Zaparelli

Sue-Robin Caufield

Seymour Williams

Sherma Feldstein pusta ławka

Russell Gloach

Sharon X

Beattie McCordic Ray Vito

Cathenne Biaty Ptak

John Ng

Mark Foley

Muffy Brown

Ricky Herman

pusta ławka

David Littwin

Rita Munoz

Titus Greenspan III

Jane Firman

Jim Rook

Rozdział I

Po wyjściu z kuchni Jim ujrzał swego nieżyjącego dziadka siedzącego w zielonym fotelu po drugiej stronie pokoju. Dziadek był ubrany tak samo jak w dniu, w którym Jim widział go po raz ostatni: miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie z szelkami. Popołudniowe słońce błyszczało w szklach jego okularów, a poplamione tytoniem wąsy przypominały ryżową szczotkę.

– Hej, Jim. Jak leci?

– To ty, dziadku? – zdziwił się Jim. W jednej dłoni trzymał puszkę schlitza, w drugiej kanapkę ze szwajcarskim serem. Jego żółtobrązowa kotka Tibbles plątała mu się między nogami.

– Coś nie tak, chłopcze? – zapytał dziadek i uśmiechnął się. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Jim odstawił piwo i odłożył kanapkę, po czym podszedł do dziadka, ale nie dotykał go.

Niewiele wiedział o wizytach z zaświatów, jednak zdawał sobie sprawę, że kontakt fizyczny wystarczyłby, by staruszek rozplynał się w mgnieniu oka. Zjawy były tylko kombinacją gry świateł i wspomnień.

Blask słońca padał na twarz dziadka, rozjaśniając jego szarozielone oczy, oświetlając pomarszczoną szyję i krótkie siwe włosy, strzyżone zawsze tak samo przez fryzjera na Main Street w Henry Falls. Nawet ciemne znamię na górnej wardze było takie jak zawsze.

– Nie musisz się niczego obawiać, chłopcze. Zajrzałem jedynie z przyjacielską wizytą. Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać o dawnych czasach, a może trochę i o przyszłości.

Jim przycisnął dłoń do piersi. W ustach mu zaschło, serce biło jak oszalałe.

– Nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze cię zobaczę – powiedział. – A już na pewno nie w moim mieszkaniu.

– Przecież posiadasz ten dar, Jim. Możesz zobaczyć każdego spośród żywych i umarłych

Wiesz o tym.

– Ale potrzebuję trochę czasu, by się do tego przyzwycząić – odparł Jim. – Hej, może piwko?

– zaproponował.

Dziadek z żalem pokręcił głową.

– Moja wizyta u ciebie to wszystko, na co mogę sobie pozwolić – oświadczył. – A piwo...

ha, ta przyjemność należy już do przeszłości.

Jim przysunął do jego fotela drugi, rozklekotany brązowy rupiec wypchany żółtą pianką, usiłującą wydostać się na wolność przez niezliczone przetarcia obicia.

– Powiedz mi, jak tam jest? – poprosił – Widujesz babcię? No wiesz, o co mi chodzi Czy to niebo, czy co innego?

– Nie wiem, czy można nazwać to niebem – uśmiechnął się dziadek. – Każdy dzień jest tam inny. Czasami po przebudzeniu się stwierdzasz, że masz dziewięć lat, jest lato i świeci słońce.

Kiedy indziej budzisz się stary, chory, deszcz spływa po szybach, i aż chce ci się umrzeć drugi raz

– A babcia?

Staruszek potrząsnął głową.

– Nieczęsto się spotykamy. Widzisz, kiedy człowiek umiera, próbuje pozalátwiać nie dokończone sprawy i to, czego nie udało mu się osiągnąć.

– Przecież osiągnąłeś wszystko, co chciałeś – powiedział Jim. – I byłeś najwspanialszym dziadkiem na świecie.

– To tylko tak wyglądało, Jim. Gdy miałem dziewięć lat, nie udało mi się nawet zebrać wystarczająco wiele kuponów z pudełek Ralstona, by dostać firmowego kolta. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, szkolna gwiazda futbolu odebrała mi dziewczynę, a gdy pracowałem dla

General Electric, trzy razy pominięto mnie przy awansie.

– Próbujesz przedstawić siebie jako nieudacznika. Nigdy tak nie było. Zawsze uważałem cię za zwycięzcę.

– Naprawdę? – zapytał dziadek z niedowierzaniem, lecz widać było, że jest zadowolony.

– Oczywiście. I nadal tak uważam – odparł Jim. – Wiesz, to, że już nie żyjesz to żadna różnica.

– Taka, że nie mogę cię dotknąć, chłopcze, nie mogę cię przytulić. Ale jedno mogę: mogę udzielić ci ostrzeżenia.

– Ostrzeżenia?

– Właśnie. Przynajmniej tyle martwi mogą zrobić dla żywych. Możemy zajrzeć za najbliższy narożnik, że się tak wyrażę, i zobaczyć, co się zbliża.

– Więc co się zbliża, dziadku?

Dziadek oblizał wargi i powiedział.

– Nadciąga ze wschodu. Jest mroczne, bardzo stare i takie jakieś „szczeciniaste”, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Więcej w nim dzikiego zwierzęcia niż człowieka, ale jest sprytnie jak człowiek i tak samo okrutne.

– Co to u licha jest?

– Nie widzę tego wyraźnie. Ale ostrzegam cię, chłopcze zbliża się szybko, a kiedy już przybędzie, niektórzy ludzie pożałują, że się w ogóle urodzili.

Nie powiedział nic więcej – nie chciał albo nie mógł Jim pytać: „co to?” i „skąd nadejdzie?”

– ale dziadek tylko rozkładał ręce.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę wspominając czasy, gdy pływali razem w gliniance nieopodal jego domu. Rozmawiali o dziadkowej dumie i radości, purpurowo–śmietankowym pontiaku streamliner sedan, którego Jim polerował zawsze tak długo, dopóki nie zaczął

wyglądać, jakby świeżo wyjechał z samochodowego salonu Potem zaczęli dyskutować o futbolu

– ale Jim nagle spojrzał na zegarek i stwierdził.

– Mój Boże już jestem dwadzieścia minut do tyłu. Dzisiaj West Grove gra z Chabot, a właśnie jeden z moich uczniów wszedł do drużyny.

– Cóż, w takim razie zacznij się zbierać – odparł dziadek. Podniósł się i wyciągnął rękę, jakby chciał objąć Jima na pożegnanie. – Mam nadzieję, że twój chłopak dobrze się spisze.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytał Jim.

– Nie wiem. Po śmierci niektóre sprawy nie są już takie, jak za życia. Chyba są bardziej nieprzewidywalne. – Po chwili dodał: – Nie zapominaj o moim ostrzeżeniu, dobrze? Miej oczy otwarte i nadstawiaj ucha. Być może zdołasz to usłyszeć, zanim cokolwiek zobaczysz.

– Dzięki, dziadku – powiedział Jim, nawet nie próbując ukryć łez cisnących mu się do oczu.

Staruszek odwrócił się i znikł, jakby się rozplynął w powietrzu. Jim stał bez ruchu, wpatrując się w miejsce, w którym jeszcze przed sekundą znajdował się jego dziadek, dopóki kotka Tibbles nie wskoczyła na oparcie drugiego fotela i nie zaczęła pocierać łbem o jego rękę.

– Pewnie chcesz jeść, ty nienasycona kupo futra – mruknął. – Zaraz ci dam, a potem muszę lecieć. Russell nigdy by mi nie wybaczył, gdybym opuścił jego pierwszy mecz.

Zatrzymał się przy szkolnym boisku z piekielnym zgrzytem opon, któremu towarzyszyły dwa wystrzały z gaźnika jego wysłużonego rebela SST. Był spóźniony ponad pół godziny, lecz ze zdumieniem stwierdził, że mecz z Chabot jeszcze się nie rozpoczął. Wysiadł z samochodu i przepchnął się przez tłum do Bena Thunkusa, trenera drużyny. Ben był niskim, krępy facetem o krótko ostrzyżonych jasnych włosach. Rozmawiał właśnie z kilkoma graczami, wśród których był też Russell Gloach. Wszyscy chłopcy wyglądali na przygnębionych i oszołomionych, i wszyscy wciąż jeszcze mieli na sobie dzinsy i koszulki.

– Co jest grane? – zapytał Jim – Odwołaliście mecz czy co?

– Nie, ale doszło do aktu wandalizmu – odparł Ben – Jacyś goście włamali się do szatni i podarli chłopakom stroje. Porozbijali także wszystkie kaski.

– Chyba żartujesz. Kiedy to się stało?

– Nie wiemy Pewnie dziś rano między jedenastą a jedenastą piętnaście. Żeby to szlag!

– Domyślasz się, kto to mógł być?

– Skądże. Sądząc po zniszczeniach Godzilla. Sam zresztą zobacz.

Martin Amato, kapitan drużyny, powiedział.

– Drugi zespół pożyczycy nam stroje, ale kłopot w tym, że większość z nich jest w domu albo w bagażnikach samochodów. Nie zaczniemy wcześniej niż za godzinę.

Martin był wysokim przystojnym chłopakiem o kwadratowej szczęce. Miał kędzierzawe jasne włosy i ciemnobrązowe oczy. Mówił powoli, starannie dobierając słowa. Nie należał może do szczególnie lotnych, ale był jednym z najlepszych kapitanów w historii West Grove. Gdyby reszta graczy była równie dobra, drużyna miałaby na swoim koncie same zwycięstwa, na razie jednak dosłużyła się tylko przydomku „Partacze”.

– Czy ktoś wezwał policję? – zapytał Jim.

– Nie wydaje mi się, by doktor Ehrhchman ze szczególnym entuzjazmem przyjął wizytę ekipy dochodzeniowej podczas meczu piłkarskiego – mruknął Ben.

– W takim razie sam rzucę na to okiem. Na wypadek, gdybym już do was nie zdążył wrócić, życzę zwycięstwa, Martin. Tobie też, Russell.

Russell Gloach pozdrowił go gestem dłoni. Był największym uczniem, ważył prawie sto dwadzieścia kilo i przez całe lato toczył zmagania z samym sobą, by ograniczyć ilość pochłanianych ciastek i hamburgerów, popracować nad kondycją i zakwalifikować się do drużyny. Wciąż jeszcze był zbyt powolny, ale Martin wziął go ze względu na wysiłek, jaki chłopak wkładał w treningi, a także dlatego, że zatrzymywał napastników przeciwnika nie gorzej

niż spory mur.

W drodze do budynku Jim omal nie zderzył się z dyrektorem szkoły, doktorem Ehrlichmanem, biegnącym do swojego gabinetu. Dyrektor miał na sobie jasny garnitur w drobną kratkę i sprawiał wrażenie bardzo zaaferowanego.

– Doktorze, właśnie usłyszałem, co się stało w szatni – powiedział Jim.

– Przepraszam cię, ale nie mam teraz czasu – odparł Ehrlichman. – Muszę wykonać bardzo ważny telefon.

– Ben Thunkus powiedział mi, że nie wezwał pan policji.

– Wolałbym najpierw przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie. W tym semestrze policja odwiedzała nas wystarczająco często. Musimy mieć na względzie naszą reputację.

– Chyba ma pan rację, doktorze Ehrlichman – przyznał Jim. Przecisnął się przez dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do szatni chłopców. Na zewnątrz stało paru uczniów, a sama szatnia pilnowana była przez szkolnego strażnika w brązowym mundurze, pana Wallechinsky’ego, który blokował przejście ze splecionymi na piersiach ramionami.

– Dzień dobry, panie Rook – odezwał się do Jima.

– Jak leci panie Wallechinsky; Przyszedłem trochę się tu rozejrzeć.

– Muszę pana uprzedzić, panie Rook, że kiedy pan to zobaczy, pęknie panu serce.

– Domyśla się pan może, jak to się mogło stać?.

– Aż do jedenastej wszystko było w porządku. – Wallechinsky pokręcił głową. – A pół godziny później cała ta cholerna szatnia wyglądała jak po eksplozji bomby.

– I nikt niczego nie słyszał? Przecież musiał tu być straszny rumor.

– Nikt niczego nie słyszał i nie widział. Ostatnią osobą, jaka kręciła się w pobliżu szatni, była ta pańska Indianka.

– Amerykanka, panie Wallechinsky, rdzenna Amerykanka.

– Panie Rook, niech pan da spokój. Ja jestem Polakiem, ale jeśli pan chce, może mnie pan nazywać „Polaczkiem”.

– W porządku, ale Catherine Biały Ptak jest rdzenną Amerykanką. Albo Navajo – Jim zamilkł na chwilę, a potem dorzucił. – Ale czego ona tutaj szukała? Zapytał pan ją?

– No chyba. Wróciła po portfel Martina Amato. Chyba wie pan, że chodzą ze sobą?

– Oczywiście – Jim skinął głową.

Zawsze starał się być na bieżąco w uczuciowych sprawach swoich uczniów. Dzięki temu łatwiej mu było zrozumieć, dlaczego któryś z nich jest przygnębiony, rozmarzony czy też szczególnie nerwowy. I wcale go nie zdziwiło, że Catherine Biały Ptak i Martin Amato chodzili ze sobą – stanowili idealną parę. Jim sam zainteresowałby się Catherine, gdyby tylko był o jakieś piętnaście lat młodszy i zdecydował się na złamanie swojej żelaznej zasady, by nigdy nie nawiązywać intymnych związków ze swoimi uczennicami. Zresztą jeśli nawet pominąć aspekt moralny, był to najprostszy sposób na zafundowanie sobie wizyty w rejonowym biurze do spraw zatrudnienia.

– Catherine również niczego nie zauważyła? – zapytał po chwili.

– Nic a nic. A sama nigdy nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego.

– Niech mi pan to pokaże – zażądał Jim.

Wallechinsky otworzył drzwi szatni i wpuścił Jima do środka. We wnętrzu było ciemno, bo wszystkie świetlówki były roztrzaskane, a ze ściany, w miejscach, z których wyrwano trzy umywalki, tryskała woda. Stalowe szafki leżały na posadzce. Wandale nie ograniczyli się tylko do ich przewrócenia. Wszystkie były powyginane i pozgniatane, a trzy czy cztery zostały kompletnie rozprute.

Wszędzie poniewierały się strzępy strojów piłkarskich. Były to nowiutkie

zielono-pomarańczowe kostiumy ufundowane przez firmę West Grove Screen & Window za

sumę ponad trzech i pół tysiąca dolarów. Teraz pozostały z nich jedynie nasiąknięte wodą szmaty. Osłony barkowe i kaski podzieliły ich los. Jim oszołomiony schylił się i podniósł jeden z nich, przypominający wielki rozdeptany cukierek M & M. Wiedział, że futbolowego kasku nie sposób rozbić nawet młotem pneumatycznym.

Ściany szatni również nosiły ślady dewastacji. Kafelki z białej glazury poznaczone były głębokimi bruzdami. Jim podszedł bliżej i przesunął palcami wzdłuż jednego z wyłobień. Było ich pięć i biegly równolegle, niczym ślady pazurów. Ale nawet dorosły niedźwiedź grizzly nie byłby w stanie tego dokonać.

Ben Thunkus wszedł do pomieszczenia i przystanął obok Jima.

– Kompletna ruina, no nie?

– Uważam, że powinniśmy wezwać gliny – odparł Jim. – Ten, kto to zrobił, musiał chyba wpaść w amok. Poza tym musiał mieć ze sobą jakieś szczególne narzędzie. Pomyśl tylko, co by się mogło stać, gdyby mu ktoś przeszkodził. – Rzucił zniszczony kask na podłogę. – Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego ktokolwiek miałby demolować szkolną szatnię? No, powiedz sam, po jaką cholere?

– Mozę ktoś z Chabot chciał mieć pewność ze West Grove przegra?

– Chyba żartujesz. Chłopaki z Chabot wdeptaliby Partaczy w ziemię nawet wtedy, gdyby grali w papierowych workach na głowie. Wcale nie musieliby uciekać się do takich sposobów.

– Nie zgadzam się z tobą, Jim, West Grove ma dużą szansę wygrania tego meczu. Albo przegrania niewielką liczbą punktów.

– Być może, Ben. Przepraszam. Ale nadal tego nie pojmuję.

Ben zaczął podnosić powywracane szafki, a Jim stał pośrodku szatni rozglądając się dookoła.

Był pewien, że coś wyczuwa, choć nie potrafił tego nazwać. Przypominało to głęboką wrogość – nieomal nienawiść.

– Czujesz coś? – zapytał Bena.

Ben mocował się z wywróconą ławką, czerwony z wysiłku.

– Czuję wściekłość, tego możesz być pewien.

– To wiem. Ale czy wyczuwasz coś tu, w tym pomieszczeniu?

Ben wyprostował się i rozejrzał wokół siebie.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi

– Hmm Ja chyba też nie Pomóc ci?

Ben nie odpowiedział, pochłonięty szarpaniem za wygięte drzwi szafki.

Jim pozostawił Benowi sprzątaną zdemolowaną szatnię i wrócił na boisko. Był piękny wrześniey dzień, bezchmurny i chłodny. Szkolne proporce trzepotały na lekkim wietrze, a orkiestra West Grove po raz siódmy grała *99 Red Ballons* z entuzjazmem meksykańskiej kapeli podwórkowej. Dopingujące zespół dziewczyny truchtały tam i z powrotem w swoich krótkich plisowanych spódniczkach, wymachując zielono–pomarańczowymi pomponami. Prowadziła je jedna z uczennic Jima, Sue–Robin Caufield. Batuta wirowała w jej dłoniach niczym wirnik śmigłowca. Jim pomachał do niej ręką, a ona odpowiedziała mu triumfalnym uśmiechem. Gdyby tylko czytała i pisała równie dobrze jak tańczy, pomyślał.

Ponownie odszukał Martina Amato. Była z nim Catherine Biały Ptak.

– Hej, panie Rook. Co pan o tym myśli? – zapytał Martin.

– Co myślę? Chyba jednak spróbuję przekonać doktora Ehrlichmana, by wezwał policję. A ty powiedz swoim chłopakom, by mieli się na baczności. Być może to tylko ktoś, kogo bawi demolowanie szatni szkolnych. Ale może to być jakiś świr, któremu się nie podobacie.

– Dlaczego? Komu może przeszkadzać szkolna drużyna futbolowa?

– Ludzie miewają dziwniejsze pomysły – odparł Jim. – Kiedyś miałem sąsiadkę nienawidzącą Lou Costello. Przez całe życie pisała do niego listy z pogrózkami.

– Ale to chyba nie mógł być żaden z uczniów, prawda, panie Rook? – zapytała Catherine.

Catherine Białe Ptaki dołączyła do drugiej klasy specjalnej zaledwie trzy miesiące temu.

Wcześniej mieszkała w rezerwacie Navajo w Window Rock, niedaleko granicy Arizony z Nowym Meksykiem, i uczęszczała do tamtejszej indiańskiej szkoły. Kiedy jej ojciec wraz z dwoma swoimi braćmi otrzymał rolę w serialu telewizyjnym *Blood Brothers* o policjantach z plemienia Navajo, przeniosła się do niego do Los Angeles.

Jej matka umarła, gdy Catherine miała piętnaście lat, ale kiedy się przedstawiała klasie, powiedziała: „Wyglądam zupełnie jak moja matka. J e s t e m moją matką”. Była bardzo wysoka, miała długie czarne włosy sięgające aż do pasa, wysokie kości policzkowe, skośne brązowe oczy i pełne, lekko wydęte wargi. Tego dnia ubrana była w niebieską koszulę w kratkę i obcisłe dżinsy, a na szyi zawiesiła srebrny naszyjnik z orłem.

– Jeżeli to rzeczywiście jeden z uczniów zapewniam cię, że go znajdziemy i ukręcimy struny do gitary z jego bebechów – oświadczył Jim.

– Moja babka potrafiła odnajdywać ludzi, którzy sprawiali innym kłopoty – powiedziała Catherine. – Używała do tego magicznych kości, które ich zdradzały.

– Tu magiczne kości nie będą nam chyba potrzebne – wtrącił Martin. – To mógł być tylko ten wielki jasnozielony facet w podartym ubraniu.

– Nie pojmuję, jakim cudem nikt niczego nie zauważył – mruknął Jim. – Sprawca musiał mieć ze sobą siekiere czy jakieś inne narzędzie. W dodatku wywracane szafki musiały narobić niesamowitego hałasu.

– Ja niczego nie słyszałam – stwierdziła Catherine. – A przecież mam doskonały słuch. Słyszę, jak trawa rośnie.

– Tak jak Indianie na filmach? – spytał Russell. – Przykładają ucho do ziemi i mówią „wiele koni tu jechać”. Potrafisz coś takiego?.

– Russell, nie wygłupiaj się – zgasił go Jim.

– Mnie to nie przeszkadza – powiedziała Catherine. – Ale uważaj, żeby moi bracia tego nie usłyszeli.

– Skończysz w charakterze jeża ze szczecina ze strzał – dodał Martin.

Szczecina, przypomniał sobie Jim. Tego słowa użył dziadek „Jest mroczne, bardzo stare i takie jakieś szczeciniaste, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli”. Prawdę mówiąc, nie rozumiał, ale nie zdołał wyciągnąć ze staruszka niczego więcej. Dziadek powiedział jeszcze tylko „sam zobaczysz”.

A jednak jakiś nieuchwytny szczegół związany z wypadkami dzisiejszego dnia – może była to owa dziwna wrogość, jaką wyczuł w szatni – ponownie przywiódł mu na myśl dziadkowe ostrzeżenie. Może to mroczne, stare szczeciniaste zagrożenie pojawiło się właśnie teraz? Mecz zaczął się kwadrans po trzeciej. Jim siedział na północnej trybunie wraz z George’em Babounsem, brodatym fizykiem, i nauczycielką geografii Susan Randall. George pochłaniał grecki kebab tak łapczywie, jakby nie jadł od trzech tygodni. Susan wyglądała jak dziewczyna z obrazu Normana Rockwella: upięte w kok ciemne włosy i różowe policzki, czerwony sweter i dzinsy z podwiniętymi nogawkami. Przez ostatnie dwa miesiące Jim i Susan widywali się od czasu do czasu, choć tak naprawdę wcale do siebie nie pasowali. Susan uprawiała aerobik i interesowała się aromaterapią oraz starymi mapami, a Jim chińszczyzną i filmami z Bruce’em Willisem. Ale Susan podobały się jego zawsze potargane ciemne włosy i oczy o odcieniu zielonego szkła butelkowego, uwielbiała też sposób, w jaki przykładął dwa palce do czoła i zaciskał powieki, kiedy usiłował się skupić. I zawsze potrafił ją rozbawić. Wiedziała również, że jest bezgranicznie oddany swoim uczniom. Któregoś dnia siedziała w ostatniej ławce w drugiej klasie specjalnej i przysłuchiwała się wysokiemu czarnemu chłopakowi recytującemu *Speaking of poetry* autorstwa Johna Peale’a Bishopa:

*Tradycyjna we wszystkich swych symbolach,
starożytnych niczym senne metafory,
dziwna, nigdy przedtem nie słyszana muzyka
trwająca nieprzerwanie,
dopóki nie zgasną pochodnie u drzwi sypialni*

Chłopak był pod wrażeniem tego, co mówił. Susan wiedziała, że kiedy zaczynał naukę w drugiej klasie specjalnej, był jednym z najbardziej agresywnych i niezdyscyplinowanych uczniów, a jego słownictwo ograniczało się do ulicznego slangu i przekleństw.

– Nigdy przedtem nie słyszana muzyka – powtórzył, kiedy już skończył. – Zastanówcie się, co to znaczy „Nigdy przedtem nie słyszana muzyka”. Kurwa, nie macie pojęcia, jak ja kocham takie wiersze.

Susan położyła dłoń na kolanie Jima. Spojrzał na nią i uśmiechnął się blado.

– Wyglądasz na zmartwionego – stwierdziła.

– West Grove znowu obrywa – Jim wzruszył ramionami.

– To nie tym się gryziesz, Jim. Zwykle przegrywamy znacznie wyżej.

– Sam nie wiem... to chyba ta afera z szatnią. Mam złe przeczucia.

– Daj spokój, odpręż się. Policja na pewno znajdzie sprawców.

– Nie byłbym tego taki pewien. – Nie mógł jej powiedzieć, że odwiedził go dzisiaj dziadek, bo po prostu by mu nie uwierzyła. Zresztą on sam z trudem w to wierzył – choć powoli zaczynał oswajać się z myślą, że potrafi dostrzegać to, co ukryte przed większością ludzi. Kiedy miał dziesięć lat, był o krok od śmierci z powodu ciężkiego zapalenia płuc, i to traumatyczne przejście umożliwiło mu postrzeganie duchów przybywających do świata żywych, by nieść pociechę, ochraniać czy też szukać zemsty.

– Wiesz, o co tu chodzi? – zapytała Susan. – Wydaje mi się, że coś wiesz.

Jim pokręcił głową.

– Już ci mówiłem, mam złe przeczucia, tylko tyle.

Na boisku Russell przez większą część meczu bezskutecznie ścigał gwiazdorów drużyny Chabot. Gdy zbliżali się do finału i kapitan Chabot, Wayne Dooly, ruszył do linii końcowej, by zaliczyć jeszcze jedno przyłożenie, Russell stanął mu na drodze. Dooly biegł zbyt szybko, by go ominąć. Potknął się, stracił równowagę i z głośnym hukiem zgniatanych ochraniaczy zderzył się z Russellem. Przez moment stał chwiejnie w miejscu, a potem – równo z końcowym gwizdkiem – runął ciężko na wznak na trawę. Kibice West Grove podnieśli triumfalny wrzask i zbiegli z trybun. Dźwignęli Russella do góry, choć trzeba było do tego sześciu chłopów, i obnieśli go wokół boiska. Jim podniósł się, klaszcząc głośno. Odkąd zaczął pracować w West Grove, nigdy jeszcze nie widział Russella równie szczęśliwego.

Martin zszedł z boiska, więc Jim i Susan podszli do niego, by mu złożyć wyrazy ubolewania.

– Mogło być gorzej – pocieszył go Jim. – Zagraliście całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

– I biorąc pod uwagę to, że jesteśmy najpowolniejszym i najniezdarniejszym zespołem w historii szkolnego futbolu. Zupełnie niewinne świnię zginęły tylko po to, by ci idioci mogli kopać ich skórąmi w niewłaściwym kierunku.

Catherine objęła Martina, pocałowała go w policzek i przytuliła się do niego.

– Wciąż jesteś moim bohaterem – powiedziała z uśmiechem.

– Jakie macie plany? – zapytał Jim. – Chyba w sali gimnastycznej szykuje się jakaś impreza.

– Raczej stypa – mruknął Martin. – Świętujemy najdłuższe nieprzerwane pasmo porażek w historii szkolnego futbolu.

– Właśnie że nie – zaprotestowała Catherine. – Będziemy świętować naszą ostatnią porażkę.

Następnym razem wygramy, prawda? I odtąd będziemy tylko wygrywać, nawet gdybym musiała użyć czarów mojej babki, by to sprawić!

– Twoja babka musiała być niezwykłą kobietą – zauważył Jim.

– Była niezwykła – potwierdziła Catherine. – Potrafiła ożywić martwe cykady, umiała sprowadzać deszcz, a kiedy szła po łące, tam, gdzie stąpnęła, wyrastały polne kwiaty.

Jim przechwycił jej spojrzenie, i nagle pojął, że opowieści Catherine o babce nie są zmyślonymi bajeczkami.

– Idę teraz pod prysznic – oświadczył Martin. – Potem będziemy mogli świętować.

– Możecie skorzystać z prysznicza dla dziewcząt – wtrącił Ben. – Ale zachowujcie się odpowiednio. Nie ruszajcie szamponów dziewczyn i nie wkładajcie ich bielizny. Tylko transwestytów nam tu jeszcze brakuje.

Zjawił się Russell, zgrzany i czerwony na twarzy, lecz nieskończenie szczęśliwy. Jim uścisnął mu rękę i powiedział:

– Świetna robota, Russell. Może i przegraliście, ale pokazałeś, na co cię stać.

– „Historia rzec może pokonanym: niestety, lecz pomoc ni przebaczyć nie zdoła”* – wyrecytował w odpowiedzi Russell.

– Skąd to znasz? – zdziwił się Jim.

– Z pana lekcji. To jeden z argumentów, które skłoniły mnie do ostrzejszych treningów i powstrzymały przed obżarstwem.

Jim spojrzał na Russella i po raz pierwszy ujrzał w nim nie grubego, błaznującego ucznia z nadwagą, lecz mężczyznę. Położył dłoń na ochraniaczu chłopca i kiwnął głową z uśmiechem. Ale jego uśmiech zgasł, gdy na parking dla gości zajechał z charkotem silnika czarny firebird, z którego wysiadło dwóch wysokich młodych ludzi.

Natychmiast ich rozpoznał. Byli to starsi bracia Catherine, Paul oraz Szara Chmura. Każdego

dnia po szkole przyjeżdżali po siostrę, a gdy Jim spotkał kiedyś dziewczynę poza szkołą, na moło Venice Beach, bracia z ponurymi twarzami kroczyli po jej bokach niczym ochroniarze, ostro odcinając się od tłumu nastolatków na wrotkach i rowerach. Paul miał dziś na sobie grafitowy garnitur i czarny golf, a Szara Chmura dwurzędowy czarny płaszcz i dzinsy. Włosy Szarej Chmury związane były w długą kitkę i miał indiański naszyjnik. Obaj skrywali oczy za czarnymi okularami.

– Wiesz, która godzina? – zapytał Catherine Szara Chmura.

– Mecz rozpoczął się z opóźnieniem – wtrącił Martin. – Ktoś zdemolował naszą szatnię.

– Nie mówiłem do ciebie – syknął Szara Chmura, po czym odwrócił się do Catherine i dodał.

– Prosiłem cię, żebyś dzwoniła, gdybyś się miała spóźnić.

– Hej, wyluzuj się – mruknął Martin. – Ona nie ma dwunastu lat.

– Chłopie, lepiej trzymaj się od tego z daleka – ostrzegł go Paul. – To nie twój interes.

– Tak się składa, że Catherine jest moją dziewczyną, więc chyba to i mój interes, nie?

– Catherine nie jest niczyją dziewczyną, a już na pewno nie twoją. Kiedy znajdzie sobie mężczyznę, będzie to Navajo – odparł Szara Chmura i chciał wziąć Catherine za ramię, ale Martin chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę za plecy.

– Puszczaj mnie, bydlaku! – krzyknął Indianin – Puszczaj albo cię zabiję!

Martin nie zwalniając uścisku wycodził przez zęby:

– Catherine jest już wystarczająco dorosła i wystarczająco inteligentna, by samodzielnie podejmować decyzje, gdzie chce być i kogo chce spotykać. Dotarło?

Jim rozdzielił ich.

– Wystarczy. Jeżeli chcecie stoczyć drugą bitwę pod Little Big Horn, znajdźcie sobie inne miejsce.

– Pod Little Big Horn walczyli Siuksowie – odparł z niesmakiem Szara Chmura.

– A biali zostali zmasakrowani – dorzucił Paul.

– Posłuchajcie mnie, chłopaki – odezwał się Martin. – Zaraz zaczyna się impreza. Catherine idzie na nią, a i wy jesteście zaproszeni, jeżeli chcecie. Po imprezie zamierzamy jechać do L.A. Buzz na odlotowe chili, a potem odstawię Catherine do domu, całą i zdrową. Czy coś z tego wam się nie podoba?

– Catherine, masz natychmiast wracać – oświadczył Szara Chmura.

Dziewczyna wahała się przez chwilę, po czym pokręciła przecząco głową.

– Chcę pójść na tę imprezę. Daj spokój, Szara Chmuro, to tylko przyjęcie.

– Ojciec życzy sobie, żebyśmy byli dziś wieczorem razem.

– Ojciec życzy sobie, żebyśmy byli razem każdego wieczoru. A ja chcę zaznać trochę życia.

– Z nimi? – zapytał pogardliwie Szara Chmura, spoglądając na Martina, Russella, Marka Foleya i Ritę Munoz.

– To moi przyjaciele.

– Oni nigdy nie będą twoimi przyjaciółmi.

Szara Chmura znowu chciał schwycić siostrę za ramię, ale tym razem Martin i Russell odepchnęli go wspólnymi siłami.

– Posłuchaj, koleś – warknął Russell – Jeszcze raz spróbujesz, a usiądę ci na głowie.

– Słyszeliście kiedyś o szczepie Płaskogłowych? – dorzucił Mark. – To właśnie się im przytrafiło.

– Nie obrażaj naszej kultury! – naskoczył na mego Szara Chmura. – Ledwo przetrwała przez takich jak ty.

– Dosyć, panowie – wtrącił się znów Jim. – Skoro Catherine nie chce wracać z wami do domu, nic na to nie poradzicie. Lepiej opuśćcie spokojnie kampus, zanim będę zmuszony zrobić coś, czego nie chcę... na przykład wezwać ochronę.

Szara Chmura wzruszył ramionami, spojrział Martinowi prosto w oczy i powiedział:

– Jedno mogę ci obiecać, przyjacielu. Jeżeli dziś wieczorem spróbujesz zabrać Catherine do miasta, nie doczekasz jutrzejszego wschodu słońca.

– Grozisz mi? – zaśmiał się Martin. – Jeżeli tak, to jesteś szalony. Mam mnóstwo świadków.

– Nie, nie grozę ci – odparł Indianin. – Informuję cię tylko, co ci się przytrafi, a jest to równie nieuchronne jak zmiany faz Księżyca.

Najwyraźniej uznając rozmowę za skończoną, wrócili do samochodu i wsiedli do środka.

Kiedy ruszali, Szara Chmura uniósł okulary i posłał Martinowi i Catherine ostatnie lodowate spojrzenie.

– Trochę nadopiekuńczy są ci twoi bracia – zauważył Jim.

Catherine zaczerwieniła się.

– Przez cały czas się złościła – powiedziała. – Nienawidzą kultury białych ludzi, szczególnie Szara Chmura.

– Jasne. Widać to po jego kurtce od Armaniego.

– Och, nie chodzi o rekwizyty, panie Rook. Navajo zawsze umieli się przystosować. Kiedyś uprawiali ziemię, a potem stali się myśliwymi, wędrowcami i łupieżcami. Kiedyś podróżowali pieszo, a potem nauczyli się jeździć konno i używać strzelb. Paul i Szara Chmura nie lubią, gdy Navajo starają się naśladować obyczaje białego człowieka. Uważają, że zbyt wielu z nich zapomniało o dawnych czasach, zapomniało o tym, kim jesteśmy i co oznacza bycie Navajo. Są przekonani, że za jakieś dziesięć lat wszyscy staniemy się członkami społeczności białych, tyle że drugiej kategorii.

– I właśnie dlatego nie chcą, żebyś chodziła z Martinem?

Catherine ujęła Martina za rękę i ścisnęła ją mocno.

– Nie chcą, żebym chodziła z jakimkolwiek białym chłopakiem. Ale nie powstrzymają mnie,

bez względu na to, co by mówili.

– Posłuchaj – odezwał się Martin – nie chciałbym być powodem jakichś twoich kłopotów...

– Wiem – odparła Catherine. – Ale obiecałeś, że zabierzesz mnie na stypę. I obiecałeś mi wypad do L.A. Buzz.

Chyba nie jesteś jednym z tych białych ludzi o podwójnym języku?

– No dobra – odezwał się Jim. – Nie będę wam psuł wieczoru. Martin, przykro mi z powodu meczu. Może kiedyś...

– Murowane, panie Rook – zapewnił go Martin.

Jim i Susan siedzieli na stypie przez jakieś pół godziny, chcąc wykazać się dobrą wolą, lecz Jim nie miał szczególnej ochoty na technorocka, migoczące światła i hałaśliwych uczniów.

– Jestem już chyba na to za stary! – wykrzyczał Susan do ucha.

Skinęła głową, chociaż z entuzjazmem podskakiwała w rytm miksów TYOUSSi i DJ Hama i widać było, że świetnie się bawi.

Nagle do Jima podbiegła Amanda Zaparelli i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Panie Rook, pokażmy im, na co nas stać!

Udało mu się podholować Amandę do Raya Vito, podkochującego się w niej od podstawówki. Chłopak natychmiast porwał ją do merengi techno, wymagającej od tancerzy gwizdania i klaskania w dłonie.

Kiedy wyszli z Susan na zewnątrz, Jim wziął ją za rękę. Drzewa juki majaczyły na tle zachodzącego słońca mrocznymi, poszarpanymi sylwetkami.

– Może poszlibyśmy do mnie? – zaproponował. – Po drodze moglibyśmy zahaczyć o jakąś chińską restaurację, zjeść coś i kupić butelkę wina. Znalazłem wspaniały seczuański lokal, w którym serwują pieczoną przepiórkę.

– Nic z tego, mój kochany – potrząsnęła głową Susan. – Czeka na mnie stos prac domowych.

A w piątek jadę ze swoją klasą na wycieczkę na Mount Wilson. Muszę się do niej przygotować.

– Ale chyba się nie rozstajemy, co? – zapytał Jim.

– Nie sędzę. Jesteśmy jak dwie łodzie kołyszące się na stawie. Czasem wpadamy na siebie, a czasem nie. – Ale już od dawna nie wpadliśmy na siebie.

– Bardzo cię lubię, Jim. – Pocałowała go. – I myślę, że chyba cię Kocham. Jednak nie chcę się zbyt angażować, jeszcze nie teraz.

Jim odprowadził Susan do jej różowego volkswagena i otworzył przed nią drzwi. Nagle naszła go ochota do oświadczeń, ale wiedział, jaką usłyszy odpowiedź, i wolał żyć nadzieją, że ta „prawie miłość” kiedyś przekształci się w coś więcej. Ucałował ją więc tylko i powiedział:

– Zadzwoń do ciebie później. Może zmienisz zdanie.

– Będę zakopana po czubek nosa w wypracowaniach – odparła i dodała z naciskiem: –

Dobranoc, Jim.

Odprowadził volkswagena wzrokiem, machając Susan na pożegnanie ręką. Gdy zniknęła za zakrętem, przesłonięta budynkiem szkoły, wrócił do swojego samochodu. Może powinien zapytać o nią dziadka? Może umarli wiedzą o miłości więcej od żywych? Warto by spróbować.

Kiedy wrócił do domu, zrobił sobie kanapkę z tuńczykiem i przez resztę wieczoru oglądał sport. Jego kotka Tibbles siedziała na oparciu drugiego fotela, podążając oczyma za każdym ruchem ręki z kanapką. Gdy Jim połknął ostatni kęs, posłała mu tak zabójcze spojrzenie, że wystawił ją za drzwi mieszkania i zabronił wracać, dopóki nie przestanie obnosić się ze swoją niechęcią.

Wczesnie położył się do łóżka i spędził w nim męczącą, niemal bezseną noc. Nad ranem przyśnił mu się dziadek, oddalający się w dół Electric Avenue jakimś niesamowitym, posuwistym krokiem. Przez cały czas Jim wołał za nim, żeby się zatrzymał.

„Co to znaczy, że to coś jest szczeciniaste? – krzyczał. – Powiedziałeś, że to jest

szczeciniaste. Co chciałeś przez to powiedzieć?”.

Ale dziadek nie zatrzymał się ani nie obrócił. Sunął ulicą w świetle białego jak kość słońca, jaśniejącego na złowieszczo szkarłatnym niebie.

Jim usłyszał dźwięk dzwonka i pomyślał, że powinien ostrzec Susan przed tym czymś strasznym, co miało się wkrótce wydarzyć, bo i jej to dotyczyło. Ale nie wiedział, gdzie mieszka.

Zaczął biec i wtedy zorientował się, że to dzwoni jego telefon, a on sam wcale nie biegnie, tylko wierzga nogami w pościeli niczym mały chłopiec w ataku złości.

Usiadł na łóżku i zdjął słuchawkę z widełek.

– Słucham? Kto mówi?

– Pan Rook? Pan Jim Rook? Przepraszam, że pana niepokoję. Tu porucznik Harris.

– Porucznik Harris? Która to godzina, do cholery?

– Parę minut po wpół do ósmej, proszę pana. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

– Nie, nie. Nigdy nie śpiam w środku nocy.

– No cóż, chyba mamy już poranek. I obawiam się, że mam dla pana naprawdę niedobłą wiadomość.

Jim potarł oczy i ścisnął grzbiet nosa.

– Niedobłą? Jak bardzo niedobłą?

– Gorzej być chyba nie może. Dziś rano na Venice Beach znaleziono zwłoki Martina Amato.

Jim poczuł, że ogarnia go przerażenie.

– Zwłoki Martina? Trudno mi w to uwierzyć. Jest pan pewien, że to Martin?

– Niestety tak. Jego ojciec właśnie zidentyfikował ciało.

– Ale co się stało? Jakiś wypadek?

– Nie sądzę, proszę pana. Wygląda na to, że zaatakowało go jakieś zwierzę. Mam na myśli bardzo dzikie, bardzo złośliwe i bardzo silne zwierzę.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał Jim.

– Dobrze by było, gdyby pan zechciał przyjechać do kostnicy. Jest tu dziewczyna Amato, Catherine Biały Ptak, i ciągle o pana pyta. Mógłby pan też porozmawiać z którymś z naszych psychologów, żeby pan wiedział, jak przekazać tę wiadomość kolegom i koleżankom Martina.

– Tak – odparł Jim. – Tak, zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę i usiadł na krawędzi łóżka. Zwierzę, powiedział porucznik Harris. Bardzo dzikie, bardzo złośliwe i bardzo silne. Jimowi przypomniały się głębokie szramy w glazurze ścian szatni i rozwalone metalowe szafki, które wyglądały jak rozprute potężnymi pazurami.

Rozdział II

– Proszę tędy – powiedział porucznik Harris i otworzył drzwi do małej poczekalni. Były tam dwie beżowe kanapy, leżący na stoliku stos egzemplarzy *National Geographic* i wyblakły, oprawiony w ramy widoczek z gajem pomarańczowym. W przeciwległym kącie siedziała Catherine Biały Ptak ze stężałą twarzą i ramionami mocno splecionymi na piersiach. Wyglądała, jakby właśnie miała wykonać swój pierwszy w życiu skok ze spadochronem.

Pod oknem stał Henry Czarny Orzeł, ojciec Catherine. Był równie wysoki jak jego synowie, srebrzyste włosy opadały mu długimi pasmami na ramiona. Catherine była bardzo do niego podobna, choć jego nos był znacznie większy, a policzki przecinały głębokie bruzdy. Miał na sobie czarną kurtkę z frędzlami z jeleniej skóry i czarne dzinsy.

– Panie Czarny Orzeł, to pan Rook, nauczyciel Catherine z West Grove – dokonał prezentacji porucznik Harris.

Jim wyciągnął dłoń.

– Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda? Oglądam pański program, kiedy tylko mam okazję – powiedział, po czym odwrócił się do Catherine i zapytał: – Jak się czujesz, Catherine? Potrzeba ci czegoś?

– Chcę tylko, żeby zwrócono mi Martina, to wszystko – odparła nieswoim głosem i posłała mu zrozpaczone spojrzenie. – Chcę, żebyście mi powiedzieli, że to tylko sen.

Jim usiadł obok dziewczyny i objął ją.

– Tak mi przykro. Nie wiem, co ci powiedzieć... Martin to wspaniały facet. – Nie poprawił się i nie powiedział „był”.

Porucznik Harris czyścił sobie paznokcie zębami.

– Oni twierdzą, że zjedli chili w L.A. Buzz, poszli na długi spacer plażą, a potem chłopak odwiózł ją do domu.

– Ale dlaczego wrócił na plażę? Przecież mieszka po drugiej stronie miasta.

– Kto wie? Jego samochód był zaparkowany pół mili dalej.

– Czy Martin mówił ci, że wraca na plażę? – zapytał Jim Catherine.

Catherine pokręciła głową.

– Pocałował mnie na dobranoc i odjechał. Nadal widzę jego twarz, słyszę jego śmiech... – odparła i rozplakała się.

– Może wrócimy już do domu, Catherine? – odezwał się jej ojciec. – Nic tu po tobie.

– Nie chcę zostawiać Martina. Nie mogę.

– Catherine, wiem, że wydarzyło się coś strasznego – powiedział Henry Czarny Orzeł. – Ale Martin odszedł i żadna siła nie jest w stanie przywrócić go z powrotem. Poza tym nigdy nie mógłby być z tobą, wiesz przecież o tym.

– Dlaczego pan tak uważa? – zapytał Jim.

– Ponieważ, panie Rook, Catherine została już obiecana innemu mężczyźnie. Stało się to, gdy miała dwanaście lat. Gdy nadejdzie pora, będzie musiała wywiązać się z tej obietnicy.

– Sądziłem, że jedynie Hindusi praktykują zawieranie małżeństw przez pośrednika – mruknął

Jim.

Henry Czarny Orzeł wziął Catherine za ramię i powiedział:

– Chodź już, Catherine. Bracia na ciebie czekają.

– Proszę cię, tato... nie chcę iść. Chcę jeszcze trochę tu zostać.

– Niech pan pozwoli jej zostać, Henry – wtrącił się Jim. – Porozmawiam z nią, a potem zawiozę ją do domu. Bądź pan równym facetem.

Henry Czarny Orzeł zacisnął gniewnie usta, jednak po chwili rozluźnił się.

– Dobrze. Ale proszę ją przywieźć do domu nie później niż w południe – oświadczył, spoglądając na swojego złotego rolexa oyster.

– Będę na czas, *howgh* – obiecał Jim i zaczerwienił się uświadomiwszy sobie, co powiedział.

Jednak Henry Czarny Orzeł nie zareagował, skinął szybko głową w stronę porucznika Harrisa i wyszedł.

Porucznik zwrócił się do Catherine:

– Poważny człowiek z twojego ojca. A w telewizji zawsze sypie dowcipami.

– W telewizji mówi to, co ma w scenariuszu – odparła Catherine znużonym głosem.

Do poczekalni wszedł umundurowany policjant z informacją dla porucznika Harrisa, że lekarz chce zamienić z nim parę słów, więc Jim i Catherine zostali sami.

– Chcesz porozmawiać o wczorajszej nocy? – zapytał Jim.

– Wszystko już powiedziałam. Wyszliśmy ze stypy i pojechaliśmy do Venice na chili. Potem trochę pochodziliśmy po plaży. Sama zawsze bałam się tam chodzić, ale z Martinem czułam się bezpieczna. Zawsze czułam się z nim bezpieczna.

– Twoja rodzina nie miała o nim najlepszego mniemania.

– Wcale nie chodziło o Martina. Oni nie lubili żadnego chłopaka, z którym się spotykałam.

Gdyby mogli postawić na swoim, wróciłabym do Arizony i przez cały dzień przesiadywałabym przed hoganem, tkając koce.

– A ten facet, za którego masz wyjść... co to za jeden?

– Widziałam go tylko raz – Catherine pokręciła głową. – Mieszka niedaleko Fort Defiance.

W moje dwunaste urodziny tato zabrał mnie na spotkanie z nim i powiedział: „Tego mężczyznę poślubisz”. Możesz w to uwierzyć? W przyczepie było ciemno i widziałam jedynie sylwetkę szczupłego młodego mężczyzny, nagiego do pasa. Tyle tylko pamiętam. Aha, i jeszcze to, że ojciec naciął nam nadgarstki, ścisnął je i powiedział, że nasza krew połączyła się teraz na wieki. Chyba się wtedy rozplakałam. Ojciec nigdy więcej mnie do niego nie zabrał i wkrótce o nim zapomniałam. Nigdy nie sądziłam, że naprawdę będę musiała za niego wyjść. Ale kiedy tu przyjechaliśmy i zaczęłam chodzić z Rayem, a potem z Martinem.

– Nie znasz nawet jego nazwiska?

– Nie Nigdy mnie to nie interesowało. Chcę wyjść za kogoś, w kim się zakocham. Chcę poślubić kogoś stąd, z L.A. i chcę się trochę zabawić. Nie zamierzam spędzić reszty życia na parkingu przyczep kempingowych w Arizonie.

– Jesteś już wystarczająco dorosła, by robić to, na co masz ochotę – oświadczył Jim.

– Proszę spróbować powiedzieć to mojemu tacie. Albo Paulowi czy Szarej Chmurze.

– Dasz sobie z tym radę, jestem tego pewien. A jeśli sprawy się nie ułożą, przyjdź do mnie porozmawiać. Nie powinnaś przejmować się teraz problemami rodzinnymi. Musisz przede wszystkim zaakceptować nieodwołalność śmierci Martina. Wiem, że to straszny szok i minie wiele dni, zanim będziesz gotowa, by pogodzić się z jego odejściem. Miną tygodnie, zanim przestaniesz płakać. I miesiące, zanim będziesz mogła przeżyć cały dzień nie wspominając go choćby raz.

Ramiona Catherine zaczęły drgać konwulsyjnie, łzy znowu napłynęły jej do oczu.

– On nie żyje – wyszlochała. – Nie żyje, nie żyje, nie żyje.

Jim przytulił dziewczynę i poczuł korzenny zapach jej perfum. Nie przypadły mu szczególnie

do gustu, ale takich używały teraz młode dziewczyny. Później ten zapach za każdym razem przypominał mu pustą poczekalnię, beżowe kanapy i wyblakły plakat na ścianie.

– Pamiętasz, jak parę tygodni temu opowiadałem o Ednie St Vincent Millay? – zapytał –

Napisała wiersz, który posłałem mojej siostrze, gdy jej mąż zmarł na atak serca. Kończy się tak:

Tak oto w zimie stoi samotne drzewo

Nie wie, jakie ptaki od niego odeszły

Lecz wie, że gałęzie ma cichsze niż niegdyś

I rzec nie może, jakie miłości przeszły,

Wiem tylko, że lato grało w mojej duszy

Przez krótką chwilę, muzyką ucichła

Catherine uniosła głowę i spojrzała na niego. Na jej rzęsach błyszczały łzy.

– Jakie to smutne – powiedziała cicho.

– Tak, ale kiedy to czytasz, wiesz, że nie jesteś sama, że inni ludzie też odczuwają smutek i rozumieją ból, jaki teraz odczuwasz.

Catherine wytarła oczy zgniecioną w kulę chusteczką.

– Nie pozwalają mi go zobaczyć. Mógłby pan ich zapytać, czy pozwoliliby mi spojrzeć na niego?

– Zapytam porucznika Harrisa, ale niczego nie mogę ci obiecać.

Wstał i właśnie miał wyjść z poczekalni, kiedy drzwi się otwały i do środka wkroczyli bracia Catherine. Obaj mieli na sobie czarne koszulki i czarne dżinsy. Koszulkę Szarej Chmury zdobiły litery DNA – nie symbolizowały jednak kwasu dezoksyrybonukleinowego, lecz organizację Dinebeina Nahiilna Be Agaditahc, zajmującą się zapewnianiem pomocy prawnej Indianom.

– Czego chcecie? – zapytał Jim. – Nie sądzicie, że narobiliście już dosyć złego?

– Przyjechaliśmy zabrać naszą siostrę do domu – oświadczył Szara Chmura, zdejmując okulary.

– Cóż, chyba będziecie musieli poczekać – odparł Jim. – Jeszcze nie skończyliśmy, a wasz ojciec pozwolił Catherine wrócić o dwunastej.

– Masz jakieś problemy ze słuchem? – warknął Szara Chmura. – Powiedziałem, że chcemy zabrać siostrę do domu.

Jim podszedł do niego.

– Posłuchaj mnie, gówniarzu... Twoja siostra przeżyła ciężki szok i potrzebuje pociechy. Nie dopuszczę do tego, by jej bracia jeszcze bardziej ją denerwowali. Jeżeli chcecie, możecie zaczekać i odwiedzić ją, kiedy będzie gotowa. A jeśli nie, to wynocha.

– Nie wolno ci tak do nas mówić – włączył się Paul, szturchając Jima palcem w pierś. – To nasz kraj, chłopie, nie twój.

– Czyżbyś zapomniał, co powiedziałeś Martinowi po wczorajszym meczu przy pięciu czy sześciu świadkach? Jestem pewien, że porucznik Harris byłby tym bardzo zainteresowany.

– Ja mu wcale nie groziłem – odparł Szara Chmura. – Po prostu poinformowałem go tylko, co się z nim stanie, jeżeli nie przestanie widywać się z Catherine. To była przepowiednia, *capiche*? Nie można nikogo aresztować za przepowiadanie przyszłości.

– Ach, tak? W takim razie i ja mam dla was małą przepowiednię: jeżeli stąd nie wyjdziecie i nie dacie Catherine choć trochę czasu na otrząśnięcie się z szoku, twój nos ulegnie tajemniczemu złamaniu, zanim doliczę do dziesięciu. I jeszcze coś: co w języku Navajo oznacza *capiche*?

Szara Chmura ze złością zacisnął pięści, lecz jego brat powiedział:

– Opuść sobie, możemy poczekać pięć minut.

– Dziękuję – mruknął Jim, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt sarkastycznie. – Muszę

teraz porozmawiać z porucznikiem Harrisem, a wam podczas mojej nieobecności może uda się wykrzesać z siebie odrobinę dobroci dla siostry.

– Koleś, sam nie wiesz, ile w nas jest dobroci – mruknął Paul.

Porucznik Harris stał przy wejściu do kostnicy, rozmawiając z policyjnym lekarzem, doktorem Whaleyem, łysiejącym przygarbionym mężczyzną w przekrzywionych okularach na wielkim nosie.

– Pan i pańscy koledzy musicie być nieźle wstrząśnięci – powiedział Whaley. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, a pracuję w biurze koronera trzydzieści dwa lata.

– Catherine chciałaby wiedzieć, czy mogłaby go zobaczyć.

– Nie uważam tego za wskazane. Ale pan może, jeżeli pan sobie tego życzy.

Jim spojrzał na porucznika Harrisa, lecz policjant wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Jak pan chce. Nie jadł pan jeszcze śniadania, mam nadzieję?

– Przydałaby mi się jeszcze jedna opinia – oświadczył doktor Whaley. – Czyjakołwiek, niekoniecznie lekarska. Wezwałem już Jacka Skippera z ogrodu zoologicznego. Może jemu uda się zidentyfikować to zwierzę.

Wprowadził Jima do chłodnej, wykładanej zielonymi kafelkami sali. Porucznik Harris podążył za nimi. W sali znajdowały się dwa stoły z nierdzewnej stali, ustawione tuż obok siebie. Jeden z nich był pusty, ale na drugim leżały zwłoki, przykryte zielonym szpitalnym prześcieradłem. Doktor Whaley podszedł do niego i zapalił lampę na wysięgniku.

Porucznik Harris powiedział:

– Martin Amato znaleziony został około godziny piątej rano przez dwóch mężczyzn spacerujących z psem po plaży. Kiedy zobaczy pan jego obrażenia, zrozumie pan, że cokolwiek go zaatakowało, zabiło go niemal natychmiast

– Sądząc z temperatury ciała, zginął jakieś dwie godziny wcześniej, zanim go znaleziono –

dorzucił doktor Whaley. Ujął skraj prześcieradła i zapytał Jima – Jest pan gotów?

Gdy Jim skinął głową, Whaley ściągnął prześcieradło z nagiego ciała.

Głowy chłopca nie sposób było rozpoznać. Jednej strony twarzy brakowało, widoczne były odsłonięte kości szczęki i zęby, a skóra na głowie została prawie całkowicie zdarta. Ale najbardziej poraził Jima widok piersi i brzucha. Cztery potworne, głębokie rany przecinały ciało Martina od lewego barku do prawego uda, biegnąc równolegle niczym ślady pazurów. Ale jakie zwierzę mogło mieć pazury zdolne przeorać mięśnie i kości klatki piersiowej człowieka, wypruć serce i przebić płuca, a potem poszatkować jego wnętrzności?

Jim niemal przez całą minutę wpatrywał się w ciało Martina. Kiedy odwrócił od nich wzrok, doktor Whaley przykrył zwłoki.

– No i co? – zapytał porucznik Harris – Widział pan kiedyś coś podobnego? Ma pan jakieś sugestie?

– Początkowo myślałem, że to góraska puma – oświadczył Whaley – Ale one używają również zębów, a na całym ciele ofiary nie ma ani jednego śladu ugryzienia. To, co zrobiono temu biednemu chłopcu, wymagało nie więcej niż trzech potężnych ciosów zadanych albo przy użyciu pazurów albo jakiegoś narzędzia przypominającego łapę zaopatrzoną w pazury.

– Poza tym jakim cudem góraska puma mogłaby przedostać się na Venice Beach? – mruknął porucznik Harris. – Nie zgłaszano nam również przypadków zaginięcia lwów z ogrodów zoologicznych, prywatnych zwierzyńców czy wędrownych cyrków. Na piasku nie było żadnych śladów przypominających trop podobnego zwierzęcia, z wyjątkiem śladów tego psa, który zwęszył ciało. Same ślady butów i odciski opon rowerowych.

– Są może jacyś świadkowie? – zapytał Jim.

– Zaczęliśmy już śledztwo, ogłosimy też apel w telewizji i prasie, ale na razie jeszcze niczego nie mamy. Ludzi odwiedzających Venice Beach w środku nocy nie można raczej uznać

za chętnych do współpracy obywateli.

Jim spojrział jeszcze raz na ciało Martina, po czym powiedział”

– Chyba chciałbym już stąd wyjść.

Porucznik Harris wyprowadził go na zewnątrz i przez chwilę stali w słońcu na schodach Jim oddychał głęboko

– Boże – powiedział w końcu – Mam tylko nadzieję, że to nie trwało długo i że nie cierpiał.

– To była kwestia sekund – mruknął Harris. – Załatwił go sam wstrząs organizmu. Bach! Nie miał najmniejszej szansy.

– Muszę coś panu powiedzieć – oświadczył Jim. – Możę nie powinienem tego robić bez zgody doktora Ehrlichmana, ale myślę, że im prędzej się o tym dowiecie, tym lepiej. Otóż wczoraj tuż przed meczem z reprezentacją szkoły Chabot ktoś włamał się do szatni chłopców w West Grove i porozbijał wszystko w drobny mak. Powyrywał umywalki ze ścian, potrzaskał szafki na kawałki i pozostawił w glazurze ścian głębokie bruzdy, przypominające ślady pazurów.

– Nie zgłosiliście tego?

– Doktor Ehrlichman chciał najpierw przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie. Ostatnimi czasy policja zbyt często bywała w West Grove. Nie było to nic poważnego – speed, crack, drobne kradzieże – ale nie uśmiechała mu się wasza wizyta w środku meczu.

– Sugeruje pan, że obrażenia na ciele Martina Amato przypominają bruzdy w kafelkach na ścianach szatni?

Jim przytaknął.

– Jest jeszcze coś, choć nie wiem, czy ma to jakiś związek z tą sprawą... – dodał. –

Dziewczyna Martina to Navajo. Wczoraj do szkoły przyjechali jej dwaj bracia i posprzeczali się z tym chłopcem. Jeden z nich zagroził, że jeżeli Martin nie zostawi Catherine w spokoju, nie doczeka świtu.

Porucznik Harris zagwizdał cicho.

– Kto to jeszcze słyszał?

– Oprócz mnie siedmiu czy ośmiu uczniów.

– W takim razie chyba będę musiał porozmawiać z tymi jej braciszkami. Gdzie mogę ich znaleźć?

Jim usłyszał za sobą kroki i obejrzał się szybko.

– O wilku mowa – mruknął.

W ich kierunku zmierzali Paul, Catherine i Szara Chmura.

– Znudziło nam się czekanie, panie Pocieszycielu – oznajmił Szara Chmura. – Zabieramy siostrę do domu.

– Wasz ojciec pozwolił jej zostać.

– Czasami nasz ojciec mówi coś, czego wcale nie ma zamiaru powiedzieć. Wychodzimy.

– Chwileczkę – wtrącił się porucznik Harris. – Chciałbym najpierw zadać panom kilka pytań.

Szara Chmura posłał Jimowi lodowate spojrzenie.

– Czyżby dotarły do pana jakieś głupie plotki, poruczniku?

– Przekazano mi tylko, co powiedział pan wczoraj po meczu do Martina Amato.

– Powiedziałem mu, żeby trzymał się z daleka od naszej siostry – przyznał Szara Chmura.

– I powiedział pan też, że jeżeli tego nie zrobi, nie doczeka świtu?

– Zgadza się. Ale to nie była groźba.

– Czule słówka to też nie były.

– To prawda. Nigdy nie lubiłem Martina Amato i nie zamierzam teraz udawać czegoś wręcz przeciwnego. Ale jeżeli ostrzeże się kogoś przed spacerami w poprzek autostrady do San Diego, on zaś się przy tym uprze, co można mu jeszcze powiedzieć? Dokładnie to samo: „Nie doczekasz świtu”. To nie jest groźba, tylko przepowiednia.

– Ale dlaczego randka z pańską siostrą miałyby być tak ryzykownym przedsięwzięciem?

Komu jeszcze miałyby się to nie podobać?

– Pewnych rzeczy po prostu nie da się wytłumaczyć – odparł Szara Chmura.

– Przykro mi, jednak będziecie musieli je wytłumaczyć. Mówcie sobie, co chcecie, ale groziliście Martinowi Amato śmiercią w obecności świadków, a następnego dnia znaleziono jego zwłoki.

– Ostatniej nocy byliśmy obaj w domu – oświadczył Szara Chmura. – Przez całą noc.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Nasz ojciec i siostra.

– I nikt inny oprócz nich?

– Po drugiej w nocy zadzwonił do mnie przyjaciel z Nowego Meksyku. Jego żona właśnie urodziła dziecko, chłopczyka.

– Może pan podać mi jego nazwisko?

– Oczywiście. Mogę podać także jego numer telefonu. Henry Czerwona Kurtka. Dzwonił z rezerwatu Wide Ruins.

Porucznik Harris zanotował to, a potem w zamyśleniu podrapał się po karku.

– Pozostaje jeszcze jedna nie wyjaśniona kwestia. Skoro wy nie mieliście nic wspólnego ze śmiercią Martina Amato, to kto mógł to zrobić? I skąd mieliście pewność, że ten chłopak zginie?

– Proszę nie zapominać, że jesteśmy Navajo, poruczniku. Potrafimy wyczuć deszcz przed pojawieniem się chmur i wyczuć gości na wiele dni przed ich przybyciem. Martin Amato kroczył wczoraj w cieniu śmierci. Widzieliśmy to.

Porucznik Harris pomachał mu przed nosem długopisem.

– Przyjacielu, możesz sobie przewidywać wyniki przyszłotygodniowych gonitw w Santa Rosita, ale w sądzie ci to nie pomoże.

– Aresztuje nas pan? – zapytał Szara Chmura.

– Nie, ale będę jeszcze chciał z wami pomówić. Wyświadczyć nam tę przysługę i nie zmieniajcie miejsca pobytu w najbliższym czasie.

Wydawało się, że Catherine chce coś powiedzieć, lecz Paul i Szara Chmura wzięli ją pod rękę i pośpiesznie sprowadzili po schodach do samochodu.

– Co pan myśli o tych dwóch? – zapytał Jima porucznik Harris.

– Sam nie wiem. Próbują chronić swoją kulturę i starają się zachować czystość krwi, więc nie akceptują białych chłopaków Catherine. Od pięciu lat jest zaręczona z jakimś facetem z rezerwatu Navajo.

– To bardzo ładna dziewczyna – zauważył porucznik Harris, odprowadzając wzrokiem samochód.

– Myśli pan, że jej bracia mogli zabić Martina? – zapytał Jim.

– Gdyby tak było, znacznie ułatwiłoby mi to życie. Niewątpliwie mieli motyw. Być może mieli też i okazję. Nawet jeżeli przyjaciel Szarej Chmury zadzwonił z Nowego Meksyku o drugiej nad ranem i rozmawiał z nim przez dwadzieścia minut, wciąż mieliby jeszcze dość czasu, by pojechać na plażę i spotkać się z Martinem Amato.

– Dlaczego pan ich nie zatrzymał?

– Cóż. Ci faceci są wysportowani i silni, ale nawet oni nie mieliby dość siły, by rozpruć ludzkie ciało w taki sposób. Jak sam pan powiedział, być może użyto jakiegoś specjalnego narzędzia, ale nawet wtedy.

– Więc co zamierza pan zrobić?

– W tej chwili myślę tylko o filiżance mocnej czarnej kawy. Potem zabiorę się do rutynowych czynności śledczych. Będę węszył, poszukiwał świadków i poszlak i przez cały czas nie spuszczę oka z tych dwóch panów. – Położył dłoń na ramieniu Jima i dodał: – Mądrej głowie... na pana

miejscu miałbym oczy szeroko otwarte. Jeżeli właśnie oni są odpowiedzialni za to morderstwo, nie będą zachwyceni, że powtórzył mi pan to, co powiedzieli do Martina. – Zerknął na zegarek. – Kiedy wypiję kawę, odszukam fotografa i kogoś z dochodzeniówki i przejedziemy się do West Grove obejrzeć waszą szatnię. Może ma pan rację i te ślady pasują do siebie?

Jim zupełnie zapomniał, że jest niedziela. Podjechał pod swój dwupiętrowy, pomalowany na różowo dom nieopodal Electric Avenue, zaparkował i powoli wygrzebał się z samochodu. Ranek był mglisty i niezbyt ciepły, lecz kilku mieszkańców siedziało już na rozpadających się leżakach przy basenie, czytając gazety lub słuchając walkmanów Jim przywitał się z panną Neagle, kobietą w średnim wieku, która wprowadziła się do dawnego mieszkania pani Vaizey Panna Neagle miała na nosie wielkie ciemne okulary i chustę na głowie Jej masywne, pokryte gęsią skórką uda wylewały się z kostiumu kąpielowego w brązowe i białe kwiaty, modnego w latach sześćdziesiątych.

Panna Neagle zdjęła okulary i uśmiechnęła się do Jima.

– Dzień dobry, panie Rook Wygląda pan na odrobinę przygnębionego.

– Nie spałem najlepiej, to wszystko. Prawie przez całą noc rzucałem się i kręciłem w łóżku

– Ha! Nie musi mi pan tego mówić Jestem ekspertem od rzucania się i kręcenia w łóżku.

Czasami boję się widoku zachodzącego słońca.

– Nie zażywa pani tabletek nasennych?

– Nie, panie Rook. Na to jest tylko jedna skuteczna recepta.

– Ach tak? To dlaczego pani jej nie wypróbuj?

Kokieteryjnie zatrzepotała ciężkimi od tuszu rzęsami.

– Gdybym tylko mogła, zrobiłabym to, panie Rook, może mi pan wierzyć.

Jim nagle pojął, co miała na myśli, i uśmiechnął się do niej.

– Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, prawda?

W drodze do swojego mieszkania poczuł na sobie spojrzenie Myrlina Buffielda spod numeru 201. Myrlin miał kiedyś olbrzymi brzuch, ale ostatnio ćwiczył w Gold's Gym i fałdy tłuszczu uniosły się do góry, więc wyglądał teraz, jakby go napompowano powietrzem. Nadal cesał się do tyłu i nosił w uchu kolczyk w kształcie sztyletu. Teraz udawał, że czyta „Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus”.

– Hej, Myrlin – odezwał się Jim.

– Nie wychodzisz nocami z mieszkania i nie szpiegujesz mnie, prawda? – upewnił się

Myrlin. – Wczoraj w nocy byłem pewien, że słyszę pod drzwiami jakieś skrobanie i pomyślałem, że to ty.

– Już z tym skończyłem – zapewnił go Jim.

Myrlin zawsze traktował Jima z głęboką podejrzliwością, graniczącą nieomal z paranoją, a kiedy stara pani Vaizey odbyła seans w jego mieszkaniu, zaczął uważać go za adepta czarnej magii albo i coś gorszego – zwłaszcza odkąd pani Vaizey zniknęła i nikt jej więcej nie widział. Tylko Jim wiedział, co się z nią stało, ale nie zamierzał nikomu o tym mówić.

Wspiął się po schodach, przeszedł przez balkon i zatrzymał się pod drzwiami swojego mieszkania. Kotka Tibbles czekała na niego na progu. Nie zdążył jej nakarmić przed wyjściem. Kiedy otworzył drzwi, popędziła wprost do kuchni i zatrzymała się przy swojej misce, unosząc sztywno ogon do góry.

Jim otworzył lodówkę i właśnie wyjmował puszkę piwa, kiedy usłyszał stukanie do drzwi.

Była to panna Neagle, otulona w różowy szlafrok. Nie było to takie niezwykle, często odwiedzała go, by pożyczyć kawy czy cukru, ale niezwykle było to, że na głowie miała różowy kapelusz w kształcie homara, taki sam, jaki nosiła pani Vaizey.

– Hej, panno Neagle.

– Cześć, chłopcze.

- Ten kapelusz przywołuje wiele wspomnień.
- Znalazłam go, kiedy się tu wprowadziłam. Lubię go.
- Pasuje do pani. Ale cóż, pasowałby do każdego, kto lubi chodzić z homarem na głowie.
- Oczywiście... jednak znalazłam nie tylko to.
- Ach tak? – odparł uprzejmie Jim. – Może piwa?
- Piwa? Miałam nadzieję, że znasz mnie trochę lepiej. Jim zamrugał zaskoczony. Zamienił z nią jedynie parę słów przy basenie.
- W porządku – mruknął. – Nie ma sprawy.
- Szkocką, czystą, bez lodu.

Jim otworzył butelkę wild turkey i nalał solidną porcję do wysokiej szklanki z nadrukiem *Miami Parrot Jungle*. Panna Neagle wzięła ją do ręki i powiedziała:

- Może wypijemy za bardzo długie życie?
- W porządku. Za bardzo długie życie.

Panna Neagle pochyliła się ku Jimowi i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie poznajesz mnie, prawda?
- Ależ tak. Jest pani moją sąsiadką spod numeru sto pięć.
- Zgadza się. Ale powiem panu, co jeszcze oprócz tego kapelusza znalazłam w moim nowym mieszkaniu. Znalazłam w nim panią Vaizey.
- Słucham...?
- Ona wciąż tam była, panie Rook, a przynajmniej jej duch. Kiedy pierwszej nocy leżałam w łóżku, przemówiła do mnie.
- Przemówiła do pani? Co powiedziała?
- Była uprzejma i współczująca, dodawała mi otuchy.

Widzi pan, kiedy się tu przeprowadziłam, byłam bardzo przygnębiona i kompletnie splukana,

a mężczyzna, którego kochałam, umarł na raka. Czasami zastanawiałam się, czy nie skończyć ze sobą. Ale pani Vaizey pocieszyła mnie i obdarowała przyjaźnią, jakiej nigdy przedtem nie zaznałam. Sprawiała, że nie czułam się już tak bardzo samotna.

Kotka Tibbles ocierała się o nogi Jima, rozpaczliwie domagając się jedzenia, ale on mógł jedynie gapić się na pannę Neagle ściskając w ręku piwo.

Panna Neagle pociągnęła whisky i uśmiechnęła się do niego.

– Pani Vaizey miała już odejść w niebyt, tak jak to czynią wszystkie duchy, ale ja nie chciałam, żeby odeszła. Kochałam ją i potrzebowałam jej, więc wpuściłam ją do siebie. Nie bardzo wiem, jak to się stało. Po prostu... wpuściłam ją. Pani Vaizey przebywa teraz wewnątrz mnie, Jim. – Poklepała się dłonią po czole. – Wciąż jest z nami.

– Nie do wiary – mruknął Jim. – Chce mi pani powiedzieć, że jest pani zarazem panną Neagle i panią Vaizey?

– Właśnie. Zdarza się to częściej, niż można by pomyśleć. Duch, który nie jest jeszcze gotów do odejścia, znajduje sobie wśród żyjących kogoś, kto rozpaczliwie potrzebuje pomocy, tak jak ja. Obie strony korzystają na takim układzie. Duch może pozostać tu wtedy znacznie dłużej, a ten, kto go przyjął, uzyskuje dostęp do wszystkich jego wspomnień i doświadczeń.

Jim podejrzliwie okrążył pannę Neagle parę razy.

– Jeżeli to prawda, że jest pani jednocześnie panią Vaizey, to chyba wie pani o szczególnym talencie, jakim była obdarzona...

– Oczywiście, że wiem. Potrafiła przepowiadać ludziom przyszłość z fusów po herbacie, z kart tarota, z dłoni. I świetnie robiła na drutach.

Wszystko to było prawdą, ale co to za test? Skoro syn pani Vaizey zapomniał o kapeluszu matki w kształcie homara, pewnie zostawił też jej talię tarota i zeszyt ze ściegami.

– Zna pani jej panieńskie nazwisko?

– Jasne. Duncan, Alice Duncan... urodzona siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego w Pasadenie, druga z siedmiorga rodzeństwa.

– I wie pani, jak zginęła?

Panna Neagle skinęła głową.

– Bardzo cierpiała. Nigdy panu nie powiedziała, jak bardzo, bo wiedziała, że sprawi to panu ból.

– Wie pani, jak to się stało i dlaczego?

– Pewnej nocy jej duch opuścił ciało, szukając houngana voodoo, próbującego zawładnąć jednym z pańskich uczniów. Ale on wiedział o tym i czekał już na nią.

Jim zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy panny Neagle.

– Jesteś tam, prawda? – zapytał. – Naprawdę tam jesteś?

– Tak – odparła panna Neagle. – Naprawdę tu jestem. – Uniosła dłoń i delikatnie dotknęła jego policzka, tak, jak zrobiłaby to babka albo znacznie starsza przyjaciółka. Jim złapał ją za rękę.

– Witaj z powrotem – powiedział.

– Nie jestem pewna, czy nadal będziesz się cieszył z mojego powrotu, kiedy ci powiem, dlaczego wróciłam.

– Tylko mi nie mów, że ty też widziałaś coś przerażającego, co szykuje się, żeby mnie załatwić.

– Kto jeszcze ci o tym mówił? – zapytała panna Neagle.

– Wczoraj rano zjawił się tu mój dziadek – odparł Jim. – Mój nieżyjący dziadek. Powiedział, że zagraża mi coś mrocznego, starego i szpeciniastego.

– W takim razie sprawa jest znacznie poważniejsza, niż myślałam – stwierdziła panna Neagle.

– Dlaczego?

– Zmarli rzadko przekraczają granicę świata żywych, chyba że ich krewnym grozi wielkie niebezpieczeństwo. W końcu po co mieliby wracać? Mają za sobą całe życie wypełnione zmaganiem i walką i więcej już tego nie chcą doświadczać. Ale zaniepokoiła mnie twoja aura.

– Moja aura? Co jest z nią nie w porządku?

– Kiedy obchodziłeś basen, otaczała cię najbardziej paskudna aura, jaką kiedykolwiek widziałam. Było to kłębowisko ciemnych, matowych barw... jakby macek miotających się w błotnistej rzece... i towarzyszyło temu uczucie przenikającego chłodu. Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem.

– Co to oznacza?

– Coś naprawdę poważnego. Zagroza ci wielkie niebezpieczeństwo... i cokolwiek to ma być, już się zaczęło. Właśnie dlatego twoja aura zaczęła mrocznieć, jak niebo przed burzą. Wyczuwa nadciągające zagrożenie. Wyczuwa nieuchronność nadchodzącej śmierci.

– Śmierci? I to w dodatku nieuchronnej?

– Chyba że znajdziesz sposób na uratowanie swojej skóry.

– Chwileczkę, o co w tym wszystkim chodzi? Co oznacza słowo „nieuchronna”? Że zginę w ciągu najbliższych trzydziestu minut? Jutro? Czy może w przyszłym roku? I w jaki sposób zginę?

Panna Neagle pokręciła głową.

– Nie odpowiem ci, jeśli nie zapytam o to kart.

– Posłuchaj – oświadczył Jim – ja wcale nie planuję śmierci. Ani wkrótce, ani nieco później.

– Nikt tego nie planuje, Jim. Ja również tego nie planowałam, podobnie jak i ty teraz.

Wszyscy boimy się bólu i ciemności. Jak myślisz, dlaczego czepiam się życia pozostając z Valerie?

– Valerie? Kim jest ta Valerie? Aha, rozumiem... Panna Neagle. Tak, oczywiście.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, jak zginiesz? Większość ludzi tego nie chce – zapytała panna Neagle.

– Ale jak mogę się uratować, skoro nie wiem, co mi zagraża?

– Chcesz, żebym zapytała kart?

– Oczywiście, że chcę. Nie mam zamiaru dać się rozerwać na strzępy przez coś mrocznego, zimnego i szczeniastego!

– To, że twój dziadek użył tego określenia, wcale nie oznacza, że jest to coś, co spowoduje twoją śmierć. Może to jedynie jakiś szczegół przepowiedni, a nie jej całość. Może okazać się, że będzie to szczotka do włosów leżąca na podłodze przy twoim łóżku w chwili twojej śmierci.

– Jakoś mnie to nie przekonuje. Dziadek mówił o tym czymś „szczeniastym” z wielką powagą.

– W takim razie musimy to sprawdzić – odparła panna Neagle i wyjęła z kieszeni szlafroka talię kart. Najwyraźniej przysłała do Jima dobrze przygotowana. – Może tu, na tym stole? – zaproponowała.

Jim przyniósł z jadalni dwa krzesła, a panna Neagle rozłożyła przed sobą karty. Jim nigdy nie widział takiej talii. Przypominały trochę tarota, ale widniejące na nich obrazki były jeszcze bardziej niesamowite. Przedstawiały demony na szczudłach, karły w miedzianych garnkach na głowach, nagie kobiety z zawiązanymi oczami otoczone olbrzymimi karaluchami, minstreli w dziwacznych kapeluszach oraz rycerzy o smutnych oczach, dźwigających na plecach wiedźmy. Kilka z nich przedstawiało martwe krajobrazy, na których jedynie przecinający pustkę cień zapowiadał pojawienie się jakiejś postaci.

– Dziwna talia – zauważył Jim, siadając obok panny Neagle.

– Owszem, dziwna, ale bardzo czuła. Zaprojektowana została w czternastym wieku na

polecenie papieża Urbana Szóstego... podobno po to, by pomóc jego kardynałom w walce

z plagą demonów nękających włoskie kościoły. Stąd też jego nazwa: Demoniczny Tarot.

Demony kryły się w piwnicach i na dzwonicach, więc jedynie karty potrafiły zdradzić miejsce

ich pobytu. Nie wiem, ile jest prawdy w tej opowieści, ale ta talia przepowiedziała

z sześciogodzinnym wyprzedzeniem, że żona zaatakuje męża nożem kuchennym, i ostrzegła, że

w pożarze domu zginie sześciolatka dziewczynka.

– I zginęła?

Panna Neagle kiwnęła smutno głową.

– Próbowałam dowiedzieć się, gdzie mała mieszka, i uratować ją, ale było już za późno. –

Przerwała na chwilę, a potem dodała: – Wtedy ostatni raz użyłam tej talii... aż do dzisiaj.

– Przerażasz mnie – mruknął Jim, próbując się uśmiechnąć.

– Sama jestem przerażona – odparła panna Neagle. Potasowała karty, postukała w nie trzykrotnie i zaczęła je rozkładać. Karty utworzyły na stole literę „H”. Kotka, przyglądająca się uważnie pannie Neagle, zjeżyła się i fuknęła głośno.

– Jedna z tych kart będzie przedstawiać ciebie. O, ta się nadaje... to nauczyciel. Zwykle wybieram tę kartę dla młodych, wykształconych mężczyzn... zwłaszcza samotnych wykształconych mężczyzn.

Karta przedstawiała mężczyznę w długim płaszczu przyozdobionym czajnikami, klepsydrami i bochnami chleba. Przed nim siedziała ze skrzyżowanymi nogami młoda kobieta z wetkniętą w ucho złotą trąbką. Mężczyzna wlewał do niej coś z butelki z zielonego szkła.

Panna Neagle położyła kartę obrazkiem do góry pośrodku litery „H”, a potem powoli odwróciła resztę kart.

– To dzień jutrzejszy – wyjaśniła, unosząc kartę z wizerunkiem mężczyzny w kapturze z czarnego welwetu, spoglądającego na wzburzone wody morskiej zatoki. Na jego plecy padał

cień, przypominający kształtem wielką dłoń. Kolejna odwrócona karta przedstawiała trzech zamaskowanych szlachciców stojących na cmentarzu. Za nimi, prawie niewidoczna wśród nagrobków i posągów, kryła się groteskowa szara postać z rogami i dziwnym, przypominającym trąbkę wyrostkiem zamiast nosa. – Jak do tej pory z układu kart wynika, że następne znaczące wydarzenie w twoim życiu będzie miało miejsce nie wcześniej niż za cztery jutra.

– Czyli dożyję czwartku? O to chodzi?

– Nie wiem, Jim. Patrzmy dalej.

Podniosła kolejną kartę i pokazała mu ją. Przez pustynię kroczył blady mężczyzna, mając za plecami wschodzące słońce. Po dokładniejszych oględzinach Jim stwierdził, że całą powierzchnię pustyni pokrywają ludzkie kości.

– Cokolwiek ci zagraża, nadchodzi ze wschodu – powiedziała panna Neagle.

– To dobrze czy źle?

– Być może to bez znaczenia. Ale wszystkie złe duchy nadciągają ze wschodu. Dlatego nie powinno się budować domu zwróconego wejściem na wschód.

– A to co znowu? *Feng–shui*?

– Wcale nie. Po prostu zwykły instynkt samozachowawczy. Chybabyś nie chciał, żeby za każdym otwarciem drzwi wlatywały ci do domu demony, co? – Pochyliła się nad kartami, marszcząc brwi. – Oho, ta karta jest naprawdę dziwna.

Pokazała Jimowi ciemną, niemal zupełnie czarną kartę. Kiedy wziął ją do ręki, kotka Tibbles zerwała się z fotela i uciekła do sypialni. Jim był przekonany, że gdyby tylko potrafiła, zatrzasnęłaby za sobą drzwi. Spojrzał uważnie na kartę i zobaczył rozmazany niedźwiedziowaty kształt o czerwonych ślepiach i uniesionej w powietrze łapie zaopatrzonej w złowieszczo zakrzywione szpony.

– No i? – zapytał pannę Neagle.

– Cóż... pewnie właśnie to monstrum na ciebie poluje. Nie wiem, dlaczego obrało sobie za ofiarę akurat ciebie, ale tak jest. Dotknij tej karty jeszcze raz... Jest ciepła, czujesz to? Jest naładowana energią psychiczną. Rozpoznaje cię.

Miała rację. Karta rozgrzała się do tego stopnia, że prawie nie mógł jej utrzymać. Kiedy miał ją oddać pannie Neagle, zwinęła się i zajęła ogniem. Rzucił ją do popielniczki, gdzie na ich oczach zamieniła się w cienki rulonik czarnego popiołu.

– Jak to się stało, do licha? – zapytał Jim.

– Już ci powiedziałam. Energia psychiczna. Karta zadziałała jak przewód łączący cię z tym, co nadciąga, by cię zniszczyć, i spaliła się jak przeciążony przewód.

– Przykro mi z powodu twojej talii – Jim sięgnął do kieszeni spodni po portfel. – Dużo kosztowała?

– Jest jedyna w swoim rodzaju. Gdyby mój syn wiedział, jaka jest cenna, nigdy by jej nie zostawił.

– Mój Boże... – mruknął Jim. – Przepraszam.

Panna Neagle zgarnęła ze stołu pozostałe karty.

– Nie ma potrzeby. Talia wciąż jest kompletna. Ta karta do niej nie należała.

– Nie rozumiem...

Przykryła jego dłoń swoją.

– Nigdy dotąd jej nie widziałam. Po prostu pojawiła się sama z siebie. Jak myślisz, czy można to uznać za ostrzeżenie?

Jim spojrzał na nią ponuro, a potem utkwiał wzrok w wypełniającej popielniczkę czarnym prochu.

– Lepiej jeszcze trochę mi powróż – powiedział.

Rozdział III

Karty zdołały podsunąć mu jedynie trzy sposoby uniknięcia owej „mrocznej, starej, szczeciniastej” istoty idącej jego tropem. Pierwszym było zasięgnięcie porady u dwóch przyjaciół. Drugim – długa podróż, choć jej cel był niejasny. Trzecia sugestia była najbardziej zagadkowa. Według niej życie Jima zależało od meczu, w którym obie strony przyznałyby się do porażki.

– Mecz...? Czy karty powiedziały, o jaki mecz chodzi?

– Wiem tylko tyle, co i ty – panna Neagle pokręciła głową. – Ale mam wrażenie, że te trzy instrukcje łączą się ze sobą... Po rozmowie z przyjaciółmi poznasz cel swej podróży, a kiedy już do niego dotrzesz, dowiesz się, o jaki mecz chodzi i dlaczego obie strony muszą przegrać.

– Mówisz, że te karty są najlepsze? – zapytał Jim opadając ciężko na fotel.

– Chcesz przepowiedni ze zwykłego tarota? A może z herbacianych fusów? Albo u Sydneya Omarra? – Panna Neagle nie ukrywała sarkazmu. Sydney Omarr był zawodowym astrologiem z płatną linią telefoniczną.

– Nie, chyba zaufam Demonicznemu Tarotowi. W końcu pokazuje mi jakąś drogę. Szkoda tylko, że nie wiem, o jakich dwóch przyjaciół chodzi. To przynajmniej byłby jakiś początek.

– Może to dwoje nauczycieli ze szkoły?

– A może Bill i Gordon? W grę może wchodzić każdy.

Panna Neagle złożyła karty i na moment zamknęła oczy, a potem pochyliła się nagle, chowając twarz w dłoniach.

– Panno Neagle... wszystko w porządku? – zapytał Jim.

Przez chwilę nie odzywała się.

– Chcesz szklankę wody? – zapytał. – Jeszcze jedną whisky? Albo trochę mrożonej herbaty?

– Czuję się dobrze – odparła w końcu. – Po prostu to cholerny wysiłek.

– A co z panią Vaizey?

– W porządku... ale też jest wyczerpana. Nawet za życia wróżenie z kart bardzo ją męczyło.

Teraz musiała kierować moimi dłońmi i umysłem, a ja nie jestem tak samo wrażliwa na bodźce psychiczne jak ona.

Jim położył dłoń na jej ramieniu i uśmiechnął się.

– Dobrze się spisałaś, dziękuję. Mogę cię nazywać Valerie?

– Nazywaj mnie, jak chcesz, mój kochany – odparła panna Neagle, wychyliła whisky jednym haustem i zebrała swoje rzeczy. Przy drzwiach zatrzymała się jeszcze i powiedziała: – To coś, co kroczy twoim tropem... to monstrum. Wierzysz w jego istnienie?

– Tak. Nie mam pojęcia, co to jest ani dlaczego mnie ściga, ale owszem, naprawdę uważam, że jest prawdziwe.

Pocałowała go, i tym razem całowała go panna Neagle, nie pani Vaizey, w sposób charakterystyczny dla podpitej, napotkanej w barze czterdziestki.

– Jesteś interesującym mężczyzną, Jim – powiedziała. – Mogę tak do ciebie mówić?

Któregoś dnia powinniśmy usiąść przy stole z butelką wina i miską spaghetti i porozmawiać.

– Powiedz mi jeszcze jedno, zanim pójdziesz... – poprosił Jim.

– Co takiego?

– Kłóćcie się czasami? Ty i pani Vaizey?

Valerie odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się chrapliwie.

– Jesteś interesującym mężczyzną, Jim – powtórzyła. – Owszem, kłócimy się nieprzerwanie.

Ale to znacznie ciekawsze niż kłócenie się z samą sobą.

Pomachał jej na pożegnanie, ona zaś ruszyła balkonem zataczając się lekko w swoich różowych bucikach na wysokich obcasach. Jim wrócił do kuchni i otworzył kolejne piwo. Dwóch przyjaciół? – zastanawiał się. Jakich dwóch przyjaciół? I dokąd powinienem pojechać?

Jedno wiedział na pewno. Musi działać szybko, bo jego życie rzeczywiście jest

w niebezpieczeństwie – był przekonany, że czyha na niego ta sama bestia, która zaszlachtowała Martina Amato na Venice Beach.

Wziął w palce kruche płatki popiołu ze spalonej karty i rozsypał je bezmyślnie. Opadły powoli z powrotem do popielniczki, tworząc zarys czarnego rogatego stwora o demonicznych ślepiach.

Na pierwsze poniedziałkowe zajęcia z języka angielskiego przyszedł nieco wcześniej i kiedy do sali weszli uczniowie, stał przy oknie odwrócony do nich plecami, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń. Miał na sobie wygniecione brązowe spodnie z bawełny i zieloną koszulę w kratę, sprawiającą wrażenie wyłowionej z dna kosza z brudną bielizną. Włosy z tyłu głowy pozlepiały się mu w koguty, odporne na wszelkie próby ich ułożenia, nawet przy użyciu śliny.

Druga klasa specjalna zajęła swoje miejsca w niemal absolutnej ciszy. Do uszu Jima dobiegały jedynie wypowiedane szeptem imiona „Martin” oraz „Catherine”. Zanim się odwrócił, poczekał, aż i to ucichnie. Po chwili ciszę zakłócało jedynie skrzypienie podeszew adidasów.

W końcu stanął przed klasą i spojrzał po kolei na każdego z uczniów. Siedzący w kącie Greg Lake jak zwykle robił dziwaczne miny. Cierpiał na brak koordynacji ruchowej i teraz wyglądał, jakby miał w ustach szczególnie kwaśnego cytrynowego cukierka. Amanda Zaparelli, pełna temperamentu dziewczyna o oliwkowej skórze i ochryłym głosie palacza, miłośniczka mocnych perfum chronicznie niezdolna do odróżnienia przymiotnika od przysłówka. „Powinieneś mnie widzieć, jak weszłam do tego pokoju. Byłam zabójczo”. Jane Firman, blada dyslektyczka o skłonności do nieoczekiwanych wybuchów płaczu. Titus Greenspan III, poważny młodzieniec o wytrzeszczonych oczach. Przykładał się do nauki bardziej od innych, ale zawsze brał wszystko zbyt dosłownie. Gdy czytał: „Południowe słońce wywierciło mi dziurę w głowie” – podnosił rękę i pytał, dlaczego narrator nie padł na miejscu trupem, opryskując mózgiem okoliczne wydmy.

Sharon X w obszernej czarnej sukni, krojem przypominającej albę, która stanowiła zapewne strój

żałobny czarnych muzułmanów. Poważny John Ng o okrągłej jak księżyc twarzy, na którego biurku stał w słoiku biały goździk. W Wietnamie biały kolor symbolizował śmierć.

Jim przyglądał im się uważnie, każdemu po kolei. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak bardzo poruszały go ich kłopoty. Czasem pragnął, by nigdy nie musieli kończyć szkoły i opuszczać jego klasy. Byli tak niepowtarzalni, tak pełni przesadnych oczekiwań i szaleńczych ambicji. Chcieli zostać gwiazdami. Chcieli występować w telewizji i mieszkać w wielkich, otynkowanych na różowo domach. A on miał tak niewiele czasu, by ich czegoś nauczyć, pomóc im przezwyciężyć trudności z czytaniem, wzbogacić ich boleśnie ograniczone słownictwo – nie wspominając już o jękaniu, nierozróżnianiu części mowy i zatrważającej nieznajomości historii, geografii czy choćby ogólnej sytuacji na świecie.

– Jak nazywa się stolica Chile? – zapytał kiedyś Ricky’ego Hermana.

– Wiem! – zawołał Mark Foley podnosząc rękę. – Con Carne!

Jim kochał ich wszystkich, ale nienawidził subkultury, która wmówiła im, że czytanie nie ma sensu, że poprawna pisownia nic nie znaczy i że każdy głupi wiersz, jaki napisali, jest równie dobry jak wiersz Marianne Moore czy Roberta Lowella. Najbardziej nienawidził jej za to, że pozbawiła ich umiejętności wyrażania swoich uczuć, zwłaszcza w chwilach takich jak ta.

– Wczoraj wszyscy przeżyliśmy wielki wstrząs i ponieśliśmy stratę tak bolesną, że trudno ją wyrazić słowami – powiedział cicho. – W sobotę nad ranem na Venice Beach znaleziono ciało Martina Amato. Był czyimś synem, bratem i przyjacielem. Studiował inżynierię lądową i przewodził drużynie futbolowej. Miał dwadzieścia jeden lat i dwa miesiące.

Przeszedł na tył klasy, gdzie siedziała Sue–Robin Caufield. Miała przepasane czarną chustą ramię i dzielnie walczyła ze łzami. Przez jakiś czas chodziła z Martinem, zanim pojawiła się Catherine.

– Co można powiedzieć o kimś takim jak Martin? – mówił Jim. – Był odpowiedzialny

i wrażliwy. Traktował wszystko bardzo poważnie. Nie był może geniuszem, ale był lojalny wobec swojej szkoły, drużyny i przyjaciół. Był zwykłym facetem, zasługującym na szczęście i spełnienie życiowych planów. Teraz to wszystko zostało mu odebrane... i nam również. Nasze życie będzie uboższe, staniemy się mniej ufni w dobroć świata, w którym żyjemy.

Przeszedł do stolika Catherine. Splotła dziś ciasno włosy czarną wstążką i włożyła czarną suknię. Jej oczy były zapuchnięte od płaczu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Jim. – Jeżeli chcesz, możesz iść do domu.

– Nic mi nie jest – odparła cicho, nie podnosząc wzroku. – Proszę... wolałabym zostać.

Jim popatrzył na nią, a potem ponownie zwrócił się do klasy:

– Chciałbym, żebyście napisali krótki wiersz o Martinie. Chciałbym, żebyście wyrazili w nim wszystko, co czujecie wobec niego czy innego utraconego przyjaciela.

Muffy Brown podniosła rękę i zapytała:

– Przepraszam, panie Rook, ale czy to nie jest trochę cyniczne? Martin zginął przed niespełną dobą, a pan już zamienia jego śmierć w zadanie domowe?

Muffy była drobniutka i bardzo ładna, a jej osobowość przyrównać można było do pokoju wypełnionego podskakującymi kauczkowymi piłkami. Na początku semestru zaplatała włosy w najbardziej wyszukane warkocze, jakie Jim kiedykolwiek widział, lecz teraz ścięła je prawie do gołej skóry, pozostawiając jedynie krótkiego jeża na czubku głowy.

– Jeśli zdołacie wypowiedzieć słowami wasze uczucia wywołane śmiercią Martina, złożycie mu tym najlepszy z możliwych hołdów – powiedział Jim. – Jeśli zdołacie wyrazić wasz szok, gniew, poczucie niesprawiedliwości... jeśli nauczycie się przekazywać innym wasz smutek, to nie tylko rozwinięcie wasze umiejętności komunikowania się z ludźmi, lecz także łatwiej pogodzicie się z tym, co się wydarzyło. – Wziął do ręki jedną ze swoich książek i oświadczył: – Allen Ginsberg po śmierci swojej matki napisał długi wiersz pod tytułem „Kadysz”, pełen

gniewu, zdziwienia, ale i ulgi, ponieważ jego matka była umyślowo chora. W ten sposób uhonorował ją i upamiętnił. Pozwoliło mu to również pogodzić się z tym, że z pięknej młodej dziewczyny przemieniła się w starą kobietę, w „wyschnięty szkielet o włosach obsypanych siwizną”. Na koniec mówi do niej: „Odpocznij już sobie. Nie będziesz więcej cierpieła. Wiem, dokąd odeszłaś, to dobre miejsce”. – Odłożył książkę i dodał: – Napiszcie dla Martina coś, co wypływa prosto z waszych serc.

W klasie zapanowała cisza. Potem, niemal jednocześnie, wszyscy wyciągnęli zeszyty, wzięli do rąk długopisy i zaczęli pisać. Jim nie przypominał sobie, by kiedykolwiek byli równie przygnębieni. Wrócił do biurka, usiadł i sam również zaczął pisać. Nie pisał jednak o śmierci Martina. Zanotował: „Dwóch przyjaciół? Kto? Podróż? Dokąd? Mecz bez zwycięzców? Jak?”. Przez długi czas siedział wpatrując się w zapiski i próbując znaleźć w nich jakiś sens. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na swoich uczniów. Mozolili się nad zadaniem, które im zadał, ale zauważył, że w wielu zeszytach było nie więcej niż dwie, trzy linijki. Niemniej jednak, jak na drugą klasę specjalną, nawet dwie czy trzy linijki stanowiły nie lada osiągnięcie. Szczególnie natchniony wydawał się Russell – a może najbardziej wstrząśnięty – bo zapełnił już jedną kartkę i zabierał się do następnej, przygryzając nerwowo język.

Kiedy Jim spojrzał w kierunku Catherine, zobaczył, że dziewczyna wcale nie pisze. Siedziała wyprostowana z odchyloną do tyłu głową, wpatrując się w sufit. Na jej twarzy malował się błogi uśmiech. Po chwili zaczęła kiwać głową na boki. Jest w szoku, pomyślał Jim i poderwał się, odpychając krzesło tak gwałtownie, że przewróciło się na podłogę z głośnym trzaskiem.

Uczniowie spojrzeli na niego, więc uniósł ręce i powiedział:

– Wszystko w porządku. Wracajcie do pracy.

Podszedł do stolika Catherine i stanął nad nią.

– Catherine, jak się czujesz? Może wyjdiesz na parę minut? Świeże powietrze dobrze by ci

zrobiło.

Kiedy nie odpowiedziała, ostrożnie pochylił się i dotknął jej ramienia:

– Catherine, może byś poszła do pielęgniarki?

Dziewczyna powoli odwróciła głowę. Gdy spojrzała na Jima, poczuł irracjonalne ukłucie strachu i odruchowo cofnął się o krok. Jej spojrzenie było zupełnie bez wyrazu, jak gdyby nie wiedziała nawet, kim ani czym jest. Nikt nigdy jeszcze tak na niego nie patrzył i Jim nie wiedział, jak powinien zareagować.

– Wszystko w porządku, panie Rook – zapewniła go Catherine niemal niesłyszalnym szeptem. – Nie potrzebuję pielęgniarki. Nic mi nie jest.

– Może powinnaś jednak wrócić do domu? To się zdarzyło dopiero wczoraj. Szok może potrwać dni, tygodnie, a nawet i lata.

– Chcę tu zostać – odparła z naciskiem. – Proszę, panie Rook. Wolałabym tu zostać.

– W porządku. Ale jeżeli zaczniesz ci się kręcić w głowie czy coś takiego...

– Muszę tu zostać – syknęła. – Nie rozumie pan? Muszę tu zostać!

– Oczywiście – odparł, unosząc obie ręce na znak kapitulacji. – Skoro chcesz tu zostać, zostań. Mnie to nie przeszkadza.

Catherine nie odrywała od niego wzroku, gdy wycofywał się między ławkami. Usiadł za biurkiem i posłał w jej stronę ostatnie zatroskane spojrzenie. Wciąż była w szoku, nie było co do tego wątpliwości, ale nie chciał dodatkowo jej denerwować ani zakłócać przebiegu zajęć. Później zamieni z nią parę słów na osobności.

Wrócił do rozwiązywania swojej zagadki. Dwóch przyjaciół. Kto? Nie dostrzegł kropli krwi, która pojawiła się między zaciśniętymi wargami Catherine, stoczyła się po jej podbródku i skapnęła na zeszyt, pozostawiając na papierze małą czerwoną plamkę.

Dziewczyna wytarła usta wierzchem dłoni, a potem uniosła głowę i znowu zaczęła

wpatrywać się w sufit spojrzeniem pozbawionym wyrazu, jakby wsłuchiwała się w wiadomość pochodzącą z dalekiej przeszłości.

Kiedy Jim wychodził ze szkoły o czwartej po południu, ujrzał Catherine czekającą nieopodal parkingu z opuszczoną głową i długimi włosami targanymi ciepłym wiatrem. Podszedł do niej i zapytał:

– Czekasz na braci?

Skinęła głową, ale nawet na niego nie spojrzała.

.– Catherine, przeżywasz teraz ciężkie chwile – powiedział Jim. – Nie musisz wracać do szkoły, dopóki nie będziesz gotowa. Może powinnaś porozmawiać ze swoim lekarzem albo ze szkolnym psychologiem? Byłaś już kiedyś u Naomi? Może wygląda trochę ekscentrycznie z tą swoją fryzurą na jeża, ale potrafi słuchać i jest najzupełniej normalna. Pewnie powie ci, że twoim problemem jest wysublimowane poczucie winy czy coś w tym rodzaju.

Catherine uniosła głowę. Łzy spływały jej po twarzy, mokre kosmyki włosów przylepiły się do policzków.

– A jeżeli to naprawdę jest moja wina?

– Jakim sposobem? Tylko dlatego, że jako ostatnia widziałaś Martina żywego?

– Chciał ze mną zostać. Chciał się ze mną przespać. A ja mu odmówiłam.

– I co to niby ma oznaczać? Że gdybyś mu pozwoliła zostać, nie wróciłby na plażę i nie zginąłby?

– Nie wiedziałam, co robić. Gdybym pozwoliła mu zostać, a Paul i Szara Chmura dowiedzieliby się o tym...

– Catherine, jesteś już pełnoletnia. Gdybyś chciała spędzić tę noc z Martinem, Paul i Szara Chmura nie mogliby ci tego zabronić.

Potrząsnęła głową. Włosy opadły jej na twarz, a oczy błyszczały od łez.

– Nie możesz pozwolić braciom, by kierowali twoim życiem – dodał Jim. – W porządku, rodzina to rodzina. Wierzą, że tak jest dla ciebie najlepiej i że Navajo powinni zachować czystość rasową. Ale spójrz na mnie. Mam w sobie krew niemiecką, szkocką i węgierską. Możesz należeć do plemienia Navajo, przede wszystkim jednak jesteś sobą i tylko ty decydujesz, co jest dla ciebie najlepsze.

– Nie w tym rzecz – odparła Catherine. – Gdyby Paul i Szara Chmura przyłapali nas razem, obiliby Martina, jestem tego pewna. Za każdym razem, gdy zbliżyłam się do kogoś, przepędzali go albo zastraszaali. Martin był pierwszym chłopakiem, który nie dał sobą pomiatać. Gdyby doszło między nami do czegoś poważniejszego... sama nie wiem. Bardzo się bałam. To dlatego nie wpuściłam Martina do domu.

– Skąd miałaś wiedzieć, co się stanie? – zapytał Jim. – Robiłaś wszystko, by go ochronić. Podniosła głowę, łzy znowu popłynęły po jej policzkach. Jim sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę papierowych chusteczek. Wyciągnął jedną z nich i osuszył jej oczy.

– Zabiłam go – powiedziała głosem zdławionym bólem. – Nie powinnam była z nim chodzić. Nie powinnam była się w nim zakochiwać.

– Ależ Catherine, nie zabiłaś go. Miał pecha, to wszystko. Każdy wie, że plaża w nocy może być niebezpiecznym miejscem.

Ponownie otarł jej oczy i nagle usłyszał warkot ośmiocylindrowego silnika. Na parking zajechał czarny firebird jej braci, zatrzymując się tuż za nimi. Paul i Szara Chmura w czarnych dżinsach i okularach przeciwsłonecznych podeszli do Catherine i stanęli po jej bokach.

– Proszę, proszę, bracia Cheeryble – mruknął Jim. Była to aluzja do dwóch postaci z „Nicholasa Nickleby”.

– Że co? – syknął Szara Chmura zdejmując okulary.

– Nie wysilaj się. Nie oczekuję od ciebie znajomości Dickensa.

– Dickensa? To sieć moteli dla takich jak ty? – zapytał ironicznie Szara Chmura.

– Masz osobliwe poczucie humoru – stwierdził Jim.

– Catherine przychodzi tu po wiedzę, chłopie – wtrącił się Paul, podchodząc do niego. –

Podrywacze jej niepotrzebni. A już najmniej potrzeba jej cywilizacyjnej indoktrynacji białych ludzi.

– Wybór sposobu spędzania wolnego czasu zależy tylko od niej, zgodzicie się chyba?

– Nie, raczej nie. Na twoim miejscu ograniczyłbym się do nauczania angielskiego i nie wtrącał się do jej życia, jasne?

– A jeśli nie, to co?

– Pamiętaj, co spotkało twojego kapitana futbolistów.

– To groźba? – spytał Jim.

Szara Chmura pokręcił głową.

– Skądże znowu. To jedynie przepowiednia, tak jak to, co powiedzieliśmy Martinowi Amato.

Tego samego wieczoru Jim zabrał Susan do St Mark's na Windward Avenue. Lubił ten zatłoczony, gwarny lokal, w którym posiłek nie kosztował więcej niż trzydzieści dolarów od osoby, jeśli oczywiście nie przesadzało się z winem. Usiedli przy małym stoliku w rogu sali, próbując rozmawiać, podczas gdy King Jerry and the Screamers prezentowali ogłuszającą wersję „Domu wschodzącego słońca”.

Potem Jim odwiózł Susan do domu. Siedzieli w zaparkowanym przed jej domem samochodzie.

– Dzięki za dzisiejszy wieczór – powiedział Jim. – Potrzebowałem czegoś takiego, by przestać myśleć o Martinie.

– Ja również ci dziękuję. Dobrze się bawiłam.

– Posłuchaj – powiedział dotykając jej ramienia – pamiętasz, co mówiłaś wcześniej

o łodziach na stawie?

Spojrzała na niego przechylając głowę na bok i natychmiast zrozumiał, jaką odpowiedź usłyszy.

– Wybacz mi – odparła. – Po prostu sama nie wiem, Jim. Nasz związek zmierza donikąd.

– A dokąd według ciebie miałyby zmierzać? Do Paryża? Do Rzymu?

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Nie w tym rzecz. To powinno rozwijać się samo z siebie, mieć własną siłę napędową.

Tymczasem wszystko, co robimy razem, wydaje się nie mieć znaczenia.

Jim spojrzał jej prosto w oczy.

– Co przez to rozumiesz? Może już się znudziłaś rozmowami ze mną i chcesz zająć się czymś innym? Jestem tylko nauczycielem, Susan. Moją siłą napędową jest idea przekształcania małych półanalfabetów w ludzi umiejących się wysławić.

– Tak, wiem – odparła Susan. – I zawsze cię za to podziwiałam. Ale prawda jest taka, Jim...

– zawahała się i dokończyła: – że zapomniałam, dlaczego się w tobie zakochałam.

Poczuł zimny, śliski dotyk w żołądku.

– Czy to ważne dlaczego? – zapytał. – To znaczy dopóki mnie kochasz.

– W tym właśnie sęk, Jim, że już cię nie kocham.

– Niedawno mówiłaś, że tak.

– Cóż, zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że chyba nie jestem uczciwa wobec ciebie. Ale nie chciałam sprawić ci bólu.

– Lepiej stawić czoło faktom. Nie powinniśmy się okłamywać, prawda?

– Nie – odparła spuszczaając oczy.

– Przecież nadal możemy mówić do siebie „cześć” na korytarzu, oglądać razem mecze szkolnej drużyny i plotkować podczas zebrań rady pedagogicznej, racząc się kawą.

– Jim... – powiedziała, biorąc go za rękę.

Nabrał powietrza w płuca.

– Nie martw się – odparł. – Jakoś to przeżyję.

Ale nagle przyszło mu na myśl, że jeżeli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie znajdzie „dwóch przyjaciół”, najprawdopodobniej jednak zginie.

Wiedział, że coś jest nie w porządku, kiedy tylko wszedł na balkon prowadzący do mieszkania. Drzwi wejściowe były otwarte, a przez próg przesypywały się setki delikatnych, kruchych drobinek przypominających płatki śniegu – tyle że nie mógł to być śnieg, bo mimo późnego wieczoru temperatura wciąż jeszcze przekraczała piętnaście stopni.

Ostrożnie podszedł do drzwi, ciasno zwijając w rękę egzemplarz *Esquire*, by w razie potrzeby móc użyć go w charakterze pałki. Nasłuchiwał uważnie, lecz słyszał tylko telewizor Myrlina, wybuchający co chwila reżyserowanym śmiechem. Tylko to i normalne odgłosy ulicy. Ktoś grał gdzieś na gitarze, ktoś inny śmiał się głośno.

Kiedy stanął przed drzwiami i płatki obsypały mu buty, zobaczył, że są to drobinny wielobarwnej pianki z tworzywa sztucznego. Pochylił się, podniósł parę z nich i zgniótł je między palcami. Wyglądało na to, że ktoś rozpruł poduszkę i opróżnił jej zawartość na podłogę.

– Kici-kici? – zawołał cicho. Poczekał chwilę, ale Tibbles się nie pojawiła. Zagwizdał, jednak również bezskutecznie. Posiadanie kotki, która nie reagowała na własne imię ani na jakiegokolwiek przywoływanie, było nie lada problemem. Stało się to z dnia na dzień jakieś półtora roku temu i Jim zabrał ją nawet do weterynarza podejrzewając, że zwierzę ogłuchło. „Taki już ma charakter” – oświadczył weterynarz po zbadaniu zwierzęcia.

Jim wyciągnął rękę i pchnął skrzydło drzwi. Ktoś musiał wcześniej otworzyć je kopniakiem, bo obudowa zamka wyrwana została z framugi. Wewnątrz było niemal kompletnie ciemno i przez dłuższą chwilę Jim zastanawiał się, czy odważy się wejść do środka. Podczas ostatnich

paru tygodni na Electric Avenue miała miejsce cała seria rabunków i dwóch Bogu ducha winnych mieszkańców zostało postrzelonych, w tym jeden śmiertelnie.

– Jeżeli tam jesteś, lepiej wyłaź! – zawołał Jim. – Gliny zaraz tu będą, a ja mam broń!

Odpowiedziała mu cisza. Namacał na ścianie kontakt, wziął głęboki oddech i włączył światło.

W pierwszej chwili nie dotarło do niego to, co ujrzał. Ale kiedy wszedł do środka, zrozumiał, że całe mieszkanie zostało kompletnie zdemolowane. Fruwające wokół drobiny pochodziły z jego kanapy, wybebeszonej aż do samych sprężyn. Całą podłogę pokrywała warstwa pianki poliuretanowej, miejscami sięgająca do kostek. Dookoła poniewierały się zerwane ze ścian i połamane obrazy. Telewizor miał rozbity ekran, kolekcja kompaktów została zmasakrowana, a książki porzucano po całym pokoju.

Kuchnia wyglądała podobnie. Ktoś wyrwał drzwi lodówki, jej zawartość wyrzucono na podłogę. Wielki słoik soku pomidorowego leżał w czerwonej kałuży przypominającej krew. Najbardziej przerażające były jednak ślady szponów na szafkach. Nawet plastikowy blat kuchenny pokrywały szramy, gdzieśgłębokie na ponad cal.

Jim podniósł połamaną ramkę zdjęcia kuzynki Laury, w której kochał się beznadziejnie w młodości. Szkło zostało stłuczone, pazur oddarł pół twarzy Laury. Przyglądał się fotografii przez chwilę, a potem rzucił ją z powrotem na podłogę. Poczul się, jakby całe jego życie zostało podarte na strzępy – jakby wszystko, co kiedykolwiek pomyślał, czuł lub uczynił, było bez znaczenia, i los wybrał ten właśnie sposób, by mu o tym przypomnieć.

Ale najgorsze było jeszcze przed nim. Kiedy przeszedł do sypialni, ujrzał pociętą na skrawki pościel i rozprute poduszki. W łazience lustra zamienione zostały w witraże, a wyrwana ze ściany umywalka leżała na podłodze – jednak instalacja przetrwała ten kataklizm bez uszczerbku.

Miał już zamknąć drzwi do łazienki, gdy w potrzaskanym lustrze na drzwiczkach szafki

dostrzegł jakiś ciemny kształt. W pierwszej chwili pomyślał, że to tylko szlafrok, który zazwyczaj wisiał na drzwiach, ale po chwili spostrzegł, że szlafrok ma gesty futrzany kołnierz. Z przerażeniem odwrócił się i spojrzął na drzwi. Szlafrok wisiał na swoim miejscu i wcale nie miał futrzanego kołnierza – była nim kotka Tibbles wisząca na tym samym haczyku, przebijającym jej szeroko rozwarty pysk, podniebienie i czaszkę. Jej oczy były szeroko otwarte i szkliste, a zęby wyszczerzone w pełnym cierpienia grymasie.

Jim pochylił się nad wanną i zwrócił na wpół strawiony stek, ziemniaki i brokuły, razem z kwaśnym strumieniem wina i żółci.

Wytarł usta ręcznikiem i wrócił do salonu, ostrożnie stąpając po potłuczonym szkłe, połamanych kompaktach i książkach. Za sofą znalazł telefon, jakimś cudem nie uszkodzony. Z kieszeni płaszcza wyjął wizytówkę porucznika Harrisa i zadzwonił pod jego domowy numer. Wciąż jeszcze czekał na połączenie, kiedy w drzwiach zamajaczyła jakaś postać. Była to panna Neagle w na wpół przezroczystym różowym szlafroku.

– Mój Boże, Jim, co tu się stało? Wyglądasz, jakbyś właśnie przeżył małe prywatne trzęsienie ziemi.

– Chyba masz rację, Valerie – odparł Jim. – Pamiętasz, co mówiłaś o tej mrocznej istocie idącej moim tropem... starej, ciemnej i szczeciniastej? Cóż, niemal mnie dopadła. Gdybym nie wyszedł dziś wieczorem do miasta...

Panna Neagle przeszła przez zrujnowany pokój, stanęła obok Jima i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Tak mi przykro... musisz być wstrząśnięty.

– „Wstrząśnięty” to niewłaściwe słowo. Jestem przerażony. A mój kot... Cokolwiek to było, zabiło mojego kota.

Panna Neagle pociągnęła nosem, zupełnie jak kiedyś pani Vaizey.

– Wciąż jeszcze to czuję – powiedziała po chwili.

Jim także pociągnął nosem, lecz wyczuł jedynie zapach kawy Folger's, rozsypanej po całej kuchni.

– To miało jakiś zapach? – zapytał.

– Nie, to nie jest prawdziwy zapach... raczej duchowy aromat. Czasem, gdy stoję przy kimś, kto zrobił coś bardzo złego, wyczuwam okropny odór, jakby gnijącego mięsa. A kiedy stykam się z ludzkim szczęściem, czuję zapach kwiatów.

– Więc jak to coś pachnie? – Jim ponownie pociągnął nosem.

– Jak zwierzę, nie jest zwierzęciem. Ma silną, choć piżmową woń, podobną do woni niedźwiedzia. Czuję też jego aurę. Jest wściekłe, niemal oszalałe z wściekłości. Nie sądzę, by ktoś zdołał je powstrzymać. Gdyby było trzeba, przebiłoby się nawet przez ceglany mur, żeby się do ciebie dostać. – Przerwała, zmarszczyła czoło i dodała: – A jednak, hmmm, a jednak...

– A jednak co?

– Nie wiem. Wyczuwam coś jeszcze. Być może jakąś dezorientację...

– Dezorientację? Nie miało żadnych problemów z rozwaleniem całego mojego dobytku. Podarło nawet moją piżamę.

Panna Neagle spojrzała na niego unosząc jedną brew i teraz wyglądała zupełnie jak panna Neagle, nie pani Vaizey.

– Och... nie wiedziałam, że sypiasz w piżamie.

– Już nie – odparł ponuro Jim.

W tej samej chwili wreszcie go połączono. Porucznik Harris robił wrażenie człowieka przegrywającego walkę z katarem.

– Tu Harris. Jaki ma pan problem, panie Rook?

– Ktoś właśnie zdemolował moje mieszkanie, tak samo tak przedtem szatnię w West Grove.

- Poniósł pan duże straty?
- Zabili mojego kota i zniszczyli wszystko, co posiadam. Meble, książki, obrazy...
- Czy ktoś z sąsiadów zauważył cokolwiek podejrzanego?
- Chyba nie, ale może to i lepiej. Ktokolwiek to zrobił, potrafi wydrzeć płuca z piersi za jednym zamachem.
- Dlaczego uważa pan, że to ta sama osoba, która zdemolowała szatnię?
- Zostały bardzo podobne ślady. Poza tym kto jeszcze ma dość siły, by wyrwać z zawiasów drzwi zamrażarki?
- Proszę posłuchać – powiedział porucznik Harris. – Chciałbym, żeby pan niczego nie dotykał. Poślę do pana wóz patrolowy, a sam będę tam za dwadzieścia minut.

Jim odłożył słuchawkę. Panna Neagle kręciła się po mieszkaniu z rękoma rozłożonymi na boki.

- Co jeszcze wyczuwasz? – zapytał Jim.
- Nie rozumiem tego. Czuję psa i niedźwiedzia. Dwa wyraźnie odrębne aromaty duchowe.
- Co to za różnica, ile zwierząt przyszło do mojego mieszkania i obróciło je w perzynę?
- Zasadnicza, Jim... Jedno z nich jest bardzo potężne i zdecydowane, lecz to drugie jak gdyby toczyło wewnętrzną walkę z samym sobą. To właśnie ta dezorientacja, o której ci wspominałam.
- Nic z tego nie rozumiem – mruknął Jim. – Chyba poczekam na gliniarzy na zewnątrz.

Kiedy próbował wyminąć pannę Neagle, złapała go za rękę i powiedziała:

- Zapach psa dochodzi z bardzo daleka... setki mil stąd. Musi być niezwykle silny, skoro daje się go wyczuć z takiej odległości. Niedźwiedź jest bardzo niebezpieczny, ale to psa powinieneś się wystrzegać.

Jim rozejrzał się po swoim zdemolowanym mieszkaniu.

– Więc uważasz, że to, co się stało, nie jest jeszcze takie najgorsze? Nie mówiąc już o tym, że pozostało mi podobno mniej niż trzy i pół dnia życia?

– Zdarzy się coś jeszcze gorszego, uwierz mi. – Panna Neagle spojrzała mu w oczy i nie było to jej spojrzenie, ale spojrzenie pani Vaizey. – Nawet nie wyobrażasz sobie, co to „coś” może z tobą zrobić, Jim. Te stworzenia potrafią zawładnąć twoim duchem równie łatwo jak ciałem. Kiedy umrzesz, spodziewasz się dołączyć do swoich rodziców i do tych, których kochałeś, prawda? Spodziewasz się powrócić do starych, znajomych miejsc, w których bawiłeś się jako chłopiec? Ale jeżeli oddasz swoją duszę tym bestiom, czeka cię tylko ból i ciemność. Istnieje życie po śmierci, jeśli jednak dasz się złapać tym potworom, będziesz tego gorzko żałował.

Rozdział IV

Jim spędził noc na kanapie w domu George’a Babourisa. George miał wielki brzuch, czarną brodę i uwielbiał bałagan. W salonie poniewierały się stare trampki, brudne koszule i puste kartony po pizzy oraz sterty książek i prace domowe uczniów. Wyglądało to niewiele lepiej niż w mieszkaniu Jima.

Kiedy tylko zaczęło świtać, George wstał i pomaszerował do kuchni w koszulce z Homerem Simpsonem i luźnych szortach, drapiąc się po tyłku i kopiąc papierosa. Jim posłał mu mętne spojrzenie z kanapy i zapytał:

– Na miłość boską, George, która to godzina?

– Piąta trzydzieści. Zawsze wstaję o piątej trzydzieści. Mam dzięki temu trochę czasu na sprawy nie związane ze szkołą.

– Piąta trzydzieści! Cholera, to jeszcze prawie dzień wczorajszy!

– Owszem, ale pomyśl tylko, ile możesz przez to osiągnąć. Piszę teraz książkę. Każdego rana jestem w stanie napisać dwie, trzy strony, zanim zacznę wbijać do tych ptasich mózdków podstawy prawa Newtona. Sam zobacz – powiedział, podając Jimowi garść wygniecionych,

poplamionych kawą kartek.

Jim przetarł oczy i zerknął na tytuł: „Lutnia Apollina: historia muzyki greckiej”. Oddał kartki George’owi bez słowa komentarza.

– Poszedłem do biblioteki i stwierdziłem, że nikt jeszcze nie opublikował książki poświęconej greckiej muzyce kawiarnianej, więc pomyślałem sobie, że sam wypełnię tę lukę – oświadczył George. – Będę sławny! Może nawet wybiorą mnie na prezydenta Grecji?

Jim ubrał się i wyszedł do szkoły godzinę wcześniej niż zwykle, bo George zaczął sobie smażyć śniadanie złożone z ziemniaków i wołowiny z puszki, co wypełniło całe mieszkanie tłustym dymem, a potem uparł się, by zagrać nieco muzyki bouzouki, by Jim sam się przekonał, ile w niej słońca, morza i kraju, w którym mężczyźni są mężczyznami i mają owłosione piersi, a kobiety wykonują za nich większość pracy.

Siedział teraz sam w klasie, poprawiając prace domowe, a wokół niego wirowały w słońcu drobiny kurzu. Rzucił palenie siedem lat temu, ale nagle poczuł ogromną chęć na papierosa.

Zlecił klasie sporządzenie krytycznej analizy „Wyspy skarbów”. Mark Foley napisał: „Długi John Silver był ruwnym facetem z jedną nogą, przywódcą piratów. Chce zakosić cały skarb ale Jim Hawkins go powstrzymuje. Powinien zabić Jima Hawkinsa ale byli sobie bliscy, tak jak łojciec i syn”.

Jima zawsze zastanawiało to, że nawet jego najmniej zdolni uczniowie bezbłędnie docierali prosto do sedna. Ignorowali akcję opowieści i przechodzili od razu do jej przesłania. Beattie McCordic, która wszystko zawsze interpretowała z radykalnie feministycznego punktu widzenia, napisała: „W »Wyspie« nie ma żadnych kobiet–piratów, co jest idiotyczne, bo w rzeczywistości było ich mnóstwo, niektóre kompletnie odlotowe”. Ale potem dodała: „Nie oznacza to, że powieść jest antifeministyczna. Zachowanie Jima Hawkinsa przez cały czas zdeterminowane jest postawą jego matki, kobiety cichej, lecz silnej i moralnej. W książce występują dwie kluczowe

postaci: Długi John Silver i matka Jima Hawkinsa, chociaż matka Jima pojawia się jedynie na początku i na końcu powieści”.

Po dwóch czy trzech pracach odwrócił się w stronę okna i pomyślał o swojej kotce. Poczł taki gniew i smutek, że niemal zapłakał. W tym momencie ujrzał zajeżdżającego na parking granatowego chevroleta caprice, z którego wysiadł porucznik Harris. Policjant założył ciemne okulary, przyczesał włosy, wygładził płaszcz i ruszył w stronę szkoły.

Dwie czy trzy minuty później rozległo się stukanie do drzwi.

– Panie Rook? – odezwał się Harris.

– Proszę – odparł Jim. – Ma pan minę kota, który dobrał się do kawioru.

– Cóż, pomyślałem sobie, że pewnie ucieszy pana wiadomość, że w sprawie morderstwa Martina Amato nastąpił przełom.

– To dobra nowina. Aresztował pan już kogoś?

Harris uniósł triumfalnie jeden palec do góry.

– To była perfekcyjna robota – oznajmił. – Przeprowadziliśmy wywiad we wszystkich domach na Venice Beach, a potem posłaliśmy ludzi na moło, by zatrzymywali wszystkich rowerzystów, biegaczy i spacerowiczów. Wypyaliśmy wszystkich kulturystów z Muscle Beach i wrotkarzy z Graffiti Pit.

Jim odłożył pióro, czekając, by porucznik Harris skończył zachwycać się przedsięwziętymi przez siebie krokami proceduralnymi.

– Udało się nam znaleźć dwóch młodych facetów z Idaho. Przyjechali tu autostopem aż z Boise, by statystować w filmach. W sobotę nie mieli gdzie się zatrzymać, więc postanowili przespać się na plaży, i wtedy wpadło na nich dwóch mężczyzn.

Porucznik Harris wziął do ręki małe gipsowe popiersie Szekspira stojące na biurku Jima i obejrzał je uważnie.

– A to kto? To ten gość ze *Star Trek*? – zapytał.

– Poruczniku... – przerwał mu zniecierpliwiony Jim.

– Ach tak. Cóż, doszło do małej szamotaniny między tymi chłopakami z Idaho i facetami, którzy na nich wpadli. Nic poważnego i te dzieciaki pewnie by o tym zapomniały, ale gdy tamci dwaj zwiali, jeden z chłopaków zauważył, że ma ręce usmarowane krwią. Najpierw pomyślał, że dostał nożem, więc poszedł do pobliskiej knajpki, umył się dokładnie i wtedy okazało się, że nawet nie jest draśnięty. To musiała być krew tamtego drugiego faceta.

– I co z tego wynika?

– Ano to, że tamten facet tuż przedtem pochlastał kogoś i umazał się jego krwią.

– Skąd pan to wie?

Porucznik Harris uśmiechnął się triumfalnie.

– Ci goście z plaży zidentyfikowali go jako brata Catherine Biały Ptak, Szarą Chmurę, a w jego towarzyszu rozpoznali Paula, drugiego brata Catherine.

– Nabiera mnie pan. Udają twardzieli, ale tak daleko by się nie posunęli.

– To z pewnością ich sprawka, panie Rook. To oczywiste. Nie podobało im się, że ich siostra spotyka się z białym chłopakiem, a kiedy nie zgodziła się z nim zerwać... Honor plemienia i tak dalej.

– Aresztował ich pan?

– Tak. Są podejrzani o morderstwo pierwszego stopnia – oświadczył Harris. – Ale przyznaję, że wciąż nie wiem, jakim sposobem zadali Martinowi Amato te potworne rany. Jednak w chwili jego śmierci przebywali na plaży, a Szara Chmura miał ręce umazane krwią. Przeprowadzamy teraz testy hematologiczne i DNA i jeżeli okaże się, że krew należała do Martina... to koniec pieśni, panowie.

– A szatnia? A moje mieszkanie? A mój kot?

- Podejrzewam, że w pana przypadku w grę wchodzi ktoś inny.
 - Ale wyżłobienia pasują do siebie, prawda?
 - Istnieje pewna powierzchowna zbieżność, ale nasze laboratorium jeszcze nie zakończyło badań.
 - Panie poruczniku, to nieprawda – zaprotestował Jim. – Coś łączy wszystkie te sprawy. Szatnię zdemolowała ta sama osoba, która zabiła mojego kota i zniszczyła moje mieszkanie, –ta sama osoba jest również zabójcą Martina Amato.
 - Być może, ale jest jeden niewielki problem – odparł Harris.
 - Problem? Jaki problem?
 - Kiedy mordowano pańskiego kota i zmieniano wystrój pańskiego mieszkania, Paul i Szara Chmura jedli w domu obiad ze swoim ojcem i jego pięcioma kumplami z obsady programu.
 - I co z tego wynika? – spytał Jim.
 - To, że te dwie sprawy nie są ze sobą związane.
 - A jeśli Paul i Szara Chmura są niewinni? Wtedy taki związek mógłby istnieć.
 - Owszem, panie Rook – przyznał Harris. – Ale tak nie jest i kiedy to udowodnimy, Paul i Szara Chmura dostaną za swoje.
- Otwarły się drzwi i do środka ostrożnie wsadził głowę David Littwin.
- Można wejść, panie Rook? Przeszedłem wcześniej, żeby skończyć mój wiersz.
 - Pewnie, wejdź – powiedział Jim. – Porucznik Harris właśnie wychodzi.
 - Być może będziemy musieli jeszcze porozmawiać – oświadczył Harris. Najwyraźniej żywił ciężką urazę do Jima za to, że nie poklepał go po plecach i nie nazwał najwybitniejszym detektywem od czasów Maigreta.
 - Oczywiście, kiedy tylko będzie pan chciał – odparł Jim.

Harris zatrzymał się na moment w progu, a potem wyszedł. Jim powrócił do oceniania prac

domowych. Sherma Feldstein napisała: „Uważam, że »Wyspa skarbów« powinna być zakazana, ponieważ jedyną występującą w niej osobę ograniczoną ruchowo przedstawiono w bardzo niekorzystnym świetle. Jest to Długi John Silver, ma tylko jedną nogę, ale to nie jego wina. Ta książka może pogłębić uprzedzenia wobec ludzi niepełnosprawnych, przedstawiając je jako osoby chciwe, niemoralne i gotowe wykorzystać swe ułomności dla własnej korzyści”.

Jim dał Shermie dodatkowy punkt za poprawną pisownię i bogate słownictwo, ale nie miał pojęcia, jak ocenić jej interpretację „Wyspy skarbów” jako diatryby w obronie niepełnosprawnych.

Porucznik Harris wzbudzał w nim podobne uczucia. Być może miał rację i Martina zamordowali Paul i Szara Chmura, ale Jim miał wrażenie, że porucznik Harris rozumował podobnie jak Sherma Feldstein – ignorował wszystko oprócz swych własnych uprzedzeń.

Długi John Silver nie był wcale ofiarą dyskryminacji. Wręcz przeciwnie, dominował nad pozostałymi postaciami – a Paul i Szara Chmura sprawiali wrażenie ludzi natchnionych jakąś ideą, która być może była niezrozumiała dla białych ludzi, ale na pewno nie sprowadzała się jedynie do atakowania wszystkich, którzy zbliżyli się do ich siostry.

Na początku lekcji okazało się, że brakuje trojga uczniów. Titus Greenspan III miał kolejny ciężki atak astmy, Seymour Williams pojechał na pogrzeb ciotecznej babki, a Catherine Białą Ptak po prostu nie przyszła do szkoły. Nietrudno było pojąć dlaczego.

Jim nie poinformował klasy o aresztowaniu braci Catherine. Sami wkrótce się o tym dowiedzą.

– Może powiecie mi, jak wam poszło z wierszami? – zapytał. – Pomogły wam wyrazić to, co czujecie?

– Kiedy czuję się tak podle, wolałbym chyba coś rozwalić – odezwał się Ray. – No wie pan, wybić szybę, wykopać drzwi. Wtedy frustracja szybciej wyłazi z człowieka.

– Więc śmierć Martina była dla ciebie źródłem frustracji?

– Frustracji...? Jaja pan sobie ze mnie robi? Cały czas myślę tylko o tym. Facet był taki młody. Całe życie przed nim i trafia na jakiegoś świra, który go załatwia. Szkoda, że mnie tam nie było. Szkoda, że nie mogłem go uratować. Chciałbym, żeby dziś była sobota i żeby Martin jeszcze żył.

– I co zrobiłeś? Napisałeś wiersz czy rozwaliłeś coś?

– Jedno i drugie. Poszedłem do domu i połamałem moją gitarę. Waliłem nią o ścianę tak długo, dopóki nie zostały z niej same struny i kupa drzazg.

– Poczuleś się od tego lepiej?

Ray wzruszył ramionami i odparł:

– Owszem. Poczulem się lepiej.

– A wiersz? Chcesz go nam przeczytać?

Ray wyjął z ust gumę i przykleił ją pod blatem swojego stolika, a potem wziął do ręki starannie złożoną kartkę papieru i odchrząknął. Zwykle reszta uczniów powitałaby to gwizdami i okrzykami, jednak dzisiaj wszyscy milczeli. Wiedzieli, że trudno mu się wysłowić, ale rozumieli, co czuje.

– Ten wiersz ma tytuł „Rozwalona gitara” – powiedział Ray i zaczął czytać:

Rozwalilem dziś moją gitarę

I porwałem jej druty,

By nie grały już dla ciebie.

Nie chcę już grać ani śpiewać,

Nie usłyszysz mnie w niebie.

Jesteś jak moja gitara

Też rozwalony, mój stary,

Zamilkłeś i brakuje nam ciebie.

– Dobrze to wyraziłeś, Ray – stwierdził Jim. – Przez cały semestr nie napisałeś niczego lepszego. To bardzo trafne porównanie: milcząca, połamana gitara i życie Martina, również zamilkłe i zniszczone.

Ray oblał się rumieńcem, włożył z powrotem gumę do ust i zgarbił się nad swoim stolikiem, kryjąc twarz w dłoniach.

– Ktoś jeszcze? – zapytał Jim. John Ng nieśmiało podniósł rękę.

– Napisałem coś bardzo krótkiego – powiedział. – To niezupełnie *haiku*, ale chyba coś zbliżonego do tego.

– Posłuchajmy.

John Ng przeczytał swój wiersz:

Trawie

Brakuje dotyku twoich stóp

Piaskowi

brakuje twego biegnącego cienia

Lecz wiatr

Bierze cię w ramiona

– Czy mógłbyś nam to objaśnić? – zapytał Jim.

– Cóż... chciałem tylko powiedzieć, że kiedy człowiek odchodzi z tego świata, czeka na niego nowe życie. Nie można tego życia zobaczyć, tak jak nie można dostrzec wiatru, ale jest równie ekscytujące jak to na ziemi.

– Więc wierzysz w życie po śmierci?

– Oczywiście, panie Rook, tak samo jak pan.

– Proszę pana! – zawołał Russell. – Chce pan usłyszeć mój wiersz? Jest dosyć długi.

Sześćdziesiąt dwie zwrotki. Zatyłowałem go „Ballada o Martinie Amato”.

Mark Foley jęknął cicho. Ostatnia ballada pióra Russella stanowiła streszczenie „Wodnego świata” i była niewiele krótsza od samego filmu. Ale Jim powiedział:

– W porządku, Russell, czytaj.

Chłopiec zaczął recytować:

Tu ballada się zaczyna

To historia jest Martina

Był najlepszym zawodnikiem

I drużyny przewodnikiem

Był wesoły i wysoki

Głową sięgał nad obłoki

I nazywał się Amato

Więc czasem nazywaliśmy go Wariato

Russell czytał i czytał, monotonia rymów i powolnej recytacji usypiała. Jim zaczął wyglądać przez okno, rozmyślając o pani Vaizey i jej ostrzeżeniach, udzielonych za pośrednictwem Valerie Neagle. To już wtorek rano, uświadomił sobie nagle – w czwartek ma zginąć – a wciąż jeszcze nie ma pojęcia, kim są owi tajemniczy dwaj przyjaciele ani dokąd ma pojechać. Bezsilność budziła w nim nieustępliwy, natrętny lęk. Co ty wiesz o frustracji, Ray – pomyślał.

Russell wciąż jeszcze mamrotał, kiedy rozległo się stukanie do drzwi, zapowiadające pojawienie się sekretarki doktora Ehrlichmana.

– Panie Rook? Przepraszam, że przeszkadzam w lekcji, ale ma pan gościa.

– W porządku, dziękuję, Sylvio. Posłuchajcie – zwrócił się do uczniów: – pozwólcie

Russellowi dokończyć balladę, a potem chciałbym, żebyście przeczytali wiersz na stronie trzydziestej drugiej. To *Gasoline* Gregory’ego Corso.

Wyszedł z sali i ruszył korytarzem w ślad za duszącą smugą perfum Sylvii. Kiedy wszedł do gabinetu dyrektora, że zdumieniem ujrzał, że czeka tam na niego Henry Czarny Orzeł.

– Nie chcę panu przerywać lekcji, panie Rook, ale chciałym pana poprosić o wyświadczenie mi wielkiej przysługi – odezwał się Indianin.

– Cóż, prosić pan zawsze może – odparł ostrożnie Jim.

– Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? – zapytał Henry Czarny Orzeł, spoglądając ponad ramieniem Jima na Sylwię, która udawała, że przegląda terminarz doktora Ehrlichmana, nadstawiając ku nim jedno zakolczykowane ucho.

– Pewnie – odparł Jim. – Może się przejdziemy?

Przeszli korytarzem do frontowych drzwi i ruszyli wzdłuż kortów tenisowych. Ich rozmowa toczyła się do wtóru uderzeń piłki.

– Porucznik Harris poinformował mnie o zatrzymaniu pańskich synów – powiedział Jim.

Henry Czarny Orzeł skinął głową.

– Przyszli po nich dziś rano, zaraz po szóstej. Już rozmawiałem z tutejszym adwokatem, ale zwróciłem się też do prawnika Navajo.

– Podobno widziano Paula i Szarą Chmurę na plaży mniej więcej w tym czasie, kiedy zginął Martin Amato.

– To prawda – przyznał Czarny Orzeł.

– Więc tam byli?

– Owszem. Ale nie po to, by zamordować tego chłopaka, zaręczam panu.

– Jednak wcześniej mu grozili. Sam przy tym byłem. Zapowiedzieli Martinowi, że nie dożyje świtu.

– Nie zrozumiał ich pan. Nigdy nie zamierzali skrzywdzić tego Amato.

– Byli umazani jego krwią, tak powiedział Harris.

– Wiem. Ale mogę przysiąc, że nie zamordowali go.

– Co w takim razie robili na plaży?

Henry Czarny Orzeł zatrzymał się.

– Ochraniali swoją siostrę, jak zawsze.

– Ochraniali ją? Przed czym? Przed zwierzęciem, które zabiło Martina?

– Właśnie.

– Co to jest, to zwierzę? I dlaczego jej zagraża?

– Nie wiem i dlatego zwracam się do pana o pomoc – odparł Henry Czarny Orzeł. – Podobno posiada pan dar... Koledzy powiedzieli Catherine, że widzi pan rzeczy ukryte przed wzrokiem innych ludzi... rzeczy niematerialne.

– Owszem, czasami miewam różne wizje i przeczucia. Ale co to ma wspólnego z tym zwierzęciem?

– To zwierzę, panie Rook, nie jest zwykłym zwierzęciem. Przybywa ze świata duchów. To jakby klątwa.

– Klątwa... – powtórzył Jim, starając się okazać zainteresowanie. – Może powie mi pan coś więcej na jej temat?

– Uważam, że powinien pan porozmawiać o tym z Paulem i Szarą Chmurą. Obaj bardzo interesują się duchowym dziedzictwem Navajo. A ja jestem w niezwykle kłopotliwej sytuacji. Jak mam udowodnić, że moi synowie nie zabili Martina Amato, skoro zabiło go coś, czego nie można zobaczyć?

– Co według pana mogę na to poradzić?

– Proszę zobaczyć się z Paulem i Szarą Chmurą i przynajmniej wysłuchać tego, co mają do powiedzenia. Jeżeli nie chce pan tego zrobić dla nich ani dla mnie, proszę uczynić to dla Catherine. Ona wie, że jej bracia nie zamordowali Martina, i nie chce, by siedzieli w więzieniu.

Ten potwór musi zostać odesłany z powrotem do świata duchów, żeby nikogo więcej już nie mógł skrzywdzić.

– Muszę to sobie przemyśleć, panie Czarny Orzeł. W moim horoskopie na ten tydzień było parę aluzji o potworach... W dodatku przedwczoraj odwiedził mnie mój zmarły dziadek i ostrzegł mnie, żebym wystrzegał się czegoś starego, zimnego i szczeniastego. Według mnie ten opis jak ulał pasuje do jakiegoś potwora.

– Błagam pana, panie Rook. Gdyby tylko był jakiś inny sposób... gdyby ktoś inny mógł nam pomóc, nie prosiłbym Pana. Ale jedynie pan potrafi dostrzec tego potwora.

Jim przycisnął dwa palce do czoła, jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał. Po chwili mruknął:

– W porządku, porozmawiam z Paulem i Szarą Chmurą, zobaczę, co mają mi do powiedzenia. Ale dopóki nie przekonam się, o co w tym wszystkim chodzi, niczego nie mogę panu zagwarantować.

– Dam panu coś – powiedział Henry Czarny Orzeł. Sięgnął do kieszeni ozdobionej frędzlami kurtki z jeleniej skóry i wyjął z niej cienki srebrny gwizdek zawieszony na postrzępionym sznurku uplecionym z włosów. – Proszę... to należy do Szarej Chmury.

Jim wziął gwizdek do ręki i obrócił go w palcach.

– Co to jest? I do czego służy?

– Działa jak gwizdek na psy, w paśmie dźwięków niesłyszalnych dla ludzkiego ucha.

Jim dmuchnął na próbę, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Kilkadziesiąt stóp dalej jakiś mężczyzna spacerował z labradorem, jednak pies w ogóle nie zareagował, nawet kiedy Jim zagwizdał powtórnie.

– Na jakie psy to działa? – zapytał Jim.

– Proszę to wziąć... zrozumie pan więcej po rozmowie z Paulem i Szarą Chmurą.

– W porządku – odparł Jim. – Ale niczego panu nie obiecuję. I do tego boję się psów, więc jeżeli ten gwizdek przywołuje cokolwiek bardziej agresywnego niż chihuahua, możemy zapomnieć o całej sprawie.

– Żartuje pan sobie w obliczu śmierci?

– Nie, ale sama śmierć to największy żart świata. Tyle tylko, że nie widzę w niej niczego do śmiechu – oświadczył Jim.

Zjawił się w komisariacie tuż przed dwunastą. Jego samochód, jak to miał w zwyczaju, strzelił głośno i dwaj policjanci, którzy wysiadali właśnie ze swego radiowozu, odruchowo rzucili się na ziemię. – Przepraszam bardzo! – zawołał Jim, machając do nich ręką.

– Lepiej niech pan da ten tłumik do naprawy, zanim ktoś odpowie ogniem – ostrzegł go jeden z policjantów.

– Przepraszam – powtórzył Jim i wszedł do budynku.

Porucznik Harris właśnie wychodził. Wyglądał na zmęczonego i nieszczęśliwego.

– Panie Rook, naprawdę doceniam wsparcie, jakiego nam pan udziela, ale nie sądzę, by rozmowa z tymi Navajo wniosła do sprawy coś konstruktywnego – oświadczył, kiedy Jim wyłuszczył cel swojej wizyty.

– Nie wierzę, żeby byli winni – powiedział Jim.

– Taak? Grozili Martinowi Amato śmiercią przy wielu świadkach. A inni świadkowie widzieli ich w pobliżu miejsca zbrodni tuż po jej popełnieniu. Ich ubrania pokryte były krwią grupy zero, zgodną z grupą krwi Martina Amato. Poza tym odmawiają współpracy i są agresywni, a ich prawnik, który przed chwilą się zjawił, przypomina Siedzącego Byka.

– Siedzący Byk był Siuksem, nie Navajo.

– To bez znaczenia – burknął Harris.

– A jednak chciałbym z nimi porozmawiać – nie ustępował Jim. – Panie poruczniku, ich

rodzina mi ufa. Może uda mi się wyjaśnić, co się naprawdę zdarzyło.

Harris otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

– Dobrze... tylko nie dłużej niż dziesięć minut. A kiedy pan z nimi skończy, ani słowa dziennikarzom, jasne?

– Może mi pan zaufać, poruczniku.

Harris odwrócił się w stronę wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze i dodał:

– A tak przy okazji, sprawdziliśmy ślady pazurów w pańskim mieszkaniu i porównaliśmy je z bruzdami na ścianach szatni. Są podobne, jednak nie całkiem do siebie pasują.

– Co pan przez to rozumie?

– Cokolwiek zdemolowało pańskie mieszkanie, miało pazury o rozpiętości ponad jedenastu cali. A największy rozstaw pazurów w szatni tylko trochę przekraczał sześć.

– A rany na ciele Martina Amato?

– Osiem, może dziewięć cali.

– Potrafi to pan jakoś wytłumaczyć?

– Na razie nie, ale chciałem, żeby pan o tym wiedział.

– Może powinien pan szukać trzech różnych zwierząt. Albo jednego, które potrafi tak bardzo urosnąć przez weekend.

Harris zmierzył go ciężkim spojrzeniem, mrużąc jedno oko w nieświadomym

naśladownictwie porucznika Columbo. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała pogarda:

– Panie Rook, jeżeli znajdzie mi pan zwierzę, którego pazury mogą urosnąć o pięć cali

w ciągu trzech dni, proszę mi dać znać. A tymczasem, skoro już musi pan porozmawiać z tymi

dwoma Indianami, może spróbuje pan ich przekonać, by przyznali się do zabójstwa Martina

Amato i powiedzieli panu, jak to zrobili. Oszczędziłoby to nam wszystkim niepotrzebnych

wydatków i zamiast wędzić się w sądzie, moglibyśmy pojechać na ryby. Ale muszę już iść.

Sierzancie! Proszę zaprowadzić pana Rooka do naszych więźniów. Dziesięć minut, nie dłużej.

Zza biurka wyszedł brzuchaty sierżant z pękiem kluczy zawieszonym u pasa. Jego wąsy sterczały sztywno niczym szczotka do polerowania metalu.

– Proszę tędy – oświadczył protekcyjnym tonem. Przeprowadził Jima przez zamykające się automatycznie drzwi obok sali odpraw, do sali przesłuchań na tyłach budynku. Był tu jedynie stolik o blacie popalonym papierosami oraz cztery proste, drewniane krzesła. Okno przesłaniała stalowa siatka.

– Proszę usiąść – powiedział. – Za momencik przyprowadzimy pańskich przyjaciół.

Jim stanął przy oknie i czekał. Na zewnątrz widział jedynie tył radiowozu, róg ceglanego muru oraz kawałek intensywnie błękitnego nieba. Zastanawiał się, jak czują się ludzie, zmuszeni spędzić w więzieniu resztę swoich dni, i z tej perspektywy śmierć wydała mu się mniej okrutnym wyjściem. Nie chciał jednak rozmyślać o śmierci – i tak wciąż czuł na karku jej lodowaty podmuch.

Po chwili drzwi się otwały i sierżant wraz z jeszcze jednym funkcjonariuszem wprowadzili skutych kajdankami Paula i Szarą Chmurę. Sierżant polecił im usiąść z dala od stołu, a potem zwrócił się do Jima:

– Proszę pamiętać, co powiedział porucznik... tylko dziesięć minut. Nie wolno palić, przekazywać aresztantom papierosów, jedzenia, książek, podarków ani dokumentów. I żadnego kontaktu fizycznego – oświadczył i wyszedł.

Drugi policjant stanął przy drzwiach, splótł ręce na plecach i utkwiał wzrok w przestrzeni przed sobą, bezmyślnie przeżuwając olbrzymią bryłę gumy do żucia.

Jim usiadł.

– Pewnie wiecie, że odwiedził mnie wasz ojciec. Powiedział, że potrzebujecie mojej pomocy.

– Wcale nie chcieliśmy pana wzywać – odparł Szara Chmura, dumnie unosząc głowę – ale

Catherine nalegała, a dopóki siedzimy zamknięci tutaj, musi pan być naszymi oczami i uszami, nogami i rękami.

– Wasz ojciec wspominał o jakimś zwierzęciu...

– O potworze–duchu, tak. To potwór, którego nikt nie jest w stanie zobaczyć, nawet gdy ginie w jego pazurach.

– Ciężko będzie to wytłumaczyć ławie przysięgłych.

– Dlatego zwróciliśmy się do pana. Musi pan potwierdzić istnienie tego potwora–ducha.

Tylko w ten sposób możemy dowieść naszej niewinności.

– Może zechciałby pan poddać się testowi na wykrywaczu kłamstw... – zasugerował Paul.

– Chwileczkę – przerwał mu Jim. – Skąd macie pewność, że wam uwierzyłem?

– Gdyby pan nam nie wierzył, nie przyszedłby pan tutaj – odparł Szara Chmura.

– No dobrze... być może istnieje prawdopodobieństwo, że za śmierć Martina Amato odpowiedzialna jest jakaś niematerialna moc, ale jestem pewnie jedyną osobą na tej planecie, która tak uważa. Sądzę też, że szatnię w West Grove i moje mieszkanie zdemolowała ta sama istota, która zabiła Martina. Muszę mieć jednak więcej dowodów, zanim zacznę poddawać się testom na prawdomówność i przysięgać na Biblię, że to nie wy, ale niewidzialny stwór z zaświatów wypruł Martinowi płuca. W końcu byliście na plaży w chwili śmierci Amato.

– Daję panu słowo, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego – powiedział Paul. – Nawet nie widzieliśmy, jak to się stało.

– Byliście umazani krwią Martina.

– Trudno było tego uniknąć.

– A więc byliście tam zaraz po fakcie?

– Tak – przyznał sucho Paul. – Krew wciąż jeszcze tryskała z niego jak z fontanny.

Jim przesunął dłonią po włosach.

- Jesteście w tarapatach, panowie.
- No dobrze – powiedział Szara Chmura. – Pan widział ciało. Co według pana mogło zabić tego chłopaka?
- Może niedźwiedź albo górską puma – odparł po chwili wahania Jim.
- Ale jest pan pewien, że te obrażenia nie zostały zadane ludzką ręką?
- Chyba że uzbrojoną w jakieś dziwaczne pazury.
- Oczywiście – odparł Szara Chmura. – Ale czy potrafi pan sobie wyobrazić, jakiej do tego potrzeba siły? I co niby stało się z tymi dziwacznymi pazurami? Wyrzuciliśmy je gdzieś? Zakopaliśmy? A może są ukryte w naszym domu?
- W porządku – mruknął Jim. – Załóżmy, że zdołaliście mnie przekonać o istnieniu tego potwora–ducha, ale co mam według was teraz zrobić?
- Chcemy, by spowodował pan cofnięcie klątwy. Potwór musi wrócić tam, skąd pochodzi.
- A jak niby miałbym tego dokonać?
- Musi pan odbyć długą podróż – powiedział Szara Chmura. – Podróż, która zaprowadzi pana wiele mil stąd i jednocześnie do wnętrza pańskiej duszy. Musi się pan dowiedzieć, jak to jest być Indianinem Navajo. Musi pan przejść iluminację.
- „Zasięgnij porady dwóch przyjaciół – przypomniał sobie Jim. – Pojedź w długą podróż”.
- Czy nie sądzicie, że jeden z waszych braci Navajo znacznie lepiej by się do tego nadawał?
- Szara Chmura potrząsnął przecząco głową.
- Wielu Navajo wyrzekło się dawnych wierzeń. Zamiast troszczyć się o swe dusze, pragną jedynie samochodów i mieszkań. Kiedy biały człowiek zjawił się na naszej ziemi, pokonał nas nie bronią i chorobami, ale niszcząc naszą wiarę. Wszystkie nasze bóstwa utraciły swą moc i nie były już w stanie nas chronić. Nawet Gitche Manitou, Wielki Duch, pogrążył się w niemocy i milczeniu. Jak mógł przemawiać do ludu, który nie chciał go już słuchać? Kiedyś jego słowa

rozbrzmiewały na wietrze, jednak po przybyciu białych ludzi słyszeć było tylko syreny parowozów, warkot samochodów i jazgot programów radiowych. Gdzie miałby przetrwać duch wody, skoro rzeki zanieczyszczone zostały odpadami przemysłowymi? Dla ducha ognia również nie ma miejsca w tym świecie. Wciąż są wśród nas, ale ludzie stracili zdolność ich dostrzegania. Jedyne pan potrafi je zobaczyć.

– Nie jestem pewien, czy temu podołam – mruknął Jim. – Nie jestem też pewien, czy chcę próbować.

– Przykro mi, ale będzie pan musiał – odparł Szara Chmura. – I dobrze pan o tym wie. Jeżeli nie wyruszy pan na poszukiwanie tego potwora, on odszuka pana. Wie, że ochrania pan naszą siostrę, i wie, że potrafi go pan dostrzec. Jim nie był pewien, czy wierzy w to wszystko, jednak nagle poczuł się tak, jakby coś bardzo okrutnego i złośliwego starało się go wywęszyć. Zerknął za okno, ale cień, jaki dostrzegł kątem oka, okazał się jedynie cieniem poruszanego wiatrem liścia.

– Więc dokąd miałbym jechać? – zapytał. – I co miałbym potem zrobić?

– Musi pan polecieć do Arizony, do stolicy Navajo, Window Rock. Zabierze pan ze sobą Catherine i jeszcze troje przyjaciół. Mój ojciec opłaci wasz przelot. Po dotarciu do Window Rock spotka się pan z Navajo zwanym John Trzy Imiona, który zabierze was do Fort Defiance. My nazywamy go Meadow Between Rocks, Łąką Wśród Skał.

– I co dalej?

– Potem John Trzy Imiona zaprowadzi pana do człowieka, za którego Catherine ma wyjść za mąż.

– Więc zaręczyny Catherine mają z tym coś wspólnego?

– Tak – odparł Szara Chmura. – Mężczyzna, za którego ma wyjść nasza siostra, udał się do szamana, a on powołał z niebytu potwora–ducha mającego pilnować Catherine.

– Rozumiem...

– Nie wierzy nam pan? To prawda. Ten człowiek był tak rozwścieczony i zazdrosny, że zrobiłby wszystko, byle tylko powstrzymać innych przed zbliżeniem się do niej.

– No dobrze – mruknął Jim. – Ale powiedzcie mi, dlaczego wasz ojciec w ogóle obiecał temu facetowi, że odda mu Catherine? Przecież to nie w stylu Navajo, prawda?

Paul odparł po chwili wahania:

– Nasz ojciec zrobił to, ponieważ nasza matka umierała na raka jajników, a ten mężczyzna powiedział, że zna pewnego szamana, który będzie umiał uratować jej życie. W zamian pragnął jedynie ożenić się z Catherine i spłodzić z nią dzieci.

– I wasz ojciec przystał na to? Nie pytając Catherine o zdanie?

– Groziła mu utrata żony, panie Rook. Naszej matki. Był zrozpaczony.

– Ale wasza matka i tak umarła, prawda?

– Tak. Najwyraźniej duchy uznały, że przyszedł jej czas. Po jej śmierci ojciec próbował wyprosić unieważnienie zaręczyn, ale tamten mężczyzna oświadczył, że obietnica nie może zostać złamana. Ojciec nie zdołał nakłonić go do zmiany zdania.

– Tej samej nocy wyjechaliśmy z Window Rock, porzucając większość naszych rzeczy – dodał Paul. – Catherine nie wiedziała dlaczego, a my nie zamierzaliśmy jej tego mówić.

Przyjechaliśmy do Los Angeles i ojciec dostał rolę w *Blood Brothers*. Studio potrzebowało Navajo, a on nim był i potrafił grać.

– I co potem?

– Doszły nas słuchy, że tamten człowiek oszalał z zazdrości i zamierza poprosić szamanów o obłożenie Catherine klątwą, tak by żaden mężczyzna nie mógł jej tknąć. Cóż, widział pan, co się stało z Martinem... Potwór–duch zniszczył najpierw szatnię, a kiedy nie udało mu się zastraszyć Martina, zabił go.

Jim wstał i podszedł do okna. Na skrawek błękitnego nieba wpłynęła niewielka skłębiona chmura, a z dziedzińca zniknął radiowóz.

– To mocno zagmatwana historia... – powiedział.

– Proszę nam wierzyć, panie Rook, to szczerą prawdą. Czy opowiadalibyśmy panu kłamstwa, skoro w grę wchodzi nasza wolność? Jeżeli zostaniemy skazani, możemy trafić do komory gazowej.

– Proszę także pomyśleć o Catherine – dodał Szara Chmura. – I o wszystkich ludziach, którym może stać się krzywda.

– Na przykład mnie – stwierdził Jim.

– Pomoże nam pan? – zapytał Paul.

– Nie wiem – odparł Jim. – Nie powiedzieliście mi jeszcze, co mam zrobić, kiedy już znajdę tego człowieka. Jak mam go przekonać, by zrezygnował z Catherine?

– John Trzy Imiona wszystko panu wyjaśni. Ale musi mu pan coś zaoferować. Pieniądze lub coś innego.

– Przykro mi, panowie, ale obawiam się, że to mi nie wystarczy do podjęcia decyzji.

– Panie Rook, to zbyt skomplikowane, by teraz panu to wyjaśniać. Mogę jedynie obiecać, że nie będzie to nic trudnego.

– W porządku, może to nie będzie trudne. Ale czy będzie niebezpieczne?

Szara Chmura wzruszył wymijająco ramionami, a Paul odparł:

– Nie będzie niebezpieczne, jeśli zapamięta pan wszystko, co powie panu John Trzy Imiona.

– No, nie wiem – mruknął Jim. – Wciąż nie jestem przekonany.

Paul zacisnął w pięści skute kajdankami dłonie i uderzył nimi w kolana.

– Musi pan! – krzyknął. – Musi! Nie ma już czasu, a tylko pan może nam pomóc.

– Przykro mi. Być może tylko ja mogę wam pomóc, ale wciąż podejrzewam, że nie mówicie

mi wszystkiego.

– Niczego nie pominęliśmy. Pojedzie pan do Arizony, porozmawia z tym facetem, zawrze z nim układ i na tym koniec.

– To po co mam brać ze sobą jeszcze troje przyjaciół?

– Dla opieki nad Catherine.

– Catherine sama potrafi o siebie zadbać.

– Zazwyczaj tak... ale po tym wszystkim, co ostatnio przeszła, uważamy, że dobrze byłoby mieć ją na oku. Właśnie dlatego zawsze odbieraliśmy ją ze szkoły. Rozumie pan, tak na wszelki wypadek.

Jim milczał przez co najmniej minutę. Strażnik kichnął dwukrotnie. Paul i Szara Chmura przyglądali się Jimowi ze ukrywanym niepokojem. Widzieli, że kompletnie nie orientuje się w sytuacji. Ale on bardzo poważnie traktował ostrzeżenie swego dziadka, podobnie jak wróżby pani Vaizey.

– W porządku – powiedział w końcu. – Porozmawiam jeszcze raz z waszym ojcem, a potem zobaczymy, co będę mógł zrobić.

Następnego dnia odszukał Henry’ego Czarnego Orła na planie *Blood Brothers* w studio wytwórni Universal. Zaniedbany teren na zapleczu miał imitować rezerwat Navajo w Arizonie, choć w oddali majaczył dom z *Psychozy*, a obok tłumy turystów krążyły wokół stawu z rekinem ludojadem ze „Szczęk” i obserwowały rozstąpienie się Morza Czerwonego.

Henry siedział na przednim siedzeniu zakurzonego granatowo-białego radiowozu, popijając kawę ze styropianowego kubka i paląc papierosa. Jim zajrzał do środka i oświadczył:

– Rozmawiałem z pańskimi synami. Wygląda na to, że jadę do Arizony.

Henry skinął głową, nawet na niego nie patrząc.

– Dziękuję, panie Rook. Pewnego dnia odwzajemnię się panu za to. – Zerknął na zegarek

i dodał: – Jutro rano o siódmej ma pan samolot do Albuquerque. Zorganizuję panu przelot czarterem z Albuquerque do Gallup, gdzie będzie czekał na pana John Trzy Imiona, który zawiezie pana na miejsce.

– Chciałbym pana o coś zapytać... – powiedział Jim. – Jakim człowiekiem jest mężczyzna, którego ma poślubić pańska córka?

– Sprytnym i podstępny. Potrafi przekonać człowieka, że czarne jest białe.

– Ile ma lat? I skąd pochodzi?

– Ma tyle lat, na ile wygląda. A skąd pochodzi? Cóż... stąd, skąd pochodzi każdy z nas.

Zrodziły go drzewa, skały, pył drogi.

– Może ma jakieś imię? – naciskał Jim. – Trochę dziwnie to wygląda, że lecę aż do Arizony, żeby go spotkać, i nawet nie wiem, jak się nazywa.

– Używa kilku imion, jak wielu Navajo, lecz zazwyczaj nazywają go Rozmawiającym ze Zwierzętami albo Psim Bratem.

– A jak wygląda? Czego mam się spodziewać?

– Wielu niespodzianek, panie Rook. To bardzo nieprzewidywalny człowiek. Powinien pan uważać, żeby go nie zdenerwować.

Asystent reżysera w przepoconej zielonej koszulce z logo *Blood Brothers* podszedł do nich rozkołysanym krokiem i powiedział:

– Chodź już, Henry. Będziemy kręcić scenę eksplozji.

– Dobra – odparł Henry i wysiadł z samochodu. – Chce pan sobie popatrzeć, panie Rook?

– Pewnie – odparł Jim i ruszył w ślad za Henrym i asystentem reżysera w kącie placu, gdzie w rowie stał przechylony lincoln Continental. Za kierownicą siedział pochylony do przodu manekin w niebieskiej sukni w kwiaty i w blond peruce. Pirotechnicy wciąż jeszcze krzatali się wśród przewodów i detonatorów, kamerzyści czekali nieopodal, kopząc papierosy i opróżniając

butelki wody mineralnej.

Po drugiej stronie planu, na ganku biura szeryfa, fasady podpartej z tyłu rusztowaniami, Jim dostrzegł Catherine. Ubrana była w żółtą kraciastą koszulę i dżinsy i rozmawiała z asystentem scenarzysty.

– Wziął ją pan ze sobą do pracy? – zapytał Henry’ego.

– A co miałem zrobić? Jej bracia siedzą w więzieniu. Ktoś musi jej pilnować.

– Mogła przyjść do szkoły. Opiekujemy się wszystkimi naszymi uczniami.

– Wiem, wiem – odparł Henry, ale w tym momencie nadszedł do niego asystent reżysera, by go ustawić na planie.

Tuż przed trzaśnięciem klapsa Henry odwrócił się jeszcze do Jima z żalonym, błagalnym wyrazem twarzy. Jim przeniósł spojrzenie na Catherine. Wciąż rozmawiała ze scenarzystą, odrzucając do tyłu włosy i gestykulując rękoma. Była piękna jak zwykle, lecz Jim był przekonany, że wokół niej dostrzega mroczny, ogromny cień.

Im dłużej patrzył, tym wyraźniej go widział. Cień naśladował każdy ruch Catherine. Jim nie mógł oderwać od niego wzroku.

Obok niego stał asystent techniczny w odwróconej daszkami do tyłu baseballowej czapce z nadrukiem *Blood Brothers*, próbując przy użyciu nożyc do cięcia drutu zaprowadzić porządek w dzikiej płątanie wielobarwnych kabli.

– Mam pytanie – zwrócił się do niego Jim. – Tamta dziewczyna... ta w żółtej koszuli. Czy widzi pan wokół niej coś jakby cień?

Chłopak spojrzał na Catherine, a potem na Jima.

– Cień...? – powtórzył niepewnie, jakby to słowo było mu obce.

– Nieważne – mruknął Jim. – Zapomnij pan o tym. Lecz kiedy technik na powrót zajął się swoim elektrycznym spaghetti, Jim ponownie spojrzał na Catherine i stwierdził, że cień nadal jej

towarzyszy. Gdy dziewczyna wstała z krzesła i przeszła przez plan, cień podążył za nią jak dym. Catherine zauważyła go i pomachała mu ręką. Wciąż jeszcze patrzył na nią, kiedy rozległa się ogłuszająca eksplozja i lincolna pochłonęła rozpalona kula pomarańczowych płomieni. Szyby rozsypały się w drobny mak, opony zajęły się ogniem, a maska wyleciała dwadzieścia stóp w górę. Jim obejrzał się i ujrzał Henry'ego Czarnego Orła czołgającego się w kurzu z rewolwerem w dłoni.

Gdy się odwrócił, Catherine zniknęła przesłonięta kurzem dymem i tłumem statystów. Udało mu się jednak dostrzec cień, przesuwający się przez fasadę „biura szeryfa” – był skulony i kanciasty, o ostrym, szczeciniastym konturze.

Rozdział V

Kiedy następnego dnia spotkał Susan na korytarzu przed pracownią geograficzną, zapytał ją, czy byłaby zainteresowana wycieczką do Arizony.

– Do Arizony? Dlaczego miałabym chcieć pojechać do Arizony?

– Nie wiem. Lubisz kaktusy, prawda? Pogoda też jest tam niezła.

– Tutaj pogoda też jest niezła. W dodatku jestem w środku najbardziej szalonego semestru, jaki pamiętam. Poza tym myślałam, że dajemy sobie nawzajem spokój na jakiś czas.

– Cóż, nie chodziło mi jedynie o nas dwoje. Jeden z moich uczniów też by z nami pojechał.

Możliwe, że nawet dwóch lub trzech. Chcemy odwiedzić rezerwat Navajo w Window Rock.

– Czasem zupełnie cię nie rozumiem – Susan potrząsnęła głową. – Jesteś najbardziej nieprzewidywalnym człowiekiem, jakiego znam. Czasem wydaje mi się, że przybyłeś tu z innej planety i jeszcze nie do końca nauczyłeś się naśladować zachowanie Ziemiaków.

– Mimo to może jednak pojechałabyś ze mną do Arizony?

– Nie, Jim. Nie mogę.

– Jesteś mi potrzebna, Susan. Gdyby tak nie było, nie prosiłbym o to. I wcale nie mam na

myśli seksu. Potrzebuję twojego wsparcia

– Dlaczego? – zapytała.

– Hmm... jedzie ze mną parę uczennic i myślę, że byłoby stosowne, by miały ze sobą przyzwoitkę.

– Rozumiem, że jedną z nich jest Catherine Biały Ptak?

– Owszem. To właśnie ona podsunęła mi pomysł tej wycieczki.

– No dobrze. Kto jeszcze?

– Nie wiem. Ale na tobie naprawdę mi zależy.

– Nic z tego nie wyjdzie, Jim – odparła Susan. – Po prostu do siebie nie pasujemy.

– Wiem. Ale potrzebuję na tej wycieczce rozsądnej, inteligentnej i odpowiedzialnej dorosłej kobiety, która mogłaby w razie czego zająć się dwoma, może trzema młodymi dziewczynami.

Potrzebuję kogoś, kto rozumie kulturę tego kraju i kto nie będzie wyprowadzał mnie z równowagi, a tylko ty pasujesz do tego opisu.

– Window Rock, powiadasz? – zapytała Susan.

– Window Rock... może też Fort Defiance. Wiesz, jak Navajo nazywają to miejsce?

Meadow Between Rocks. To naprawdę może być bardzo ciekawa wycieczka.

Spojrzała na niego, on zaś przez moment boleśnie zapragnął, by nadal była w nim zakochana.

– Nie wiem, dlaczego się zgadzam – oświadczyła w końcu. – Ale pojedę. Kiedy planujesz tę wyprawę?

– Och... nie ma pośpiechu. Wpadnę po ciebie jutro o piątej.

– Jutro nie mogę. Kończę zajęcia dopiero dwadzieścia po czwartej.

– Miałem na myśli piątą rano. Musimy złapać pierwszy samolot do Albuquerque.

Susan otworzyła usta i natychmiast je zamknęła, nie mówiąc ani słowa. Odprowadziła Jima

wzrokiem do klasy i pomyślała, że być może lubi go bardziej, niż skłonna byłaby przyznać.

– Wybieram się na krótką wycieczkę kulturoznawczą do Arizony – poinformował Jim swoją klasę. – Robię to po to, My dowiedzieć się czegoś więcej o pochodzeniu Catherine, co powinno ułatwić mi pomaganie jej w opanowywaniu zawilości języka angielskiego. Robiłem już coś podobnego dla paru z was. Rita, pamiętasz, jak spędziłem trochę czasu z twoją rodziną i przyjaciółmi, by lepiej zrozumieć kulturę hiszpańską? A ty, John, zaprosiłeś mnie kiedyś na weekend w towarzystwie wietnamskich przyjaciół. Bawiłem się doskonale, ale nie umiałem jeść pałeczkami i ciągle upuszczałem *thit bo to* na buty... Chciałbym zabrać ze sobą dwoje z was. Przynajmniej jedną osobą powinna być dziewczyna, która by mogła dzielić pokój z Catherine. Drugą może być chłopak. Kto tylko ma ochotę pojechać.

Pierwsza zgłosiła się Sharon X.

– Ja bym bardzo chciała. Interesują mnie uciskane społeczności.

– Dobrze... Ktoś jeszcze?

Mark Foley ostrożnie uniośł jeden palec. Był zadzierzystym wesołkiem, ale jeśli chodzi o naukę, plasował się na końcu klasy. Niższy i szczuplejszy od większości rówieśników, miał bladą twarz i nierówno przycięte jasne włosy. Zawsze był ubierany w czyste dżinsy i koszule, które jednak zwykle były wytarte i postrzępione, a podeszwa jednego z trampków klapała głośno przy każdym kroku.

– Masz ochotę zabrać się z nami, Mark?

– No pewnie. Nigdy jeszcze nie leciałem samolotem. To nie będzie nic kosztować, prawda?

– Nie... ojciec Catherine pokrywa wszystkie koszty. Musisz wziąć ze sobą tylko trochę ubrań na zmianę i szczoteczkę do zębów.

– Myślisz, że stary ci pozwoli? – zapytał Ricky Herman.

– Nie obchodzi mnie, co mój stary powie – odparł buńczucznie Mark. – I tak pojedę.

– Jeżeli ojciec nie będzie chciał się zgodzić, powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił –

oświadczył Jim.

Miał już do czynienia z ojcem Marka, który prowadził mały sklep z używanymi samochodami w Santa Monica. Cały dzień spędzał podrasowując stare chevrolety, a wieczorem popijał piwo w KCs Bar. Powiedział kiedyś Jimowi, że według niego Mark marnuje czas chodząc na angielski, bo przecież już mówi po angielsku, a poezja to zajęcie „dobre dla pedalstwa”.

– Podczas naszej nieobecności zajmie się wami pani Whitman, ale chciałbym, żebyście tymczasem dowiedzieli się jak najwięcej o plemieniu Navajo i ich kulturze, a zwłaszcza o ich wierzeniach religijnych. Kiedy wrócimy, będziemy mogli porozmawiać o tym, co odkryliśmy w Arizonie, i o tym, czego wy dowiedzieliście się tutaj.

– Dobrej zabawy, panie Rook – powiedział Ray Vito. – Proszę przywieźć nam trochę wody ognistej i kilka *squaw*.

– Powinieneś się wstydić – oświadczyła Sharon.

– Właśnie, powinieneś się wstydić, ty brudny, hałaśliwy makaroniarzu – dorzucił Ricky.

Jim z rozbawieniem przysłuchiwał się wyzwiskom, jakie rozpętała ta uwaga. Czasami dobrze było pozwolić im na chwilę swobody – dzięki temu mogli zrozumieć, że wyzwiska są jedynie słowami i że liczy się tylko to, jak dobrze jest im ze sobą i jak bardzo się lubią. Po paru minutach wszystko zakończyło się chóralnym wybuchem śmiechu.

– Wystarczy – powiedział Jim. – Dostyc obraźliwego słownictwa jak na jeden dzień.

Zobaczymy się w piątek rano.

Rozejrzał się po klasie, starając się zapamiętać każdą twarz z osobna. W końcu mógł ich już więcej nie zobaczyć.

Odlot z LAX opóźnił się prawie o godzinę i na międzynarodowe lotnisko w Albuquerque dotarli tuż przed obiadem.

Gdy maszerowali po betonowej płycie lotniska, temperatura przekraczała trzydzieści cztery stopnie i wiał suchy wiatr.

Podczas lotu do Albuquerque Catherine była bardzo cicha i zamyślona. Jim dogonił ją przed budynkiem portu lotniczego i zapytał:

- Hej, Catherine, wszystko w porządku?
- Chyba się boję – odparła, odgarniając dłonią włosy.
- Czego? Tego faceta, z którym jesteś zaręczona? Przywołamy go do porządku.
- Bardziej boję się samej siebie.
- Samej siebie? Dlaczego? Spojrzała na niego.
- Czuję się tak, jakbym była na coś zła, ale nie wiem dlaczego. Ostatni raz tak się czułam, kiedy chodziłam z Martinem. Nie wiem czemu. Ale teraz jest to znacznie wyraźniejsze.

Jim przypomniał sobie o kolczastym cieniu, kroczącym za nią na planie filmowym.

- Może to kwestia twojego wieku. Wtedy często człowiek gubi się w swoich uczuciach.
- Sama nie wiem, proszę pana, ale mam wrażenie, że to coś poważniejszego. Jest mroczne i złe. Jakbym miała w sercu dzikość, rozumie pan?
- Dzikość... – powtórzył Jim. – Dzikość rodzącą się bez wyraźnego powodu?
- Tak – potwierdziła Catherine. – Właśnie tak.

– Później o tym porozmawiamy – powiedział Jim. – Tymczasem zobaczmy, czy uda nam się zorganizować następcy samolot.

- Ależ tu gorąco! – zawołał Mark, wycierając pot z czoła wierzchem ramienia. W ręku trzymał starą szarą płócienną torbę, lecz na nogach miał nowiutkie adidasy Nike. Kiedy ojciec dowiedział się o planowanym wyjeździe do Arizony, zabrał go do miasta i kupił mu nowe buty. „Nadal uważam, że to kompletna strata czasu, ale nie będziesz mnie tam kompromitował klapiącym butem” – oświadczył.

Sharon miała na sobie różową koszulkę i szorty z białej satyny i wyglądała jak olimpijska lekkoatletka.

– Jestem taka podekscytowana – entuzjazmowała się. – Tu jest naprawdę pięknie. I tak ciepło!

Susan uśmiechnęła się do niej. Miała na sobie świeżutką białą bluzeczkę bez rękawów i plisowaną spódniczkę w żółte kropki, a na włosach niebieską opaskę.

– Jim, nie zapominaj o piechocie! – zawołała.

Po wejściu do klimatyzowanego terminalu o wypolerowanych na wysoki połysk posadzkach

Jim skierował się do stanowiska czarterowych linii lotniczych West New Mexico. Pulchna

kobieta o sztywnych od lakieru tlenionych włosach odwróciła się i zawołała:

– Randy! Grupa pana Rooka!

Z zaplecza wyłonił się żyłasty, spieczony słońcem pilot o siwej głowie i w śnieżnobiałej koszuli.

– Jak się macie? Może ktoś chce skorzystać z wygodki, zanim wyruszymy? Nie lubię, kiedy moi pasażerowie zaczynają się wiercić podczas lotu.

Wyprowadził ich z powrotem na rozpalony beton, gdzie czekał na nich dwusilnikowy golden eagle, mający zawieźć ich do Gallup. Mark usiadł z przodu, Jim z Catherine w środku, Sharon i Susan z tyłu. Czekali na swoją kolej, a kiedy nadeszła ich pora, pilot poderwał samolot w powietrze i natychmiast skręcili na północ–zachód–zachód. Słońce wypełniło kabinę maszyny oślepiającym blaskiem.

– Więc jedziecie do Window Rock, co? – zapytał Randy.

– Zgadza się – odparł Jim. – Jesteśmy na szkolnej wycieczce krajoznawczej. Opracowujemy program badawczy dotyczący życia Navajo.

– Teraz to on wcale nie różni się od normalnego miejskiego życia – zauważył Randy. – Nie

bądźcie rozczarowani, jeżeli nie zobaczycie tam nikogo w pióropuszu i naszyjniku z»pazurów niedźwiedzia. Window Rock przypomina wszystkie miasta w tej okolicy. Są tam motele i restauracje, plac zabaw, jeden bank, dom kultury i osiedle mieszkaniowe FHA*. Mają tam nawet liceum medyczne. – Pociągnął nosem i dodał: – Ale nie zapomnijcie kupić sobie koca na pamiątkę. Odwiedziny w rezerwacie Navajo bez kupienia koca to strata czasu. Teec Nos Pos, te są najlepsze.

Jim przypomniał sobie, jak Catherine opowiadała w klasie o tkactwie Navajo. Wspomniała wtedy, że koce z Two Grey Hills są najpiękniejsze i mają najbardziej skomplikowane wzory. Jednak tego ranka wyglądała przez iluminator nie odzywając się ani słowem. Raz czy dwa zerknęła na Jima, obdarzając go pozbawionym wyrazu uśmiechem. Starał się jak mógł zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa, ale nie bardzo wiedział, w jaki sposób ma to zrobić.

Wciąż widział wokół niej postrzępiony cień – cień niewidzialny dla innych – choć nie miał pojęcia, co ów cień mógł oznaczać. Może był to jedynie omen – ostrzeżenie z zaświatów?

Problem z interpretacją znaków i przesłań z tamtej strony polegał na tym, że rzadko wyrażano je w zrozumiałym dla ludzi języku. Informacja zawarta była najczęściej w niejasnych wskazówkach, sugestiach i sylwetkach widocznych w odległych oknach.

– Leciałeś już kiedyś samolotem? – zapytał Marka Randy.

– Nie, proszę pana, nigdy. To mój pierwszy raz. Myślałem, że będę ze strachu obgryzać paznokcie, ale wcale się nie boję.

– Nie masz ochoty popilotować samolotu? Tak zupełnie samodzielnie.

– Och nie, proszę pana – odparł przerażony Mark. – Nawet samochodu nie umiem prowadzić.

– Cóż, kiedyś trzeba zacząć – oświadczył Randy. – Łap za stery, brachu, zobaczymy, co potrafisz.

– Ja? – zapytał zdziwiony Mark. – A co będzie, jeśli się rozbijemy?

– Nie rozbijemy się, nie masz wystarczającego doświadczenia, by się rozbić. Dalej, chwytaj za stery!

Mark schwycił stery tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie. Golden eagle opadł nieco i przechylił się na bok, silniki zamruczały ostrzegawczo. Randy powiedział:

– Odpręż się, dobrze sobie radzisz. Trzymaj go prosto, to wszystko.

Po chwili Mark nabrał pewności i zaczął prowadzić samolot prosto i bez większych wstrząsów. Randy pokazał mu, jak używać pedałów i korygować prędkość.

– Masz dryg do tego, chłopie – oświadczył. – Powinieneś robić to zawodowo.

Jim przyglądał się temu z uśmiechem. Nigdy nie widział Marka tak podnieconego. Pomyślał sobie: Boże, gdyby tylko ludzie poświęcili trochę czasu takim chłopakom jak Mark i pokazali im, do czego są zdolni, zamiast wmawiać im, że są głupi i bezużyteczni...

– Co o tym myślicie? – zawołał przez ramię Mark. – Dobry ze mnie pilot?

– Wie pan co, panie Rook? – powiedziała Sharon z uśmiechem. – W życiu nie byłam równie wystraszona.

Przelatywali nad ostatnimi zboczami parku narodowego Cibola, jakieś dziesięć mil od Gallup. Jim zerknął w dół i ujrzał cień maszyny prześlizgujący się po drzewach.

– Trochę wyżej – polecił Markowi pilot. – Starczy. Lepiej mieć pewność, że przeskoczymy nad tym stokiem.

Mark przyciągnął do siebie drążek, ale w tej samej chwili lewy silnik prychnął głośno raz, drugi i trzeci. Randy zerknął na instrumenty i podniósł okulary.

– Cóż, nie palimy się i mamy pełno benzyny – oznajmił. – To może być zator w przewodzie paliwowym.

Silnik zacharczał jeszcze głośniej, a potem zaterkotał i nagle zgasł. Susan pochyliła się do

przodu i chwyciła Jima za rękę.

– Wszystko w porządku, nie martw się – powiedział. – Ty też, Sharon. Takie rzeczy zdarzają się codziennie.

– Nie panikujcie, ludziska! – zawołał Randy. – Musimy tylko wylądować na jednym silniku.

Tej maszyny nie można rozwalić, nawet gdybyśmy się nie wiem jak starali.

– Mam nadzieję, że nie napiszą ci tego na nagrobku – mruknęła Susan.

Jim próbował się do niej uśmiechnąć, ale nie udało mu się. Czuł, jak mokra od potu koszula przylepia mu się do pleców. Nigdy nie lubił małych samolotów i od chwili startu z Albuquerque nerwowo zaciskał pięści. Samolot przechylił się nagle na prawe skrzydło i lewy silnik zaczął na znak protestu.

Sharon również jęknęła, a Mark wymamrotał:

– O kurwa, o kurwa...

– Nie traćmy głowy, ludziska – powiedział Randy. – Wciąż mamy jeszcze dość wysokości, a za pięć minut będziemy nad lotniskiem w Gallup. Może trochę zatrząść, ale nie ma co histeryzować.

Samolot ponownie opadł, a potem nabrał trochę wysokości, pozostawiając żołądek Jima dobre sto stóp niżej. Mark siedział w fotelu drugiego pilota z ponurą miną. Susan ścisnęła dłoń Jima, wbijając mu paznokcie w skórę, a Sharon skryła twarz w dłoniach. Ale Catherine siedziała spokojna i milcząca, z lekko zadartą brodą i spojrzeniem utkwionym przed siebie.

– Catherine...? – zapytał Jim. – Catherine, nic ci nie jest?

Dziewczyna nie odpowiedziała, lecz Jim wciąż widział otaczający ją cień, chociaż kabina samolotu rozświetlona była słonecznym blaskiem. Wyglądała, jakby okrywał ją upiorny żałobny welon. Wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, a jej usta poruszały się.

– Coyote... Coyote... Coyote... – tylko to był w stanie wychwycić.

– Catherine? – powtórzył.

Pochylił się, by dotknąć jej ramienia, lecz w tej samej chwili zgasły wszystkie światła na tablicy rozdzielczej. Lewy silnik zawarczał, zadygotał i ucichł. Ogarnęła ich cisza. Słyszeli jedynie świst wiatru na zewnątrz.

Randy przerzucił włącznik, próbując uruchomić lewy silnik, ale bez efektu.

– Cholera – wymamrotał. – Siadła cała pieprzona elektryka. W życiu nie słyszałem o czymś takim.

– O kurwa! – jęknął Mark. – Chyba nie zginiemy, co?

– Zginiemy? Nie, do jasnej cholery! – odparł Randy. – Po prostu wylądujemy na brzuchu w czyichś ziemniakach, to wszystko.

Ale z jego głosu Jim odgadł ogarniające go przerażenie. Mieli jeszcze do pokonania ostatnie wzniesienie, co oznaczało, że muszą utrzymać wystarczającą wysokość, by uporać się z poszarpaną linią porastających je drzew. Golden eagle ważył jednak ponad trzy i pół tony.

Drzewa przed nimi wznosiły się coraz wyżej i wkrótce niemal muskali już ich górne gałęzie.

Nie mieli najmniejszej szansy, stało się to jasne dla wszystkich. Byli już poniżej poziomu najwyższych drzew, a nigdzie nie było widać prześwitu, przez który Randy mógłby spróbować przeprowadzić samolot.

– O mój Boże, Jim – wyszeptała Susan. – O mój Boże. Sharon ukryła twarz w dłoniach. Jima mdliło od strachu, bezradności i szarpiącego wnętrzości żalu. Przyleciał tutaj, by uratować siebie i Catherine – ale teraz oboje mieli zginąć, a wraz z nimi Susan, Mark i Sharon.

– Musicie się przygotować – powiedział Randy. – Przy odrobinie szczęścia drzewa zamortyzują upadek.

Dobrze wiesz, że tak nie będzie, pomyślał Jim. Porozdzierają nas na kawałki i ekipy ratunkowe zbierać będą tylko nogi i ręce.

Obrócił się do Sharon i Susan.

– Zdejmijcie buty i pochylcie się, a ręce splećcie na głowach.

Golden eagle zachwiał się i opadł, gdy Randy ostatnim rozpaczliwym zrywem próbował nabrać trochę wysokości.

Jim spojrzał na Catherine. Nadal siedziała sztywna jak kij, oczy utkwiała w tablicy rozdzielczej. Otaczający ją cień był teraz bardziej widoczny, choć rozmazany i nierówny. Oczy dziewczyny były zupełnie czarne, bez śladu białek.

– Catherine! – krzyknął Jim i złapał ją za nadgarstek, lecz natychmiast cofnął dłoń. Pod palcami nie poczuł spodziewanej ciepłej gładkości skóry, ale zjeżone, skołtunione futro.

– Catherine, posłuchaj mnie! – zawołał ponownie. – To ja, Jim Rook! Słyszysz mnie?

– Powiedz jej, żeby się przygotowała na zderzenie! – wrzasnął Randy. – Na miłość boską, spadamy!

– Catherine! – ryknął Jim. – Catherine!

Próbował obrócić jej głowę w swoją stronę, ale gdy tylko dotknął jej twarzy, krzyknął i cofnął rękę. Policzek Catherine był szorstki i kosmaty, poczuł też zęby.

– Catherine, jeżeli tam jesteś, Catherine, staraj się z tym walczyć! – wrzasnął znowu.

– Jim, co ty wyprawiasz? – zapytała Susan. – Pochyl się, bo kark sobie skręcisz!

Przez wszystkie okna do wnętrza samolotu zdawały się wdzierać drzewa. Mark wciąż mamrotał „kurwa... kurwa... kurwa”, a Sharon modliła się do Allacha.

Catherine mnie nie słyszy, myślał Jim. Być może tam jest, ale po prostu mnie nie słyszy. Jest teraz zwierzęciem, nie istotą ludzką. Jak sprawić, by usłyszało cię zwierzę?

Nagle przypomniał sobie o wiszącym na szyi gwizdku, który dał mu Henry Czarny Orzeł.

Podniósł go do ust i dmuchnął. Catherine nie zareagowała, więc dmuchnął ponownie tym razem mocniej.

Głowa dziewczyny gwałtownie zwróciła się w jego stronę a jej czarne oczy zmierzyły go tak wrogim spojrzeniem, że cofnął się odruchowo. Cień wokół niej zgęstniał.

– Catherine! – powtórzył Jim.

Na jej twarzy odmalował się cień zrozumienia.

– Co? Co się dzieje? – zapytała. Czerń jej oczu zaczęła się kurczyć, a cień zbladł i odpłynął w nicość, niczym splukiwany w zlewie atrament. Catherine rozejrzała się dokoła i zobaczyła pnące się ku nim drzewa, a obok siebie Susan i Sharon z głowami między kolanami. – Co się dzieje? – krzyknęła. – Nie rozumiem, co się dzieje! Kim ja jestem?

– Głowa na dół! – wrzasnął do niej Randy. Jim odpowiedział:

– Jesteś Catherine, Catherine Biały Ptak!

Dziewczyna wpatrywała się w niego przez długą chwilę, a potem uniosła obie dłonie i dotknęła czoła, jakby nie mogła uwierzyć, że ta głowa i twarz naprawdę należą do niej.

– Jesteś Catherine Biały Ptak – powtórzył Jim. Teraz, nawet jeżeli mieli zginąć, przynajmniej dziewczyna umrze z pełną świadomością tego, kim jest i co się z nią stało.

Catherine odwróciła się do instrumentów, wyciągnęła przed siebie rękę i Jim ujrzał, że na tablicy zapalają się światła, a wskazówki zegarów powracają do dawnego położenia. Ale golden eagle zdawał się opadać coraz szybciej.

– Randy! – wrzasnął Jim. – Spróbuj uruchomić silniki!

Randy przerzucił dźwigienkę startera. Nic.

– Próbuje dalej, na rany Chrystusa! – krzyczał Jim.

Randy szarpnął przełącznik raz, potem drugi. I wtedy lewy silnik nagle zakaszłał, po chwili zawtórował mu prawy i wszyscy poczuli głęboką, przejmującą wibrację dwóch pracujących na pełnej mocy silników. Randy szarpnął za stery i samolot powoli zaczął dźwigać się w górę.

Sharon krzyknęła, gdy gałęzie uderzyły po skrzydłach, a Mark wydał z siebie jęk przerażenia.

Jim chwycił Catherine za rękę, która była teraz ciepła i gładka, taka jaka powinna być, ona zaś oplotła jego dłoń palcami i wyszeptała:

– Gitche Manitou, uratuj nas.

Golden eagle przerwał się przez linię drzew, jego śmigła rozpyliły wokół strzępy liści i gałęzi. Wspinał się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu wspiał się na taką wysokość, że ujrzeli porastający zbocze las Cibola, skrawek pustyni i mające na horyzoncie w bladopurpurowej mgielce rozgrzanego powietrza góry Zuni.

– Nie wiem, co się u licha zdarzyło – mruknął Randy – ale mogę wam powiedzieć, że od dziś wierzę w Boga. Albo Allacha – dodał, odwracając się do Sharon. – Albo Gitche Manitou, nieważne.

– Ufff – sapnął Mark.

– Tylko tyle? – Randy dał mu kuksańca w żebra. – Jedno małe „ufff”?

– Myślałem, że się zesram ze strachu.

John Trzy Imiona oczekiwał ich na smażącym się w słońcu lotnisku. Był drobnym, szczupłym Indianinem. Ubrany był w brązowy płaszcz, beżowe spodnie i brązowy, ozdobiony piórami kapelusz. Miał pomarszczoną twarz o delikatnej skórze, lecz w jego oczach lśniło zdecydowanie, a jego zachowanie wcale nie świadczyło o zniewieścianości.

– Jestem John Trzy Imiona – powiedział, ściskając dłoń Jima. – Słyszałem, że mieliście po drodze kłopoty. Czekają na was dwa wozy straży pożarnej i karetka.

– Powiedzmy, że najedliśmy się strachu – odparł Jim. Odwrócił się i spojrzał na Catherine, która pomagała Sharon wyładowywać bagaże. – Chciałbym wierzyć, że to już za nami, nie sądzę jednak, by tak było.

– Zaparkowałem samochód przed budynkiem – oznajmił John Trzy Imiona. – Ale może wolelibyście trochę tu odpocząć?

– Chyba możemy ruszać – stwierdził Jim. – Jak samopoczucie? – zapytał swoich towarzyszy.

– Jedźmy już – powiedziała Catherine. – Im prędzej dotrzemy na miejsce, tym lepiej.

Musnęła dłonią jego rękę. Wiedział, że bardzo chce mieć już tę podróż za sobą. Nie podziękowała mu za to, co zrobił w samolocie, ale nie musiała tego robić. Tylko oni dwoje dzielili tę chwilę. Jim poczuł się jej bliski i była tak piękna, że prawie się w niej zakochał.

– Uważaj, żeby doktor Ehrlichman nie zobaczył, jak spoglądasz na swoje uczennice – odezwała się Susan.

– Niby jak? Martwię się o nią, to wszystko.

– Nieprawda, nie wszystko.

– Susan...

– Żyjemy, tylko to się liczy – przerwała mu, biorąc go pod ramię. – Naprawdę sądziłam, że zginiemy, i nagle zrozumiałam, jak bardzo nie jestem na to przygotowana.

Zatrzymała się i pocałowała go. Tuż za nimi szli Mark i Sharon. Mark gwizdnął z aprobatą.

– Wypraszam sobie – mruknął Jim. – Nawet nauczyciele mają prawo do okazywania sobie uczuć.

Błękitny ford galaxy Johna Trzy Imiona stojący przed terminalem był wystarczająco obszerny, by ich wszystkich pomieścić.

– Pożyczyłem go z tutejszej szkoły Navajo. Powinien pan tam zajrzeć, panie Rook. Na pewno by się panu spodobało.

– Dlaczego nazywają pana John Trzy Imiona? – zapytał Mark, gdy tylko ruszyli w drogę.

– Ponieważ mam trzy imiona, ma się rozumieć.

– Jakie?

– „John”, „Trzy” i „Imiona”.

Mark przez dłuższą chwilę ze zmarszczonym czołem przetrawiał tę informację.

– Nabiera mnie pan, prawda? – powiedział w końcu.

John Trzy Imiona spojrzał na niego i roześmiał się.

– Nikt nie śmieje się głośniejsz od Navajo, kiedy udaje mu się oszukać białego człowieka – oświadczył.

Jim rozsiadł się wygodnie, wyjął spod koszuli gwizdek Henry’ego Czarnego Orła i obrócił go w palcach. To on uratował ich wszystkich, ale wciąż nie pojmował, w jaki sposób. Wyglądało na to, że cień towarzyszący Catherine zniknął, jednak nie wiadomo było, czy nie powróci.

Podniósł gwizdek do ust i już miał w niego dmuchnąć, ale ujrzał, że Catherine spogląda na niego przytykając palec do warg.

– O co chodzi? – zapytał.

– Lepiej mu więcej nie przeszkadzać – odparła.

– Komu? O kim mówisz?

Catherine uniosła dłonie i zakryła nimi twarz, lecz spomiędzy rozstawionych szeroko palców widział jej oczy. Nie rozumiał, o co jej chodzi, ale miał wrażenie, jakby patrzył na kogoś podglądającego świat z innego wymiaru.

Opuścił rękę i wsunął gwizdek pod koszulę. Najwyraźniej czasem służył pomocą, a kiedy indziej wpędzał w tarapaty.

Susan pochylała się i ujęła Jima za rękę. Być może dawała tym wyraz odrodzonemu uczuciu, a może po prostu cieszyła się z tego, że żyją. Jim był pewien jednego – za nic nie polecą do Albuquerque samolotem, przynajmniej nie razem z Catherine.

– Byliście już tu kiedyś? – zapytał John Trzy Imiona. – Myślę, że wiele spraw ujrzycie teraz w zupełnie innym świetle. Mieszkam tutaj od dwudziestu pięciu lat i byłem świadkiem ogromnych zmian. Wciąż jeszcze zbyt wielu ludzi utrzymuje się z zasiłków, jednak wcale tak bardzo nie odstawiamy od wielkiego świata. Ale najważniejsze jest to, że zachowaliśmy nasz

własny język i tożsamość narodową.

Do Window Rock dotarli późnym popołudniem. Na błękitnym niebie wciąż nie było ani jednej chmury. Miasteczko nie różniło się od setek innych w Arizonie. John Trzy Imiona ulokował ich w Navajo Nation Inn, siedemdziesiąt trzy dolary za noc. Kobieta w niebieskiej sukni zaprowadziła ich do pokoi, ozdobionych kilimami *yei* przedstawiającymi stylizowane postaci ludzkie. Parę kroków za nimi szedł może pięcioletni chłopczyk. John Trzy Imiona zatrzymał się i cofnął do niego, uniósł obie dłonie, pokazując, że są puste, a potem potarł je o siebie i wyczarował z powietrza ćwierćdolarówkę. Wręczył ją chłopcu i powiedział:

– Tylko nie wydaj wszystkiego na słodycze.

Sharon i Catherine dostały jasny, przestronny pokój z widokiem na basen. Jim dotknął ramienia Sharon, kiedy wносиła do środka swoją torbę, i przypomniał jej:

– Nie spuszczaaj z niej oka... i gdybyś dostrzegła cokolwiek niepokojącego...

– Będę się nią opiekować, panie Rook – zapewniła go Sharon.

Jim i Susan otrzymali sąsiednie pokoje, połączone drzwiami. Susan szarpnęła za klamkę, by się upewnić, że są zamknięte.

– To na wypadek, gdybyś miał chodzić we śnie – wyjaśniła.

– A gdybym robił to na jawie?

– W takim razie zginiesz – odparła. John Trzy Imiona wszedł za Jimem do pokoju. Jim rozsunął drzwi prowadzące na niewielki balkon wyłożony płytkami terakoty. Stał tam mały stolik i parę krzeseł. W oddali cynobrowe góry kąpały się w słonecznym blasku. Na zakurzonej ziemi pod balkonem wygrzewała się jaszczurka.

– Podoba się panu pokój? – zapytał John Trzy Imiona.

– Jest w porządku, dzięki.

– Proszę mi opowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w samolocie.

Jim spojrzał na niego.

– O co panu chodzi?

– To nie była jedynie awaria instrumentów, prawda?

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Kiedy tu jechaliśmy, obserwowałem pana w lusterku. Widziałem, jak wyciąga pan gwizdek. Widziałem, że Catherine Biały Ptak ostrzegła pana przed jego użyciem, a potem zobaczyłem, jak zasłania twarz.

– I co to panu powiedziało?

– Że pewnie już wcześniej użył go pan i że chciał pan przekonać się, co się stanie, gdy zrobi to pan ponownie. Ale Catherine Biały Ptak uprzedziła pana, że to może go zdenerwować.

A kiedy ją pan zapytał, o kim mówi, zakryła twarz. Wie pan, dlaczego to zrobiła? Nie chciała wymieniać jego imienia, by wiatr nie ostrzegł go o jej przyjeździe. Ten gwizdek ma tylko jedno przeznaczenie... przywołać ducha zwanego Coyote. A taki gest – mówiąc to zakrył twarz dokładnie tak, jak przedtem Catherine – służy do ostrzegania ludzi, że Coyote jest w pobliżu.

– Chyba będzie lepiej, jeżeli wyjaśni mi pan to wszystko od początku – stwierdził Jim.

– W dawnych czasach, jeszcze przed nadejściem białych ludzi, kiedy duchy chodziły po ziemi w świetle dnia, Coyote uchodził za najzłośliwszego spośród wszystkich demonów Navajo. Był zabójcą, oszustem, gwałcicielem i złodziejem. Podczas wielkich zgromadzeń bogowie siadali zwróceniem twarzą na południe, a demony i pozostałe nieczyste duchy siadały zwrócone twarzą na północ. Coyote był tak podstępny, że nikt nie pozwalał mu usiąść obok siebie, więc stał przy drzwiach, gotów do natychmiastowej ucieczki, gdyby pozostali członkowie zgromadzenia zjednoczyli się przeciw niemu. Profanował święte rytuały, a lotki swoich strzał wykonywał z szarych piór, które przynosiły nieszczęście. Jego miesiącem był październik, miesiąc nieszczęśliwych wypadków i pomyłek. Kiedy zostało stworzone nocne niebo, polecono mu

umieścić na nim gwiazdy, lecz on cisnął je wszystkie w jedno miejsce, tworząc Mleczną Drogę. Podczas zawodów sportowych podjudzał zawodników przeciw sobie, a potem uciekał z nagrodą.

– To tylko mity – mruknął Jim. – Takie same, jakie opowiadali Grecy i Rzymianie. Zeus gromowładny, Neptun z trójzębem, Apollo pędzący przez niebiosa w swym ognistym rydwanie...

– Niezupełnie – zaprotestował John Trzy Imiona. – Nie jest mi znana ani jedna relacja kogoś, kto widział Zeusa, a tymczasem myśliwi Navajo widzieli Coyote jeszcze w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku. Oczywiście natychmiast zawrócili, bo spotkanie tego ducha oznaczało nieszczęście i śmierć. Wszystko to zostało zapisane na kocach. Może je pan zobaczyć.

– Wierzę panu na słowo – odparł Jim. – Czytanie z koców zawsze przychodziło mi z trudem.

– Cóż... dni bogów i demonów dobiegły końca w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku. Kiedy Navajo najechali na sąsiednie szczepy, Hopi i Zuni, pułkownik Kit Carson wyruszył na wyprawę pacyfikacyjną, zniszczył pola Navajo, wybił zwierzynę i przepędził osiem tysięcy ludzi z Fort Defiance do odległego o trzysta mil Fort Sumner nad rzeką Pecos. Wielu umarło, a pozostali byli więzieni przez cztery lata, dopóki Navajo nie zgodzili się na podpisanie traktatu pokojowego. Właśnie wtedy wiara Navajo załamała się. A duchy – coż mogą uczynić duchy, w które nikt już nie wierzy? Nie umierają, są przecież nieśmiertelne, ale dematerializują się. Bogowie ziemi wtopili się w skały, bogowie wiatru odlecieli za góry, wywołując przy okazji tornada, a bogowie rzek odpłynęli do oceanu, choć czasami wracają jeszcze, powodując wylewy Missisipi, by przypomnieć nam o swojej dawnej potędze. Pozostali odeszli gdzie indziej.

Z wyjątkiem Coyote. Kiedy biali ludzie położyli kres dniom mitów i legend, był wystarczająco sprytny, by znaleźć sposób na przetrwanie. Ludzie nadal w niego wierzyli, a z jego związku z kobietą zrodził się chłopiec, będący jednocześnie człowiekiem i Coyote. Kiedy dorósł, spłodził następne dziecko i powtarzało się to przez kolejne pokolenia. To zaś oznacza, że Coyote nadal

przebywa wśród nas, panie Rook.

– Trudno w to uwierzyć – mruknął Jim.

– Dlaczego? Przecież na własne oczy widział pan wyrządzone przez niego zło. Henry Czarny Orzeł powiedział mi, co się stało w pańskiej szkole, mówił też, że zdemolowano pańskie mieszkanie i zabito pańskiego kota.

– W takim razie proszę mi wytłumaczyć, dlaczego on to robi i jak?

– Dlaczego? To bardzo proste. Mężczyzna, za którego miała wyjść Catherine, poszedł do szamana i poprosił go o wezwanie Coyote, by na powrót sprowadził do niego Catherine... a gdyby zakochała się w innym mężczyźnie, by go uśmiercił.

– Coś w rodzaju przekleństwa?

– Można to i tak nazwać, tyle że w naszym przypadku owo przekleństwo przybrało formę bestii, która pilnuje Catherine dniem i nocą.

– Chyba parę razy już tę bestię widziałem – powiedział Jim. – To jakby cień, nie odstępujący Catherine nawet na krok.

– Jest pan jedynym człowiekiem obdarzonym takimi zdolnościami – odparł John Trzy Imiona – i właśnie dlatego Henry Czarny Orzeł i jego synowie poprosili pana o przybycie do Arizony. Jeżeli uda się panu przekonać tego człowieka, by zwolnił Catherine ze złożonej w jej imieniu obietnicy, bestia będzie musiała ją opuścić, ale tylko pan może to stwierdzić.

– Zna pan tego mężczyznę, który miał ożenić się z Catherine? – zapytał Jim.

– Widziałem go kilkakrotnie, ale rozmawiałem z nim tylko raz. Mieszka w przyczepie kempingowej w Meadow Between Rocks i trzyma się z dala od innych, a wszyscy szanują jego wolę. Podobno w złości bywa niebezpieczny, jednak przy mnie był spokojny.

– Ma jakieś imię?

– Kilka. Ale ludzie mówią na niego Psi Brat.

Jim przysiadł na skraju łóżka.

– Co miałbym zaoferować temu Psiemu Bratu w zamian za rezygnację z Catherine? To

bardzo piękna dziewczyna. Gdybym był na jego miejscu, nie zrezygnowałbym z niej.

– Henry Czarny Orzeł ma niewielką posiadłość koło Shiprock oraz akcje i obligacje. Jest pan upoważniony do zaoferowania tego wszystkiego Psiemu Bratu, a także ćwierć miliona dolarów gotówką, w zamian za zwolnienie Catherine z obietnicy małżeństwa.

– Co będzie, jeśli się nie zgodzi?

– Wtedy spróbujemy czegoś innego. Odszukamy szamana, który wezwał Coyote. Może z nim pójdzie nam łatwiej.

– A jeżeli on również okaże się niechętny do współpracy?

– Będziemy się tym martwić, kiedy do tego dojdzie.

– A co z tym Coyote? Skoro jest również człowiekiem, odszukanie go nie powinno być trudne.

John Trzy Imiona pokręcił głową.

– Tego bym ci nie radził, Jim.

– Myślę, że jest w nim więcej z człowieka, niż sądzisz, John. To nie może być prawdą...

Demon, który żyje wiecznie, odradzając się w ludzkich dzieciach?

– Może byśmy się czegoś napili? – John Trzy Imiona położył mu dłoń na ramieniu. – Założę się, że po takiej podróży przyda ci się coś mocniejszego.

W barze było prawie pusto. Jim zamówił piwo, a John Trzy Imiona Krwawą Mary. W radiu Nat King Cole śpiewał *Ramblin' Rose*.

John Trzy Imiona zaprowadził Jima do stolika przy oknie.

– Lubię widzieć, kto przyjeżdża i wyjeżdża – oświadczył, rozchylił dwoma palcami żaluzje i zerknął na rozpaloną ulicę. – Według legendy Navajo – dodał po chwili – Coyote pożądał pięknej dziewczyny. Miała ona dwóch braci, którzy starali się ją ochronić. Była równie uparta jak piękna i Coyote przez długi czas nie udawało się zawładnąć jej duszą. Początkowo nienawidziła go i poddawała najprzeróżniejszym próbom, które kosztowały go życie. Ale za każdym razem, gdy umierał, pozostawiał przy swoim ciele kawałek krzemienia, tak by móc ponownie wydostać się na powierzchnię ziemi. W końcu jego upór sprawił, że dziewczyna mu uległa i sama zamieniła się w dziką bestię, towarzyszącą mu w jego nikczemnych wyprawach. Nazywamy ją Niedźwiedzią Panną. Podobno szczególną przyjemność sprawia jej kruszenie zębami ludzkich karków i rozpruwanie pazurami ich klatek piersiowych. Ale nie mogła przemienić się w niedźwiedzia, jeżeli ktoś ją obserwował, więc rodzina pilnowała jej dniem i nocą.

– Brzmi znajomo... – mruknął Jim.

– To tylko legenda. Jeśli chce pan w nią uwierzyć, to już pańska sprawa.

– Czemu pan się zajmuje tą sprawą? – zapytał Jim.

– Jestem tym osobiście zainteresowany, no i jestem przyjacielem Henry’ego Czarnego Orła. Współpracuję z indiańską gazetą *Diné Baa–Hané*. Nocą jestem łowcą demonów, a za dnia reporterem.

Do baru weszła Susan, prowadząc za sobą Catherine, Sharon i Marka.

– Wiedziałam, że was tu znajdę – powiedziała. – Proszę o Krwawą Mary.

Jim przesunął się, robiąc jej miejsce obok siebie. Catherine usiadła naprzeciwko i posłała mu niespokojne spojrzenie, jakby coś ją gnębiło, ale nie bardzo wiedziała, jak o tym porozmawiać.

– Co teraz? – zapytała Susan.

– Jutro o świcie pojedziemy do Meadow Between Rocks – odparł John Trzy Imiona. – Mamy szczęście, bo jeden z moich siostrzeńców przechodzi jutro rytuał Pierwszego Śmiechu. Rzadko

bywa się świadkiem czegoś takiego.

– Rytuał Pierwszego Śmiechu?

– Kiedy dziecko się po raz pierwszy śmieje, około czterdziestego dnia po urodzeniu, staje się członkiem rodu ludzkiego i zawiera pakt z bogami śmiechu, który pieczętuje się solą. Będą modlitwy i wielkie świętowanie. Ale tymczasem lepiej odpocznijcie. Macie za sobą ciężką podróż, a jeszcze gorsze chwile przed nami.

– Pójdę się trochę przejść – oznajmił Mark.

– Nie przypiecz się zanadto – ostrzegła go Susan. John Trzy Imiona zaproponował Catherine colę, lecz ona odmownie pokręciła głową.

– Coś się ze mną dzieje – powiedziała. – Coś się ze mną dzieje, a ja nie wiem co.

– Spróbuj nam to wyjaśnić – zachęcił ją Jim.

– Wciąż miewam koszmary, tyle że to nie są nocne koszmary. Mam je podczas dnia.

– Na czym polegają?

– To tylko jakby rozbłyski w mojej głowie. Trwają parę sekund i zaraz znikają. Ale od przyjazdu do Window Rock powtórzyły się już trzy albo cztery razy.

– Wszystkie są takie same?

– Wydaje mi się, że biegnę bardzo szybko, ścigając kogoś. Chcę rzucić się na niego i zaatakować. Chcę słyszeć jego wrzaski. Jestem bardzo silna. Sama nie mogę uwierzyć we własną siłę. Potrafię bez większego wysiłku urwać człowiekowi rękę. – Nagłe do jej oczu napłynęły łzy. – Dopiero co rozmawialiście o śmiechu dziecka, o stawaniu się członkiem rodu ludzkiego. A ja... sama nie wiem, ale mam uczucie, jakbym właśnie przestawała nim być.

Rozdział VI

W środku nocy Jima obudził łomot własnego serca, ale kiedy przyłożył dłoń do piersi, stwierdził, że to nie jego serce, lecz bęben. Teraz słyszał go bardzo wyraźnie – powolne, natrętne

łup–ŁUP–ŁUP–łup, łup–ŁUP–ŁUP–łup. Przysłuchiwał mu się przez chwilę, marszcząc czoło w ciemności, a potem wstał z łóżka i podciągając spodnie od pizamy podszedł do rozsuwanych drzwi balkonowych. Otworzył je i wyszedł bosy na płytki balkonu, wciąż promieniujące ciepłem wczorajszego słońca.

Nieopodal dostrzegł migotanie ogniska i wirujące w mroku iskry. Niebo lśniło od gwiazd.

Nie widział ich tyłu od czasu, gdy był chłopcem i ojciec zabrał go na ryby. Poczłł tęsknotę za tymi dawno minionymi dniami i żal.

Przeszedł przez otaczającą balkon balustradę i zeskoczył ciężko na zakurzoną ziemię. Coś zaszeleściło w ciemności, o jego stopę otarła się jaszczurka. Pożałował, że nie włożył butów, bo trafiały się tutaj również grzechotniki i skorpiony.

Bębnienie trwało dalej, donośne i monotonne. Miarowe łup–ŁUP–ŁUP–łup niosło się echem po pustyni. Jim rozejrzał się dookoła. Zdumiało go, że nikt więcej się nie obudził – ale może tutejsi ludzie po prostu to ignorowali. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do łóżka, jednak nagle dostrzegł, że tuż obok ogniska podnosi się ciemna sylwetka i zaczyna kołysać się na boki. Miała na głowie dziwaczną, pękatą maskę z rogami albo długimi uszami, a na szyi wisior z kłów jakiegoś zwierzęcia.

Po drugiej stronie ogniska dostrzegł czarny przysadzisty kształt, jakby cień. Zobaczył też dwie czerwone iskry, które mogły być nabiegłymi krwią oczami. Poczłł, jak na całej skórze pleców występuje mu gęsia skórka. Coś tam się czaiło, był tego pewien. Coś zimnego. Coś starego. Coś szczeciniastego.

Ostrożnie ruszył w kierunku ogniska, starając się omijać kamienie i kolczaste okazy miejscowej roślinności. Teraz widział już, że to postać w rogatej masce uderza w bęben. Był to nagi człowiek o ciele lśniącym od potu. Między udami ścisnął długi, ozdobny bęben i bił w niego kantami dłoni. Ognisko już przygasło, zamieniło się w stertę rozżarzonych węgli, lecz ciepło

bijące od niego powodowało, że powietrze wokół falowało, zniekształcając otoczenie. Jim zatrzymał się i osłonił oczy dłońmi, lecz nie potrafił stwierdzić, czy cień nadal jeszcze tam jest.

Bęben łomotał przez cały czas, a teraz do uszu Jima dotarł jeszcze monotony zaśpiew.

To pewnie jakaś ceremonia Navajo, modlitwa dziękczynna do księżyca albo coś podobnego, pomyślał. Czuł się jak intruz i wstydził się własnej paranoi, która zmuszała go do przyglądania się podejrzliwie każdemu falującemu cieniowi wokół ogniska i wyobrażania sobie, że to coś więcej niż cień. Że to Niedźwiedzia Panna, ostrząca zęby i pazury, by kogoś rozszarpać.

Odwrócił się w stronę motelu i dostrzegł Sharon wybiegającą na dziedziniec.

– Panie Rook! – zawołała. – Panie Rook? Gdzie pan jest?

Człowiek przy ognisku odwrócił się w ich stronę. Bębnienie nagle ucichło.

– Tutaj, Sharon! – odkrzyknął Jim. – Tu jestem!

– Panie Rook, Catherine zniknęła!

Jim spojrzał w stronę ogniska. Mężczyzna nadal patrzył w jego stronę, bęben milczał. Wiatr przegnał rozgrzane powietrze i przez ułamek sekundy Jim widział potężną, mroczną przygarbioną postać przypominającą niedźwiedzia, tyle że trzy razy większą. Ale zaraz potem wiatr poderwał w powietrze chmurę dymu i popiołu i postać zniknęła.

Jim wrócił na dziedziniec. Sharon miała na sobie obszerną różową koszulę z emblematem *Care Bears*, a jej włosy były nawinięte na różowe plastikowe wałki.

– Obudziłam się i chciałam pójść do łazienki, panie Rook, i wtedy zobaczyłam, że Catherine zniknęła! Nie zabrała ze sobą żadnych rzeczy. Szukałam jej na korytarzu, a potem usłyszałam to bębnienie i okropnie się wystraszyłam.

– Już dobrze, w porządku – odparł Jim. Bęben za jego plecami nadal milczał, ogień zaczynał wygasać. – Nie wiem, co się tu dzieje, ale najlepsze, co możesz zrobić, to wrócić do łóżka.

Catherine była bardzo niespokojna, kiedy tu przyjechaliśmy. Może poszła na spacer, żeby sobie

coś przemyśleć.

Sharon skinęła głową w stronę ogniska i sylwetki mężczyzny z bębniem.

– O co tu chodzi, panie Rook? Czy ten facet ma coś na sobie?

– Hmm... chyba nie. Ale sama rozumiesz, to nie Santa Monica. Tu podchodzą do takich spraw zupełnie inaczej.

– A dokąd pan się wybierał? – zapytała podejrzliwie Sharon. – Nawet nie ma pan butów na nogach.

– Ja? Cóż... chyba chciałem się temu przyjrzeć.

Sharon spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– W tej wycieczce jest coś dziwnego, panie Rook – oświadczyła. – Nie przypomina żadnych innych naszych wyjazdów w teren. Prawie zwariowałam ze strachu w samolocie, a teraz te bębny i ludzie pokrzykujący w środku nocy...

– Cóż, prawdę mówiąc nie przyjechaliśmy tutaj na wycieczkę – powiedział Jim. – Jesteśmy tu głównie ze względu na Catherine. Kiedy miała piętnaście lat, obiecano ją pewnemu Navajo o imieniu Psi Brat, ale ona wcale nie chce za niego wychodzić. Przyjechałem do Window Rock, żeby się przekonać, czy istnieje sposób na zerwanie tych zaręczyn. A was potrzebowałem, żebyście dotrzymywali jej towarzystwa.

Sharon spojrzała na niego.

– Ten Psi Gnat nadal chce się z nią ożenić?

– Brat, nie Gnat. Owszem, o ile mi wiadomo, tak.

– To dlaczego Catherine w ogóle tu przyjeżdżała? Niech napisze do niego list i o wszystkim zapomni. A po co pan tu jest? Jej ojciec nie mógł jej sam przywieźć?

– Musiałem pojechać z powodu Martina i tego, co się stało w naszej szatni. Musiałem pojechać, bo moje mieszkanie zostało zdemolowane i ktoś zabił mojego kota.

- Nie bardzo kojarzę...
- Widzisz, ten Psi Brat to najwyraźniej bardzo zazdrosny typ i rzucił na Catherine coś w rodzaju czaru. Kiedy jakiś facet się z nią umawia, Psi Brat mści się na nim. W przypadku Martina posunął się do ostateczności... uśmiercił go.
- Myślałam, że to robota braci Catherine. Przecież za to ich zamknięto, prawda?
- Owszem, istnieją pewne poszlaki wskazujące na nich jako na zabójców Martina, ale jeśli chodzi o akty wandalizmu i zabicie mojego kota, mają solidne alibi. Utrzymują, że odpowiada za to jakaś siła przywołana przez Psiego Brata po ucieczce Catherine do Los Angeles. Ma to coś wspólnego z indiańską magią. Nie rozumiem tego, jednak wygląda na to, że jedynym sposobem powstrzymania tej mocy jest rozmowa w cztery oczy z tym Psim Bratem.
- Ma pan na myśli coś w rodzaju tego czarownika voodoo, którego musiał pan kiedyś wytropić?
- Chyba tak. Jest niewidzialna. Nikt nie potrafi tego dostrzec, nikt oprócz mnie.
- Dlaczego pan nam tego nie powiedział przed wyjazdem? Nie ufa nam pan?
- Oczywiście, że wam ufam. Dlatego chciałem, żebyście ze mną pojechali. Po prostu nie wiedziałem jeszcze, z czym mam do czynienia. Wszystko wskazywało na to, że winni są bracia Catherine. Jednak od tamtego czasu widziałem i czułem takie rzeczy, że uwierzyłem w ich wersję wydarzeń. Przynajmniej częściowo.
- Jakie rzeczy?
- Nic konkretnego... cienie w miejscach, w których nie powinno być cieni. Napięcie w powietrzu. Ale może to tylko moja paranoja.
- Kiedy następnym razem poczuje pan coś takiego, proszę nam o tym wspomnieć.
- Obiecuję – odparł Jim. – Porozmawiamy o tym później. Teraz lepiej wróć do swojego pokoju i poczekaj na Catherine, a ja rozejrzę się po okolicy. Może zdołam ją odnaleźć. Nie sądzę,

żeby zbyt szybko się oddaliła.

– Proszę pamiętać o zaufaniu – powiedziała Sharon i ruszyła do motelu.

Jim skierował się z powrotem w stronę ogniska. Daleko nie zaszedł, kiedy z prawej strony usłyszał wołanie Susan:

– Catherine! Sharon! Gdzie jesteście?

– O, Boże, tylko tego mi brakowało – mruknął do siebie Jim i odkrzyknął: – Z Sharon wszystko w porządku! Wróciła do swojego pokoju. Szukam Catherine!

Susan wyłoniła się z dymu w połowie drogi między ogniskiem a motelem, otulona w biały szlafrok. W dłoni trzymała latarkę.

– Jim? – zapytała. – To ty? Szukam Catherine i Sharon. Ich łóżka są puste!

– Na rany Chrystusa, Susan... – zaczął Jim, lecz nagle znów usłyszał bęben. Ognisko zagasło już prawie zupełnie, więc postać mężczyzny była ledwie dostrzegalna, w ciemności majaczyło jedynie jego nakrycie głowy i nagi tors. Bęben odezwał się ponownie, szybciej i głośniejsze. Susan zatrzymała się zdezorientowana.

– Jim? – zawołała. – Czy jest z tobą Sharon? I gdzie jest Catherine?

Dzieliło ich jeszcze ponad sto stóp, gdy Jim ujrzał mroczny cień podrywający się bezszelestnie od ogniska i ruszający w stronę Susan, która stała w miejscu, zupełnie nieświadoma tego, co się dzieje. Tymczasem złowroga ciemność zbliżała się do niej z szybkością szarżującego byka.

– Susan! – krzyknął Jim. – Susan, uważaj!

Ruszył ku niej co tchu w piersiach. Nie biegł tak szybko od szkolnych czasów, kiedy prawie pokonał najlepszego sportowca szkoły w biegu na dwieście jardów. Wciąż jeszcze widział uśmiechniętą, zadowoloną twarz tamtego. Niemal wypłuł sobie płuca, by wygrać ten wyścig, i gdy ukończył go na drugim miejscu, nie mógł w to uwierzyć.

Teraz pędził jeszcze szybciej. Drugi raz nie zniósłby porażki.

– Susan! – wydyszał. – Susan, uważaj! Z prawej strony, Susan!

Susan zatrzymała się i spojrzała na prawo, lecz najwyraźniej niczego nie widziała.

– Na ziemię! – ryknął Jim.

Potwór był ogromny – znacznie większy, niż Jim sobie wyobrażał. Miał masywne barki i pazury wygięte niczym szable, zabarwione na czerwono blaskiem ogniska. Ale to jego szybkość najbardziej przerażała Jima – gnał ku Susan jak na skrzydłach. Nie miał szans na powstrzymanie tej bestii.

Najgorsze było to, że tylko on ją widział. Susan bezradnie obracała się dookoła, wypatrując czegoś całkowicie niewidzialnego.

Jim rzucił się na nią niczym rugbista. Susan, zdumiona i wystraszona, cofnęła się i Jim wpadł w kolczaste krzaki. Kiedy wykręcił głowę, dostrzegł bestię parę kroków od Susan, że zjeżonym futrem i oczyma płonącymi jak węgle. Czuł jej zapach, woń starego niedźwiedzia, cuchnącego krwią, moczem i brudnym futrem. Susan nadal stała beztrzesko w jej cieniu, wspierając się dłońmi o biodra i mówiąc:

– Jim, na miłość boską, może zechcesz mi wyjaśnić, co...

– Na ziemię! – wrzasnął Jim, lecz Susan nadal patrzyła na niego ze złością.

Ogromna łapa wbiła jej się w szyję i oderwała głowę od tułowia, ciskając ją wprost w rozgwieżdżone niebo. Ciągnął się za nią strumień krwi, niczym ogon komety.

Bezgłowe ciało Susan stało przez moment nieruchomo, z tętnic tryskały fontanny krwi. Jej szlafrok na oczach Jima zmienił kolor z białego na purpurowy. Bestia ponownie wbiła w nią szpony, rozrywając ją na kawałki. Zgrzyt łamanych kości był tak głośny, że Jim przycisnął dłonie do uszu i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, ujrzał, jak szczątki Susan osuwają się na ziemię. Spojrzał na potwora, spodziewając się, że teraz rzuci się na niego. Przez parę sekund bestia

stała nad nim, przesłaniając nocne niebo. Jim opuścił głowę i zamknął oczy, walcząc

z mdłościami. Jednak

wtedy ponownie odezwał się bęben łup–ŁUP–ŁUP–łup –

łup–ŁUP–ŁUP–łup i potwór odwrócił łeb, a potem jego sylwetka rozmazała się, zbladła

i gwiazdy zaczęły przeświecać przez jego zjeżoną sierść. Bęben nie cichł – łup–ŁUP–ŁUP–łup –

i potwór oddalił się powoli, odchodząc w mrok w kierunku ogniska.

Jim był pewien, że widział, jak bestia mijała ognisko, bo jego blask przygasł na moment, lecz

potem zniknęła ostatecznie i na pustyni pozostał jedynie mężczyzna z bębniem i rozpalone,

gasnące węgle, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był głos Sharon.

– Panie Rook? Panie Rook? Słyszałam jakieś krzyki. Co się dzieje, panie Rook?

Jim podniósł się z ziemi. Był poobijany i wstrząśnięty, oddychał płytko i pospiesznie Dzięki

Bogu jest ciemno, pomyślał, i Sharon nie widzi ciała Susan. Dzięki Bogu ja również nie.

– Nic się nie stało, Sharon – uspokoił ją. – Szukałem Catherine, to wszystko. Wróciła już?

– Jeszcze nie, panie Rook. Może powinnam panu pomóc jej szukać?

– Nie, nie. Wracaj do pokoju. Bardziej mi pomożesz w ten sposób.

Sharon przez krótką chwilę stała na dziedzińcu, wpatrując się w ciemność, po czym

niechętnie weszła do środka budynku. Było trochę po trzeciej. Jim wrócił na miejsce, gdzie

spoczywało ciało Susan, a potem podszedł do ognia i mężczyzny z bębniem.

Ogień przygasł już, lecz biło od niego takie gorąco, że Jim nie mógł się zanadto zbliżyć.

Mężczyzna przestał grać i kuczał przy ognisku, owinięty w szarobiały indiański koc.

– Kim pan jest? – zapytał Jim. – I co się tu dzieje? Została zabita kobieta.

Mężczyzna sięgnął do skórzanego woreczka i cisnął na węgle garść proszku. Palił się przez

parę sekund, roztaczając wokół zapach wysuszonych ziół, a także jeszcze jakiś, bardziej

nieokreślony, jak gdyby starych wspomnień. Jim ujrzał siebie bawiącego się w lesie nad

jeziorem, ale po chwili wizja znikła.

– Będę musiał wezwać policję – oznajmił. Mężczyzna rzucił w ogień następną garść proszku, zawiązał woreczek i wstał. Jim rozpoznał Johna Trzy Imiona. Na twarzy Indianina malowała się obojętność, jego oczy spoglądały bez wyrazu.

– Zabiłeś moją przyjaciółkę – powiedział Jim. Był bliski łez. – Ona... oderwałeś jej głowę, a potem rozszarpałeś.

– Ja tego nie zrobiłem – odparł John Trzy Imiona. Minął Jima i podszedł do płaskiego, gładkiego kamienia, na którym zostawił swoje rzeczy. Bez cienia wstydu rzucił koc i włożył kraciatą koszulę i dzinsy.

– To coś tu było – nie dawał za wygraną Jim. – Ten potwór. Co zrobiłeś, wyczarowałeś go?

– Niczego nie widziałem. Tylko ty potrafisz dostrzec to stworzenie.

– To jak niby Susan została rozerwana na strzępy? Ono urwało jej głowę, John!

– Przykro mi – mruknął John Trzy Imiona. – Widziałem jej śmierć i jest mi bardzo przykro, ale to wszystko, co mogę powiedzieć. To wojna, a na wojnie wielu niewinnym ludziom dzieje się krzywda. Zwłaszcza kiedy naszym przeciwnikiem są moce, które niezupełnie rozumiemy.

– I tak dzwonię po policję. Przyjechałem tu w geście dobrej woli. Teraz moja dziewczyna nie żyje. Jezu, jak możesz być taki spokojny? – niemal krzyknął Jim.

– Nie jestem spokojny – powiedział John Trzy Imiona. – Ani trochę. Jestem równie wstrząśnięty jak ty. Ale ten potwór będzie dalej zabijał, dopóki Psi Brat nie zrozumie, że musi zostawić Catherine w spokoju, a tylko ty możesz to sprawić.

– Wzywam policję – powtórzył Jim.

– Ach tak? I co im powiesz?

– Prawdę, cóż by innego?

– Prawdę? Że niewidzialny potwór podkradł się i urwał głowę twojej dziewczynie?

Widziałem, jak biegniesz w jej stronę. Widziałem, jak pada na ziemię. Tyle że o ile mi wiadomo nie było tu żadnego niewidzialnego potwora. Jak myślisz, do jakich wniosków dojdzie policja?

– Rozerwał ją na kawałki. Ja nie byłbym w stanie tego zrobić!

– Ale będziesz głównym podejrzanym – John Trzy Imiona wzruszył ramionami. – Wszyscy tutejsi gliniarze to Navajo, raczej mało tolerancyjni wobec białych. W końcu mają po temu dosyć powodów.

– Niczego nie widziałeś? – Jim rozpaczliwie rozejrzał się dookoła. – Nie widziałeś tego cienia? Siedział tu, przy ognisku, kiedy grałeś na bębnie.

John Trzy Imiona dotknął czubkiem palca swojej powieki.

– Moje oczy nie dostrzegają takich rzeczy, Jim. I jestem z tego bardzo zadowolony.

– Co w takim razie robiłeś przy ognisku, waląc w ten cholerny bęben?

– Modliłem się do moich przodków. Prosiłem ich o wsparcie podczas jutrzejszej wizyty u Psiego Brata, by udało nam się dopiąć swego i by Psi Brat uwolnił Catherine.

– To dlaczego ten potwór się pojawił?

– Może aby pokazać nam, że jutrzejsze starcie nie będzie łatwe i że wciąż mamy czego się obawiać.

– Nie będzie jutro żadnego starcia. Po tym, co się stało dzisiejszej nocy, rezygnuję.

John Trzy Imiona sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

– Jak możesz rezygnować, skoro jedynie ty możesz dopilnować tego, by potwór, który zabił twoją przyjaciółkę, został odesłany tam, gdzie jego miejsce? Jak możesz rezygnować, skoro zginąć może jeszcze wielu ludzi?

Jim spojrzał w stronę miejsca, gdzie leżało ciało Susan.

– Nie wolno ci się poddawać – dodał Indianin. – Zresztą nie masz wyboru. Przeznaczenie spogląda w przyszłość, nigdy za siebie. Za plecami masz zamknięte drzwi. Te przed tobą trudno

będzie otworzyć, ale to jedyne wyjście.

– W takim razie co zrobimy z ciałem Susan? – zapytał Jim. – Wkrótce świt.

John Trzy Imiona skinął głową w kierunku ogniska.

– Jest teraz bardzo gorące, możemy ją skremować.

Jim sapnął głośno. Było to nielegalne, ale gdyby odnaleziono ciało, poważnie by go to obciążyło. Mimo przebytego szoku rozumiał, że żaden sąd nie uwierzyłby, że Susan została zabita przez niewidzialną bestię–widmo – przynajmniej dopóki nie będzie w stanie udowodnić jej istnienia.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Ale potrzebuję twojego koca, żeby ją zawinąć.

– To bardzo cenny koc – zaprotestował John Trzy Imiona, przyciskając go do piersi.

– Nawet gdyby to był Całun Turyński, nie wzruszyłoby mnie to. Jest mi potrzebny.

John Trzy Imiona niechętnie podał mu koc. Jim zaniósł go do szczątków Susan i położył na ziemi. Spróbował ich dotknąć, ale przekonał się, że nie potrafi, złapał więc za przesiąknięty krwią szlafrok i przetoczył ciało na koc. Chrobot przesuwanych kości i chlupot jelit przyprawił go o mdłości – lecz najgorsze było to, że Susan, choć bezgłowa, kiedy ją przetaczał, wydała z siebie ciche, żałosne westchnienie.

– Po prostu w płucach zostało trochę powietrza – stwierdził John Trzy Imiona.

Jim zawinął koc i z pomocą Indianina przeniósł go do ogniska. Rozgarnęli patykami węgle i opuścili szczątki Susan w najbardziej rozgrzane miejsce. Oczy Jima zaszyły łzami, nie tylko od gorąca. Koc zajął się natychmiast, powietrze wypełnił drapiący w gardle smród palonej wełny.

– Musimy odnaleźć jej głowę – oświadczył ponuro John Trzy Imiona.

– Nie jestem pewien, czy potrafię – odparł Jim. Przepęłniał go taki smutek, że z trudem trzymał się na nogach.

– Musisz – John Trzy Imiona chwycił go za nadgarstki. – Chcesz zostawić ją tutaj, by

znalazły ją psy?

Przez następne dwadzieścia minut przeczesywali okolicę, szukając głowy Susan. Niebo zaczęło się rozjaśniać, gwiazdy zbladły. Muzyka cykad rozbrzmiewała coraz głośniejsze. Jim wyprostował się w końcu. Na tyłach motelu biegł płot z falistej blachy, u szczytu wycięty w poszarpane zęby. W trzech czwartych jego długości tkwiła blada, skrzywiona twarz. Jim przez chwilę myślał, że zza płotu obserwuje go jakaś kobieta, ale zaraz zrozumiał, że spogląda na głowę Susan. Wylądowała na płocie, zachowując ten sam wyraz twarzy, z jakim spoglądała na niego przed śmiercią.

Podszedł do płotu na miękkich nogach. Kiedy był już blisko, zorientował się, że głowa tkwi dobre siedem stóp nad ziemią. Miała otwarte oczy i gdyby nie wiedział, że reszta jej ciała płonie w ognisku za jego plecami, bez trudu mógłby uwierzyć, że Susan nadal żyje.

Nie potrafił dotknąć jej głowy i musiał się odwrócić, gdy John Trzy Imiona strącał ją suchym patykiem. Indianin podniósł ją za zlepione krwią włosy i zaniósł do ognia. Jim pozostał na miejscu, ciężko dysząc. Łzy ściekały mu po policzkach.

Po chwili John Trzy Imiona zawołał go. Udało mu się na tyle odzyskać panowanie nad sobą, że mógł podejść do ogniska. Indianin powiedział:

– Musimy pozwolić, by się wypaliło... później przyjdę tu i przykryję popioły ziemią.

Poprosiłem kierownictwo motelu o zezwolenie na rozpalenie dziś wieczór ogniska ceremonialnego, więc nie mają podstaw do podejrzeń.

– Ale co będzie, gdy Susan nie zjawi się na śniadanie?

– Musisz powiedzieć swoim uczniom, że rozchorowała się w nocy i postanowiła wrócić do domu. Zabiorę jej ubrania i walizkę i dobrze je ukryję.

– Ale jeżeli ktoś dowie się o tym, co zrobiliśmy, na pewno pomyśli, że to my ją zabiliśmy.

– Oczywiście – odparł John Trzy Imiona. – Tak jak policja z Los Angeles sądzi, że Paul

i Szara Chmura zabili Martina Amato.

– Co więc u licha mamy począć?

– To, co planowaliśmy od samego początku... Musimy porozmawiać z Psim Bratem i przekonać go, by uwolnił Catherine.

– Ale w ten sposób nie dowiedziemy naszej niewinności.

– Zapobiegniemy jednak kolejnym zabójstwom.

Jim spojrzał na ognisko. Wciąż jeszcze biło od niego gorąco, lecz było w nim teraz znacznie więcej popiołu. Poranna bryza rozwiała jego część po ziemi wśród krzewów. Zmówił cichą modlitwę za duszę Susan, mając nadzieję, że gdziekolwiek jest, będzie w stanie mu wybaczyć.

Nagle ponownie usłyszał Sharon:

– Wróciła, panie Rook! Catherine właśnie wróciła!

Gdy John Trzy Imiona rozgrzebywał popioły, Jim wrócił do pokoju i pospiesznie przebrał się w dzinsy i niebieską koszulę. Palce mu tak dygotały, że z trudem pozapinał guziki. Potem zastukał do drzwi pokoju dziewcząt. Sharon natychmiast mu otworzyła. Jim wszedł do środka i ujrzał Catherine w zielonej koszuli nocnej siedzącą na skraju łóżka i pijącą łąpczywie colę z puszki. Spojrzał na jej stopy – były zabrudzone popiołem.

– Gdzie byłaś? – zapytał. – Wszyscy się o ciebie martwiliśmy. A pani Randall tak się zdenerwowała, że miała atak astmy i być może będzie musiała wrócić do domu.

Catherine podniosła na niego wzrok.

– Astma? – zdziwiła się.

– Właśnie. W chwilach szczególnego napięcia często daje o sobie znać.

– To znaczy, że ma trudności z oddychaniem?

– Tak.

Catherine na powrót spuściła głowę. Jim nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ukrywa uśmiech.

– Nadal mi nie powiedziałaś, gdzie byłaś.

– Nie mogłam spać, więc poszłam na spacer.

– To nie było szczególnie mądre.

– Czasami mądrość bywa pojęciem względnym – oświadczyła Catherine. – Sam nam to pan powiedział.

Jim nie cierpiał, kiedy jego uczniowie cytowali jego własne słowa, zwłaszcza gdy obracali je przeciwko niemu. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Zamierzał zapytać Catherine, czy słyszała bębny na dworze i czy widziała ognisko, uznał jednak, że lepiej trzymać język za zębami, przynajmniej na razie. Jeżeli Catherine była zamieszana w śmierć Susan, sama dobrze o tym wiedziała. Jeżeli nie, lepiej było jej w to wszystko nie wtajemniczać.

Zjawił się rozczochrany Mark, w koszulce i luźnych szortach.

– Co się dzieje? – zapytał. – Słyszałem krzyki, trzaskanie drzwiami i inne takie. Czy tu w ogóle można się wyspać?

– Przykro mi, Mark – odparł Jim. – Ale Catherine poszła sobie na spacer i chyba trochę za gwałtownie zareagowaliśmy.

– W takim razie wszystko w porządku – stwierdził Mark. – Tylko na przyszłość zachowujcie się ciszej, dobrze? Śniło mi się coś fajnego... byłem perkusistą w REM.

Jim spotkał się z Johnem Trzy Imiona na korytarzu i zabrał go do swojego pokoju. Drzwi Susan nadal były zamknięte, podobnie jak drzwi między ich pokojami, lecz drzwi na dziedziniec były lekko uchylone. Przedostali się przez ogrodzenie i weszli do środka.

Jim natychmiast skierował się ku szafie i wyjął z niej ubrania Susan. Pachniały jej perfumami i musiał przygryźć dolną wargę, by nie wybuchnąć płaczem. Zestawił z półki walizkę, otworzył ją i wrzucił do niej ubrania. John Trzy Imiona wyszedł z łazienki niosąc szczoteczkę do zębów i przybory toaletowe.

– To wszystko? – zapytał Jim. – Zajrzyj jeszcze pod łóżko, mogła coś tam zostawić.

John Trzy Imiona pochylił się i wyciągnął parę kwiecistych bawełnianych pantofli oraz wytarty egzemplarz *The San Andreas Fault*.

– Była nauczycielką geografii – wyjaśnił Jim. John Trzy Imiona podniósł walizkę.

– Zabiorę to do siebie – oświadczył. – A ty może położysz się na parę godzin? Nawet jeżeli nie zaśniesz, przynajmniej trochę się uspokoisz. Spotkamy się o wpół do dziewiątej

– To niewiarygodne – mruknął Jim. – Wcale tego nie widziałeś? Nawet cienia?

Indianin pokręcił głową.

– Widziałem tylko, jak ginie twoja przyjaciółka i wiem, że nie mogłeś tego zrobić, nie w taki sposób.

– To było takie wielkie – powiedział Jim. – Czarne, kosmate jak niedźwiedź i niewiarygodnie szybkie. Susan nie miała najmniejszej szansy.

– Nie powinieneś się obwiniać. Nie mogłeś zrobić niczego, by temu zapobiec.

– Nie powinienem w ogóle zabierać Susan do Arizony.

– Życie jest pełne niebezpieczeństw. Gdyby została w Los Angeles, mogła zginąć w wypadku samochodowym. Tylko Gitche Manitou zna los, jaki jest nam przeznaczony.

Jim rozejrzał się po pokoju Susan, otworzył drzwi i sprawdził, czy korytarz jest pusty, a potem wypuścił Johna Trzy Imiona.

– Wpół do dziewiątej – przypomniał mu i wrócił do swojego pokoju. Poszedł do łazienki, zapalił światło i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Na półkach miał dwie smugi popiołu, lecz poza tym wyglądał zupełnie normalnie, jakby nie wydarzyło się nic specjalnego. Przez okno widział nadal pnącą się w niebo kłębę dymu i prawie nie mógł uwierzyć, że to stos pogrzebowy Susan i że nigdy więcej jej nie ujrzy.

Próbował oglądać telewizję, ale znalazł jedynie jakiś stary czarno-biały film i meksykańską

audycję o Święcie Zmarłych. Wyłączył telewizor i zamknął oczy, jednak prawie natychmiast je otworzył, bo pod powiekami ujrzał mroczny, szpeciniasty kształt pędzący ku niemu z rozczapierzonymi pazurami.

Jest już czwartek, dzień, w którym mam umrzeć, pomyślał. Położył się i utkwiał spojrzenie w suficie, na czoło wystąpił mu lepki pot strachu. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek, któremu urywa się głowę albo rozpruwa korpus. Ale musi coś czuć, nawet jeżeli trwa to jedynie mgnienie oka. Przypominał sobie opowieści o głowach poruszających oczyma po oddzieleniu od ciała, wpatrujących się z przerażeniem w kikuty własnych szyj.

Wstał z łóżka, podszedł do barku, nalał sobie do szklanki solidną porcję whisky i wypił wszystko jednym haustem. Zakaszał i przetarł oczy. Dygotał tak gwałtownie, że upuścił szklankę na podłogę.

Kwadrans przed ósmą przeszedł pod drzwi pokoju dziewcząt i zapukał. Po chwili w progu stanęła Sharon.

– Pomyślałem, że zrobię wam pobudkę – powiedział – John Trzy Imiona przyjedzie po nas za czterdzieści pięć minut.

– Jak się czuje pani Randall? – zapytała Sharon – Minał jej atak astmy?

– Nie, niestety nie. Jeszcze jej się pogorszyło. Z trudem oddychała. Odesłałem ją z powrotem do Albuquerque. Pójdzie tam lekarza, a potem poleci do Los Angeles.

– Szkoda – mruknęła Catherine, siadając na łóżku.

– Owszem, szkoda – przytaknął Jim – Zobaczymy się po śniadaniu.

Zamknął drzwi. Nie wiedział, co sądzić o reakcji Catherine. Wydawała się zmieniać. Kiedy zjawiała się w West Grove, była otwarta i przyjacielska. Jako pierwsza z klasy podnosiła rękę, by zadać pytanie, i nigdy nie bała się wyrażać swoich uczuć. Uwielbiała wiersze Delmore Schwartz i przed całą klasą recytowała: „Ciężki niedźwiedź ze mną chodzi, z mordą umazaną w miodzie,

ocięzały i niezgrabny, ale wielki i wszechwładny”. Po wydarzeniach minionej nocy cytat ten nabrał nowego, złowieszczego znaczenia.

Tu, na ziemi Navajo, Catherine stała się odległa i nieufna, wycofała się w głąb siebie. Tego ranka nie zauważył przy mej cienia, lecz jej napięcie było bardzo wyraźnie wyczuwalne, jak fale gorąca bijące od ogniska Johna Trzy Imiona.

Na korytarzu pojawił się Mark w wyblakłych obszernych bermudach i koszulce firmowej Delco/Bose.

– Hej, panie Rook, chciałbym panu podziękować – powiedział. – Nigdy dotąd tak dobrze się nie bawiłem.

– Mam nadzieję, Mark.

– Chyba jest pan trochę przygnębiony, panie Rook... z jakiego powodu, jeśli można zapytać’?

– Chodzi o panią Randall – odparł Jim. – Miała atak astmy i musiała wrócić do domu.

– Lubi ją pan, prawda, panie Rook? – zapytał Mark. – Widziałem, jak pan na nią patrzy.

Naprawdę ją pan lubi.

Jim uśmiechnął się z trudem, a potem objął Marka ramieniem i powiedział.

– Owszem, naprawdę ją lubię.

Razem przeszli do motelowej restauracji. W powietrzu unosił się zapach świeżej kawy i ciasteczek. Ponura Indianka w długiej sukni z zadrukowanego perkalu nakładała na talerze plasterki bekonu, jajka i naleśniki. Jim i Mark usiedli przy oknie. Na zewnątrz rozmazana spirala dymu nadal wiła się nad zaroślami i Jim pomyślał: to ostatnie cząstki Susan, unoszące się do nieba.

Mark obracał w palcach słodzik.

– Wie pan co, panie Rook? Zanim pana poznałem, nie zdawałem sobie sprawy z połowy uczuć, jakie we mnie tkwiły. Rozumie pan, o co mi chodzi? Zawsze myślałem, że poezja jest do

bani. Ale pan mówi o niej tak, że człowiek łapie, co jest grane. To jakby moje własne uczucia, tyle że spisane na papierze. Pokazał mi pan także, że poza Santa Monica istnieje jeszcze cały świat. Nie tylko Arizona, ale wszystkie inne miejsca, o których ludzie piszą. Francja, Rosja i cała reszta. Skoro człowiek mieszka na tej planecie, musi wiedzieć, gdzie to jest, bo wtedy wie, kim sam jest. – Przerwał na moment, a potem dodał: – Pani Randall jest pana przyjaciółką. Jak pan myśli, czy znalazłaby trochę czasu, żeby pouczyć mnie geografii? No wie pan, żebym się choć trochę zorientował.

Ponura Indianka przyniosła im kawę, jajka na bekonie i sok. Gdy odeszła, Jim spojrzał na Marka i powiedział: – Porozmawiam o tym z panią Randall, kiedy wrócimy do Los Angeles, dobrze? Jestem pewien, że się zgodzi. – W ustach poczuł smak popiołu. Popiołu Susan.

Powoli wysączył do dna filiżankę czarnej kawy, podczas gdy Mark z entuzjazmem pożerał jajka na bekonie. Unikał spoglądania przez okno. Nie chciał znowu ujrzeć tej wstęgi dymu. Nie chciał myśleć o tym, że nigdy nie zobaczy już Susan.

Gdy wyruszyli przez płaskowyż w stronę Fort Defiance, był upalny, zakurzony poranek.

John Trzy Imiona opowiadał im o historii i kulturze ludu Navajo.

– Navajo nie stanowili plemienia, przynajmniej za dawnych czasów. Podstawową jednostką była rodzina: mężczyzna, jego żona i ich dzieci. Każda rodzina mieszkała w osobnej ziemiance, czyli hoganie. Czasem parę hoganów było ustawionych blisko siebie, bo niektóre codzienne czynności przerastały możliwości pojedynczej rodziny. Wielu mężczyzn brało sobie więcej niż jedną żonę, często były to siostry.

– Nie wyobrażam sobie, by jakiś Navajo chciał ożenić się z moimi siostrami – wtrącił Mark.

– Wciąż gadają tylko o szminkach, ciuchach i chłopakach, i kto jest fajny, a kto do kitu.

– Mężczyzna Navajo miał wielką władzę nad swymi żonami – powiedział John Trzy Imiona.

– Jeżeli nie był z nich zadowolony, bił je.

– To pogwałcenie praw kobiety – stwierdziła Sharon. – Gdyby mój chłopak spróbował czegoś takiego, połamałabym mu rękę.

– Nie jesteś w Los Angeles – przypomniał jej John Trzy Imiona. – Historia Navajo liczy sobie tysiące lat, jest starsza niż biała czy czarna rasa. Ten kraj był niegdyś przesycony potężną magią. Teraz ta magia odeszła, ale nie do końca – oświadczył i zerknął znacząco na Jima.

Sharon dopytywała się o wszystko, a Mark błysnął paroma abstrakcyjnymi dowcipami.

Jedynie Catherine milczała uparcie, że wzrokiem utkwionym w czerwonawe góry na horyzoncie.

– Nic ci nie jest? – zapytał Jim.

– Chyba nie – odparła. – Ale chciałabym, żeby już było jutro.

Nie tak szybko, pomyślał Jim. To może być ostatni dzień mojego życia.

Gdy dotarli do miasteczka przyczep kempingowych, zobaczyli nad wjazdem napis: *Meadow Between Rocks Homes*. John Trzy Imiona wjechał przez bramę i ruszył główną alejką między dwoma rzędami zaparkowanych przyczep. Przy większości z nich były małe ogródki, w których hodowano zioła, warzywa i kwiaty. Wszędzie biegały małe dzieci w towarzystwie rozszczekanych psów. Jakaś kobieta, rozwieszająca właśnie pranie na sznurku przyczepionym do burty jej przyczepy, spojrzała Jimowi w oczy, zupełnie jakby go oczekiwała.

John Trzy Imiona zaparkował swojego chryslera przed jedną z większych przyczep. Stało tam już siedem czy osiem samochodów i półciężarówek, a dookoła zgromadził się spory tłumek: młodzi ludzie w świeżo upranych dżinsach i kraciastych koszulach – i starsi, w tradycyjnych strojach. Za przyczepą płonęło ognisko, nieopodal rozstawione były drewniane stoły na kozłach. Kiedy wysiedli z samochodu, do Johna Trzy Imiona podszedł wysoki uśmiechnięty mężczyzna z małym dzieckiem na ręku.

– Jim, przedstawiam ci mojego kuzyna Dana – powiedział John Trzy Imiona. – A ten mały obywatel jest główną przyczyną dzisiejszej uroczystości.

- Cieszę się, że mogliście przyjechać – powitał ich Dan, wprowadzając wszystkich do wnętrza przyczepy. Normalnie było w niej sporo miejsca, ale teraz stłoczyli się tam sąsiedzi, przyjaciele i krewni. Żona Dana, Minnie, podała im puszki piwa.
- Opowiedz mi o rytuale Pierwszego Uśmiechu – poprosił Jim, łaskocząc niemowlaka pod brodą. Dziecko zachichotało, wierzgając rękoma i nogami.
- Po stworzeniu człowieka Wielki Duch wręczył mu dwa prezenty... – zaczął Dan. – Życie i śmiech. Zwierzęta również żyją, ale żadne z nich nie potrafi się śmiać. Śmiech czyni nas ludźmi i zbliża nas do Wielkiego Ducha. Każdy dzień bez śmiechu oddala nas od miejsca duchowych narodzin. Dzisiejsza uroczystość ma upamiętnić fakt, że mój syn stał się członkiem rasy ludzkiej i zjednoczył się z duchami.
- Słuchaj, Dan – przerwał mu John Trzy Imiona – długo tu nie zabawimy.
- Po takiej podróży? Chyba żartujesz?
- Prawdę powiedziawszy, sprowadza nas tutaj coś innego – oświadczył John Trzy Imiona. – Chcemy odwiedzić Psiego Brata.
- Psiego Brata...? Czego od niego chcecie?
- To sprawa rodzinna.
- W związku z... – Dan skinął głową w kierunku Catherine.
- Tak – potwierdził John Trzy Imiona. – Nie chce jej uwolnić. Utrzymuje, że umowa nadal pozostaje w mocy.
- Ostrzegałem Henry’ego – mruknął Dan. – Ostrzegałem go, ale mnie nie posłuchał. Zamartwiał się o swoją żonę. Oświadczył wtedy: „Kiedy nadejdzie pora oddać mi Catherine, wywozę ją stąd i Psi Brat nigdy jej nie znajdzie”. Powiedziałem mu, że Psi Brat znajdzie ją wszędzie, gdziekolwiek by ją ukrył. Henry chyba nie rozumiał, że to właśnie Psi Brat mógł być odpowiedzialny za raka jego żony.

– Przepraszam, że się wtrącam – odezwał się Jim – ale zarazić można kogoś grypą, nie rakiem.

Dan spojrział na niego tak, jak gdyby powiedział coś monstrualnie głupiego.

– Mówimy o Psim Bracie – oświadczył z naciskiem.

– No i co z tego? To tylko człowiek.

– Ty też się do niego wybierasz?

– Oczywiście. Dlatego tu jestem. Henry poprosił mnie, żebym spróbował go jakoś spłacić.

Pokażna suma w akcjach i obligacjach w zamian za Catherine.

Dan pokręcił głową.

– Zwariowaliście? Chyba Henry nie wierzy, że uda mu się wymienić Catherine na pieniądze?

Nie zdajecie sobie sprawy, z kim macie do czynienia.

John Trzy Imiona położył rękę na ramieniu Dana.

– Daj spokój, Dan. Nie popadajmy w przesadę. Większość opowieści o Psim Bracie to plotki i ludzkie wymysły. To normalny facet.

– Więc dlaczego ludzie chodzą do niego, kiedy pragną uleczyć kogoś z raka?

– Dan, wszystko będzie dobrze. Wszystko pójdzie jak po maśle. Odwiedzimy Psiego Brata i może zdążymy z powrotem na modlitwy.

– To się wam przyda, zapewniam cię – odparł Dan.

Rozdział VII

Przyczepy ustawione u wylotu głównej alei wyglądały na znacznie bardziej zużyte. Przed niektórymi były na wpół rozsypujące się werandy, inne pokryto prowizorycznymi dachami ze smołowanej tektury. Wokół, zamiast wypielęgnowanych grządek z warzywami, rosły przykurzone pustynne trawy, obsypane śmieciami, jakie nieodmiennie gromadzą się w takich miejscach. Stosy zardzewiałego żelastwa, fotele samochodowe i walające się wszędzie zużyte

opony.

Odstępy między przyczepami zaczęły się powiększać. Przed jedną z nich, o oknach przesłoniętych brudnymi zasłonami, ustawiony był ręcznie malowany napis „Zakaz wstępu. Właściciel ma broń i słabe nerwy.” Jakiś pies szarpał obok truchło myszołowa.

Na samym końcu obozowiska stała duża czarna przyczepa o zasłoniętych oknach, ustawiona zupełnie inaczej niż pozostałe przyczepy. Powietrze nad nią falowało od gorąca, zniekształcając sylwetki odległych, karmazynowych szczytów gór. Dokoła porozrzucane były puste puszk i części samochodowe oraz sterty starych gazet, posklejane jakąś czarną substancją, przypominającą smołę. Kłębiły się nad nimi roje much.

Nieopodal, w cieniu samotnego drzewa, stał buick electra. Wysoko w górze na bezchmurnym niebie krążyła leniwie para myszołowów.

John Trzy Imiona przezornie zatrzymał chryslera w znacznej odległości od przyczepy.

Z kępy traw natychmiast podniosły się dwa czarne doberman. Jim z ulgą zauważył, że były przykute łańcuchem do jednego z tylnych kół przyczepy.

– Tu mieszka Psi Brat – poinformował ich John Trzy Imiona. – Od tej chwili nie wolno nam wykonywać żadnych nie przemyślanych posunięć.

– Co zrobimy, jeżeli go nie będzie w domu? – zapytał Mark.

– O to się nie martw. On zawsze jest w domu.

– W porządku – powiedział Jim. – Napnijmy cięciwę naszego męstwa.

– Że co? – zmarszczył się Mark.

– To Szekspir, Mark, „Makbet” Wasza lektura. Nie czytałeś tego?

– Czytałem Pamiętam „precz, przeklęta plamo”* Za pierwszym razem myślałem, że chodziło jej o pryszcz czy coś takiego.

Sharon prychnęła z dezaprobatą.

– Foley, dopóki cię nie spotkałam, uważałam się za idiotkę, ale potem z dnia na dzień awansowałam na geniusza.

– Będzie najlepiej, jeżeli pójde przodem – powiedział John Trzy Imiona. – Potem ty, Jim, i Catherine. Nie martw się, Psi Brat nie jest szczególnie uprzedzony do ciebie. Nienawidzi wszystkich białych po równi.

– A co z nami? – zapytała Sharon.

– Posiedźcie w samochodzie, dobrze? Zostawię włączony silnik, żebyście mieli klimatyzację.

– Nie bardzo mi się to podoba – stwierdziła Sharon. Nigdy nie lubiła pozostawać na uboczu wydarzeń.

John Trzy Imiona ruszył przez zakurzoną działkę do przyczepy. Dobermany szarpnęły za łańcuchy. Wydawało się, że zaraz się urwą i rozszarpią ich na kawałki, ale nawet nie warknęły.

Indianin wspiął się po schodkach do drzwi przyczepy. Zamocowana na nich była kołatka w kształcie pyska rozwścieczonego wilka. John Trzy Imiona zastukał nią trzy razy, po czym cofnął się.

Jim osłonił oczy dłonią.

– Dlaczego przyczepa Psiego Brata ustawiona jest inaczej od pozostałych? – zapytał.

– Jej drzwi zwrócone są na wschód, skąd przychodzą demony – odparła Catherine.

– Myślałem, że Indianie starają się tego unikać.

– Psi Brat jest inny, panie Rook. Psi Brat przyjmuje je z otwartymi ramionami – oświadczył

John Trzy Imiona i zastukał ponownie.

Upłynęło parę minut, a potem drzwi otwarły się na oścież. Wewnątrz panowały kompletne ciemności. Jima nagle ogarnął niepokój, poczuł, jak jego serce przyspiesza rytm. Pamiętaj, co zwykli mawiać Indianie, zganił się w duchu. – „Dziś jest dobry dzień na umieranie”.

John Trzy Imiona wszedł do wnętrza przyczepy. Po chwili wrócił i dał znak Jimowi

i Catherine.

– Chyba wszystko w porządku – oświadczył. Catherine nagle złapała Jima za rękę. Jej dłoń była bardzo zimna, a ona sama cała się trzęsła. Spojrzał na nią i zobaczył, że jej twarz jest kredowobiała.

– Posłuchaj, nie musisz tego robić, jeżeli nie chcesz – powiedział. – Nikt nie będzie cię do tego zmuszał, a już na pewno nie ja. Zamierzamy jedynie spróbować przekonać tego Psiego Brata do zwolnienia cię z obietnicy złożonej przez twojego ojca.

– Nie wiem, czy mam na to dosyć siły – jęknęła Catherine – Nie wiem, czy potrafię stanąć z nim twarzą w twarz. Ale chcę się z nim spotkać, choć bardzo się go boję, panie Rook. I boję się samej siebie.

Jim objął ją ramieniem.

– Chcesz, żebyśmy stąd wyjechali, żebyśmy wrócili do Los Angeles? Możemy to zrobić.

Pewnie wtedy cały ten problem pozostanie nie rozwiązany, a twoi bracia nadal będą tkwić w więzieniu, ale powinnaś myśleć przede wszystkim o sobie. W przeciwnym razie cały ten bałagan tylko się powiększy i ucierpią kolejni niewinni ludzie.

Catherine spojrzała na niego.

– Czy pani Randall również ucierpiała?

– Skąd ci to przyszło do głowy? Miała atak astmy, mc więcej

– Nieprawda. Coś się jej stało, prawda? Coś się jej stało?

– Catherine...

– Niech pan nie zaprzecza, bo sama to widziałam! Jestem pewna, że to widziałam!

Widziałam, jak pada na ziemię!

– Idziecie czy nie? – zawołał John Trzy Imiona – On na was czeka.

– Więc co? – zapytał Jim Catherine – Wchodzimy tam?

Oczy Catherine wypełnione były łzami.

– Widziałam jak pada, i jestem pewna, że to moja wina. Widziałam, jak pada i cieszyłam się z tego. Nie wiem czemu.

Była kompletnie zdezorientowana, miała rozbiegane, błędne spojrzenie i szybkie, gwałtowne ruchy. Co gorsza, Jim zauważył gromadzący się wokół niej cień – szare, poszarpane smugi ciemności ciągnące się przez powietrze niczym lepka krew.

– Jim! – zawołał John Trzy Imiona.

– Catherine możesz powiedzieć „nie”, jeżeli tego nie chcesz – powtórzył Jim. – Jedno twoje słowo i już nas tu nie ma.

– Nie mogę – odparła zmienionym głosem, głębokim i szorstkim. – Obietnica to obietnica.

Przysięga to przysięga.

Ruszyła sztywno w stronę przyczepy.

– Catherine!’ – zawołał Jim, lecz dziewczyna wspięła się już po schodkach i zniknęła w mroku.

– Chodź, to jedyny sposób – ponaglił go John Trzy Imiona.

Jim spojrział na chryslera, na czekających w nim Sharon i Marka, a potem wziął głęboki oddech i podszedł do przyczepy.

– Spokojnie, Jim – Indianin położył mu rękę na ramieniu. – Zgodził się z tobą porozmawiać, mimo że jesteś białym.

Jim zajrzał do ciemnego wnętrza. Z przyczepy wysnuwała się dziwna woń. Przypominała zjełczały pot i zapach psiej sierści, palonych liści, długich jesiennych dni i starej skóry.

– Ruszaj – zachęcił go John Trzy Imiona i Jim zrobił krok w głąb pomieszczenia.

Ciemność okazała się grubą czarną płachtą powieszoną w progu i nie przepuszczającą ani promyczka światła. Wewnątrz przyczepa pomalowana była na czarno, tak samo jak na zewnątrz,

wyposażona w obite czarną materią meble i oświetlona jedynie maleńkimi lampkami.

Catherine usadowiła się już na jednej z kanap, z rękami splecionymi na piersi. Po drugiej stronie, w obszernym zabytkowym fotelu o wytartych złoconych poręczach, niegdyś obitym czarnym aksamitem, teraz zredukowanym do płataniny szarych sprężyn, siedział ze skrzyżowanymi nogami szczupły mężczyzna.

Był nagi do pasa, ciało miał smukłe i muskularne, bez grama zbędnego tłuszczu. W obu przekłutych sutkach wisiały różnobarwne paciorki i ptasie skrzydła. Jego długie czarne włosy opadały na ramiona, a oczy były ukryte za małymi okularami o żółtych soczewkach. Miał twardą, kanciastą psią twarz. Ubrany był w obcisłe czarne bryczesy ze skóry.

– Jim, to jest Psi Brat – powiedział John Trzy Imiona – Psi Bracie to Jim Rook

– To ty jesteś tym widzącym? – zapytał Psi Brat. Mówił powoli i ochryple, jakby nieczęsto miał okazję robić użytek ze swego głosu.

– Pewnie można to tak określić – odparł Jim. – A to ty jesteś człowiekiem sprowadzającym klątwy na innych?

– Jim – ostrzegł go John.

– Przecież właśnie po to tu jestem – przerwał mu Jim i zwrócił się do siedzącego przed nimi człowieka. – Przyjechałem, by zapobiec kolejnym morderstwom w wykonaniu twojego potwora–ducha.

Psi Brat uniósł prawą dłoń. Na jej wnętrzu wytatuowane było przypominające niedźwiedzia stworzenie, które zaatakowało Susan w Window Rock.

– Jesteś mądrym człowiekiem, mimo że jesteś białym. Niewielu Navajo wierzy jeszcze w potwory–duchy, nie wspominając o białych.

– Ja w nie wierzę, bo sam widziałem jednego z nich.

– Widziałeś na własne oczy? Zechcesz mi go opisać?

– Przypominał niedźwiedzia, ale był od niego znacznie większy. I miał oczy jak rozpalone węgle.

– Więc naprawdę widziałeś Niedźwiedzią Pannę – stwierdził Psi Brat, odsłaniając w uśmiechu ostre zęby. – Nie spodziewałem się, by kiedykolwiek do tego doszło. Cóż, możesz wrócić teraz do swoich i powiedzieć im, że to był jedynie zły sen. Powiedz im, że wszystko się skończyło i że Niedźwiedzia Panna nie będzie ich już więcej nękać. Chyba że przyjdzie jej na to ochota. Z nią nigdy nic nie wiadomo. Jest zawsze taka spontaniczna.

Roześmiał się suchym śmiechem, przypominającym odgłos łamania gałęzi. Catherine siedziała zgarbiona na kanapie, ręce trzymała teraz na kolanach, zwrócone wnętrzem dłoni do góry. Obok niej siedział John Trzy Imiona, wyraźnie spięty. Nerwowo stukał palcami w kolana i przesuwał stopy. Gdyby z jego mózgu wysuwała się taśma telegrafu, z pewnością byłoby na niej rozpaczliwe wezwanie: „Zabierajmy się, Jim. Na rany Chrystusa, dajmy sobie spokój z całą tą sprawą i wynośmy się stąd w jasną cholerę”.

Jim pochylił się do przodu i spojrzał wprost w szkła okularów Psiego Brata.

– Przejdźmy do konkretów, dobra? Henry Czarny Orzeł upoważnił mnie do przedstawienia panu oferty złożonej z akcji, obligacji i gotówki. Musi pan jedynie wymienić cenę.

Psi Brat przez długą chwilę patrzył na niego w milczeniu, a potem zapytał:

– Cenę? O czym pan mówi, jaką cenę?

Jim wyciągnął z kieszeni swój notes, w którym miał zapisane akcje, obligacje i inwestycje ubezpieczeniowe Henry’ego. Zanotował też sobie, że w ostateczności Henry jest skłonny zaoferować Psiemu Bratu procentowy udział w następnym kontrakcie z Foxem oraz udział we wszystkich poprzednich „na zawsze i po wsze wieki”, jak to formułuje się w hollywoodzkich kontraktach.

– Henry jest w stanie zgromadzić dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wystarczy jedno

słowo, a cała ta suma będzie pańska. Koniec życia w przyczepie. Zbuduje pan sobie za to własny dom z basenem.

– Czy to coś w rodzaju posagu? – zapytał Psi Brat.

– Nie. Chyba mnie pan nie rozumie. Henry oferuje panu dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy za zaprzestanie ścigania Catherine.

– Nie będę jej ścigał, ma pan moje słowo. Bo i po co? Będzie tutaj, u mojego boku.

Jim zdjął swoje okulary do czytania i schował je do kieszeni koszuli.

– Panie Psi Brat, najwyraźniej się nie rozumiemy. Henry Czarny Orzeł oferuje panu pieniądze za uwolnienie Catherine za unieważnienie umowy małżeńskiej. To nie posag, lecz forma rekompensaty.

Psi Brat odwrócił się do Johna Trzy Imiona i warknął:

– Powiedziałaś, że ten biały przywozi mi Catherine Biały Ptak.

– Bo tak właśnie jest.

– Chwileczkę – odezwał się Jim. – Nie zamierza pan chyba zatrzymać i dziewczyny, i pieniędzy? Albo zatrzymuje pan Catherine, albo pieniądze. Ale nie jedno i drugie.

– Nie – powiedział Psi Brat.

– „Nie” co? Nie rozumie pan, że wszystkiego nie może pan zatrzymać? Czy nie, bo nie chce pan pieniędzy, lecz dziewczynę? Czy też...

– Dostyc! – wybuchnął Psi Brat. – Dobrze się pan spisał przywożąc mi tę kobietę, ale teraz może pan odejść. – Podniósł się z fotela i chwycił Catherine za nadgarstek. – Widzi pan tę bliznę? – zapytał. – Tu nasza krew zmieszała się ze sobą, kiedy miała piętnaście lat. Od tamtego dnia należy do mnie. Pieniądze tego nie zmienią.

– Panie Psi Brat, wiem, że w pańskim odczuciu Catherine należy do pana, ale w świetle prawa te zaręczyny nie są warte funta kłaków – oświadczył Jim.

– Nie szarżuj – ostrzegł go John Trzy Imiona.

– Co to znaczy „nie szarżuj”? – zapytał Jim – Ty też maczałeś w tym palce?

– Dalszy opór nie miał sensu, Jim. Kiedy zginął twój uczeń, a o jego zabójstwo oskarżono Paula i Szarą Chmurę, Henry zrozumiał, że nie ma innego wyjścia.

– Więc wcale nie przysłał mnie tutaj, bym uwolnił Catherine? Miałem jedynie dostarczyć ją temu upierzonemu dzikusowi?

– Jim! Oni nie chcieli, żeby jeszcze ktoś zginął!

– To dlaczego nie przyjechali tutaj i nie wydali go gliniarzom?

– A kto by im uwierzył? Nawet gliniarze Navajo by ich wyśmiali.

Psi Brat nadal trzymał Catherine za rękę, uśmiechając się szeroko. Sądząc z wyglądu jego zębów, przegryzienie mahoniowego blatu grubości trzech cali nie sprawiłoby mu większego kłopotu.

– John Trzy Imiona ma rację. Nikt nie uwierzy, że widziałeś Niedźwiedzią Pannę. Ci sami ludzie, do których zwrócisz się o pomoc, zamkną cię i dla pewności wyrzucą klucz przez okno.

– Nie chcesz pieniędzy? – zapytał Jim.

– Przyjmę je z radością, jeżeli Henry Czarny Orzeł pragnie mi je podarować.

– Ale nie uwolnisz Catherine?.

– Oczywiście, że nie. Zostanie moją żoną i urodzi mi dzieci. Będzie mnie karmić, kąpać i wielbić. Będzie wylizywać pot spomiędzy palców moich stóp.

Catherine spoglądała na niego w napięciu. Wokół niej kłębiła się ciemność. John Trzy Imiona najwyraźniej tego nie widział, lecz zachowanie Psiego Brata w stosunku do dziewczyny nasunęło Jimowi podejrzenie, że być może on to widzi, a przynajmniej wyczuwa.

– Nie chcę za ciebie wychodzić! – krzyknęła nagle Catherine. – Nigdy za ciebie nie wyjdę!

– Wyjdiesz, wyjdiesz, pokochasz mnie tak bardzo, że będziesz płakać za każdym razem,

kiedy mnie przy tobie nie będzie.

– Nigdy! Nienawidzę cię! – krzyknęła znowu. Ciemność zaczęła podrygiwać i tańczyć, zagęszczając się wokół jej ramion w utworzone z cienia, przygarbione sploty.

– Psi Bracie, uwolnij ją – nie ustępował Jim.

– Ty biały gnojku! – prychnął Psi Brat. – Ostrzegano cię, prawda? Dzisiejszy dzień jest twoim ostatnim!

– Jak na jeden tydzień słyszałem to aż za często – stwierdził Jim. Wzbierała w nim złość, zmęczenie i frustracja. – Musisz uwolnić ją od przysięgi, a wtedy będziemy mogli zacząć negocjacje.

– Myślisz, że przysłano cię na negocjacje? – zapytał Psi Brat kpiąco. – Zostałeś wysłany tu wyłącznie z dwóch powodów by przywieźć do mnie Catherine Biały Ptak oraz by sprawdzić, czy Niedźwiedzia Panna odesłana została w zaświaty, ponieważ jedynie ty potrafisz to zobaczyć. Henry Czarny Orzeł postawił tylko ten jeden warunek. Nie mogłem mu odmówić.

– John, czy to prawda? – zapytał Jim.

John Trzy Imiona skinął głową.

– Wierz mi, nie zachwyciło mnie wprowadzanie cię w błąd, ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Psi Brat i Catherine powinni wymienić przysięgi małżeńskie, a kiedy to zrobią, ty masz być świadkiem odejścia Niedźwiedziej Panny z powrotem do świata duchów.

– Czyli okłamywałeś mnie od samego początku, tak?

– To niezupełnie były kłamstwa, panie Rook – uśmiechnął się Psi Brat. – Ich celem było ściągnięcie pana do Arizony i sprawienie, by Catherine również tu przyjechała. Widział pan tę bestię. Widział pan, do czego jest zdolna. Nawet ja nie zawsze jestem w stanie ją kontrolować.

– O tak, widziałem ją, piękne dzięki, i widziałem, co potrafi. Zamordowała obiecującego młodego człowieka, zrujnowała moje mieszkanie i zabiła mojego kota. Obróciła szatnię w West

Grove w ruinę, a wczoraj znowu zabiła... zabiła kobietę, na której mi bardzo zależało.

– Więc powinieneś chcieć zobaczyć, jak na zawsze opuszcza nasz świat – oświadczył John Trzy Imiona.

– Żarty sobie ze mnie stroisz?

– Nic podobnego. Pozwólmy Psiemu Bratu poślubić Catherine i skończmy z tym raz na zawsze.

– A co z Paulem i Szarą Chmurą?

– Możesz wrócić do Los Angeles i zeznać pod przysięgą, co widziałeś.

– Pewnie. Przysięgli z miejsca mi uwierzą.

– Możesz poddać się testowi na wykrywaczu kłamstw.

– Jego wyniki nie stanowią dopuszczalnego materiału dowodowego. Sam o tym wiesz.

– A jeśli ktoś inny zostanie zamordowany w ten sam sposób, setki mil od Los Angeles, gdy Paul i Szara Chmura będą przebywać w areszcie?

Jim zmierzył go ponurym wzrokiem.

– Mówisz o Susan?

– Nie, bo nie ma ciała. Ale sam rozumiesz, stanowiła niezbędną ofiarę dla Coyote. Nie wchodzi się na terytorium władcy, nie składając mu należytego hołdu.

– Susan była ofiarą dla Coyote?

– Dlatego rozpałiłem to ognisko – John Trzy Imiona wzruszył ramionami. – Przypuszczałem, że wyjdzie z motelu, by szukać Catherine, ale nie spodziewałem się ciebie. Niemniej jednak okazałeś się bardzo pomocny. Tylko szkoda koca.

– Więc to ty wezwałeś potwora, by Susan mogła zostać zamordowana i spalona?

– Coyote zawsze lubił zapach ludzkiego ciała, palonego ku jego czci – wtrącił Psi Brat. – To nastraja go bardziej przyjaźnie do ludzkiej rasy. Za dawnych czasów palono dziewice i bizona,

i to żywcem.

– Chwileczkę – przerwał mu Jim. – Skoro mówiąc o kolejnej ofierze zamordowanej dokładnie w ten sam sposób nie macie na myśli Susan, to o kogo wam chodzi?

– Przywiozłeś przecież ze sobą paru przyjaciół, tak jak zasugerował ci Henry Czarny Orzeł – zauważył Psi Brat.

– Nawet nie myślcie o tym! – krzyknął Jim. – Psi Bracie, mówiłeś o obietnicach? Ja złożyłem trzy, kiedy zgodziłem się na wyjazd do Arizony. Obiecałem Henry’emu Czarnemu Orłowi, że spróbuję uzyskać drogą negocjacji zwolnienie Catherine z umowy małżeńskiej. Obiecałem moim uczniom, że się nimi zaopiekuję. I obiecałem sobie samemu, że nie stracę tu życia. Przynajmniej nie dzisiaj.

– Trudno ci będzie ich dotrzymać – oświadczył Psi Brat, podchodząc do niego tak blisko, że Jim mógł bez trudu policzyć czarne pory na jego nosie. – Zabieram Catherine i zamierzam dostarczyć Henry’emu Czarnemu Orłowi dowody niezbędne do zwolnienia jego synów z aresztu. Jeśli temu przeszkodzisz, daję słowo, że będę cię ścigać przez resztę twego życia i zniszczę wszystko, co przedstawia dla ciebie jakąkolwiek wartość... zabiję wszystkich, których kochasz. Na tym polega prawdziwa śmierć, mój przyjacielu. To właśnie uczynili z nami biali ludzie. Spalili nasze domy i nasze pola, wybili nasze bydło. Nasze kobiety i dzieci głodowały, ale co to was obchodziło? Pluliście na nasze groby. Więc dzisiaj umrzesz – powtórzył Psi Brat. – I jutro także. Będziesz umierać każdego dnia, przez resztę twego życia.

Jim patrzył na niego, myśląc: Chryste, co mam robić? Zerknął w bok na Johna Trzy Imiona, ale Indianin odwrócił głowę. Potem skierował wzrok na Catherine. Na jej twarzy malowało się oszołomienie i strach.

– Zgoda – odezwał się wreszcie. – Skoro pragniesz Catherine, możesz ją sobie zatrzymać.

Czego jeszcze ode mnie oczekujecie?

– Tak już lepiej – na twarz Psiego Brata powoli wypłynął nieprzyjemny uśmiech. – Lubię realistów. Którego z twoich uczniów nam oddasz? A może weźmiemy oboje?

Bezwzględność Psiego Brata zmroziła Jima. Jak mógłbym poświęcić któregokolwiek z nich?

– pomyślał z rozpaczą. Sharon, która zamierzała działać w opiece społecznej i walczyć o prawa czarnych, czy Marka, któremu poczucie humoru i poetycka wrażliwość być może pozwoli na lepszy start?

– Może powinienem powiedzieć im, żeby rzucili monetą? – zasugerował podstępnie – Nie muszą wiedzieć, w jakim celu.

Psiemu Bratu wyraźnie spodobał się ten pomysł

– Od razu kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że jesteś inteligentnym człowiekiem. Henry Czarny Orzeł dokonał mądrego wyboru.

– Catherine? – powiedział Jim. Starał się zwrócić na siebie jej uwagę, wyrwać ją spod władzy mrocznego kształtu, który się wokół niej formował. – Catherine, wybac mi. Widzisz chyba, w jakim jestem położeniu.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła Catherine. – Co chce mi pan powiedzieć?

– To, że musisz wyjść za Psiego Brata. Nie mam wyboru. Podeszedł do niej i ujął ją za rękę już teraz wyczuwał ukłucia szorstkich, niewidzialnych włosów. Pochylił się udając, że całuje ją w policzek.

– Chwyć cię mocno za rękę – wyszeptał. – A kiedy to zrobię, uciekaj, rozumiesz?

Wyprostował się. Z jej twarzy nie wyczytał niczego, co sygnalizowałoby, że zrozumiała – wciąż widniało na niej jedynie oszołomienie i strach.

– W porządku – zwrócił się do Psiego Brata. – Chyba wyjdę teraz i poproszę moich uczniów, by zdecydowali, które z nich będzie żyło, a które uda się do Krainy Wiecznych Łowów.

– Ja też będę się już zbierał – odezwał się John Trzy Imiona. – Widziałem dosyć krwi jak na

jeden tydzień.

Kiedy Psi Brat cofnął się, by zrobić przejście, Jim pchnął go nagle w pierś. Indianin stracił równowagę i wpadł na fotel. John Trzy Imiona obrócił się, lecz Jim odrzucił go na bok uderzeniem barku, a potem złapał Catherine za rękę i krzyknął:

– Teraz!

W tej samej chwili Psi Brat wydał z siebie wysoki pisk.

Ręka Catherine jakby eksplodowała w dłoni Jima, w jednej sekundzie zamieniając się w gigantyczną szczeciniastą łapę. Wrzasnął i wyszarpnął dłoń. Przy nim nie stała już drobna, długowłosa dziewczyna, lecz ogromny niedźwiedziowaty cień, sięgający głową sufitu przyczepy. Miał drobne ślepia, płonące czerwienią niczym szczeliny w drzwiczkach pieca, i wielkie zakrzywione pazury.

Jim rzucił się na podłogę, osłaniając twarz ramieniem. W tej samej chwili jeden z pazurów minął o włos jego głowę, rozcinając mu skórę na grzbiecie dłoni. Łapa bestii uderzyła z głośnym hukiem w bok przyczepy, rozłupując na pół plastikową szafkę i przebijając aluminiową ścianę. Wśród ciemności zamigotało nagle dzieńne światło.

– Catherine! – ryknął Jim.

Ale bestia rzuciła się ponownie do przodu, aż zatrzęsała się cała przyczepa. Raz za razem starała się dosięgnąć Jima, lecz on przetoczył się po podłodze i ukrył za jedną z kanap. Psi Brat stał nieruchomo, wydając z siebie piskliwy, monotony zaśpiew.

– *Aheeuoo–ahane–aheeiioo–saabate.*

Bestia młóciła na oślep, rozpruwając pazurami tapicerkę, metal i plastik. Potworny łoskot rozrywał bębunki w uszach. Pianka wypełniająca kanapę była podarta, wykładzina rozpruta, wokół przyskała tłuczone szkło, kawałki potrzaskanych mebli pokrywały całą podłogę.

W powietrzu fruwały strzępy tapicerki, a każdy cios Niedźwiedziej Panny dalej dziurawił ściany

przyczepy i do wnętrza ze wszystkich stron wpadały przecinające się strumyki światła dziennego.

Przyczepa powoli zaczynała się rozpadać. Jej ściany były powyginane i podziurawione, miejscami zdarte zostały całe płyty blachy. Nagle cała konstrukcja przekrzywiła się i zapadła. Psi Brat runął na podłogę, uderzając głową o stół pod telewizor. John Trzy Imiona przez cały czas usiłował przedostać się do drzwi i teraz kurczowo chwycił się zasłony by nie wpaść z powrotem do wnętrza. Jim – wciąż za kanapą – zsunął się z podgiętymi nogami w ciasny kąt. Gdy łapa Niedźwiedziej Panny przebiła się z potwornym impetem przez chroniące go poduszki, udało mu się odepchnąć od ściany i wydostać z potrzasku.

Wiedział, że musi spróbować wydostać się z przyczepy. Być może zginie, ale nawet i to było lepsze od oczekiwania na chwilę, gdy potwór oderwie mu głowę, tak jak to stało się z Susan. Nabrał powietrza w płuca, policzył do trzech i wysunął się zza kanapy, przetoczył po podłodze i złapał za pierwszą rzecz, jaka wpadła mu w rękę – jak się okazało, była to kostka Johna Trzy Imiona.

– Puść mnie! – krzyknął spanikowany Indianin. Próbował uwolnić się kopniakiem, ale mu się nie udało. Jim podciągnął się do przodu i znalazł się twarzą w twarz z Johnem Trzy Imiona.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? – wrzasnął. – Zabiłeś dwoje niewinnych ludzi tylko dlatego, że za bardzo bałeś się postawie jakiegoś podstępnyemu, przeterminowanemu demonowi! Naprawdę myślałeś, że pozwolę wam jeszcze kogoś zabić?

John Trzy Imiona rozpaczliwie starał się uwolnić.

– Co wy, biali ludzie, wiecie? Cały ten kraj należy do Navajo i zawsze tak będzie! Czekamy tylko na odpowiednią porę, nic więcej! Opiekujemy się naszymi duchami, uwalniamy je z kryjówek, przywracamy do życia dawne obrzędy i czekamy na właściwy moment! Coś panu powiem, panie Rook już niedługo wszystkie miasta białych ludzi stąd aż do Los Angeles zamieszkane będą wyłącznie przez trupy.

Nagle podłoga pod nimi zadrżała. Jim zerknął w górę. Niedźwiedzia Panna pochylała się nad nimi złowieszczo, zimna i mroczna. Jej futro zjeżyło się, ślepia płonęły czerwienią, a z gardzieli wydobył się dźwięk przypominający charkot duszonego człowieka. Wymierzyła Jimowi cios rozdzierając mu koszulę i rozpruwając ramię. Jim poczuł na plecach wilgotny strumyk krwi. John Trzy Imiona szarpnął się, kopnął go i spróbował unieść z podłogi, tak by następny cios bestii trafił go w głowę. Jim rzucił się w tył i przetoczył. Indianin znalazł się na górze i złapał go za nadgarstki, zamierzając wykonać podobny manewr. Jim czuł jego pot i pachnący starą kawą oddech.

– Mieliśmy o wszystkim zapomnieć? – wykrzyczał John Trzy Imiona. – Mieliśmy zapomnieć o tym, co z nami zrobiliście? O kobietach i dzieciach, które umarły w Fort Defiance? – Był tak wściekły, że zupełnie zapomniał o potworze–duchu demolującym przyczepę.

Ponad jego ramieniem Jim ujrzał uniesioną w górę łapę – włochatą, czarną łapę uzbrojoną w potężne pazury. Chociaż Indianin wciąż mocował się z nim wrzeszcząc nieustannie, próbował odepchnąć go w bok, zepchnąć z linii ciosu. Nie udało mu się to jednak – po chwili rozległ się ostry, zgrzytliwy dźwięk i nagle Jima zalała ciepła krew. John Trzy Imiona zsunął się z niego, trzymając się za bok głowy.

– Moje ucho! Oderwała mi ucho!

Przyczepa jakby eksplodowała. Niedźwiedzia Panna zerwała dach i połupała ściany.

Wszędzie walały się kawałki aluminium, kłębiły się chmury pianki, piór i strzępów pościeli. Psi Brat, nadal nieprzytomny, przysypany był ryżem, mąką i suchym *fettucini*.

John Trzy Imiona usiłował się podnieść na nogi, sięgnął dłonią ściany, której już tam nie było, i stracił równowagę. W tej samej chwili bestia złapała go w obie łapy i uniosła wysoko nad głowę. John Trzy Imiona wrzasnął, wierzgając nogami w powietrzu, kiedy pazury potwora zagłębiły się w jego klatkę piersiową, w płuca i wątrobę.

– Nie! – wycharczał – Nie! Służyłem ci! Uratowałem cię!

Niedźwiedzia Panna rozłożyła szeroko łapy, rozdzierając go od szyi do krocza, a potem potrząsnęła gwałtownie, tak że wszystkie wnętrzności wypłynęły na podłogę, tworząc oślizgły, wilgotny stos. Potwór odrzucił wybebeszone, bezwładne ciało i odwrócił się do Jima, ale nie było go już w przyczepie.

Gdy tylko bestia pochwyciła Johna Trzy Imiona, Jim rzucił się do drzwi, zeskoczył na ziemię i popędził do chryslera, w którym czekali Sharon i Mark.

Jego buty zgrzytały w kurzu, a jemu wydawało się, że ktoś biegnie dwa kroki za nim. Sharon wysiadła z samochodu, wpatrując się z przerażeniem na rozpadającą się we wściekłych konwulsjach przyczepę. Mark siedział na tylnym siedzeniu, zawzięcie uderzając w klawisze telefonu komórkowego Johna Trzy Imiona.

– Sharon! Wsiadaj z powrotem do samochodu! – krzyknął Jim, biegnąc w jej stronę.

– A co z Catherine?

– Wsiadaj do środka!

Obejrzał się przez ramię, potwór–duch gnał już ku niemu wielkimi susami niedźwiedzia grizzly. Był olbrzymi, trzykrotnie większy niż normalny niedźwiedź, jego pazury zgrzytały o ziemię.

– Sharon, na miłość boską! Wsiadaj do samochodu! – wrzasnął Jim.

Dopadł chryslera i wepchnął Sharon z powrotem na jej fotel, wskoczył za kierownicę, zatrzasnął drzwi i odpalił silnik.

– A Catherine? – zapytała Sharon. – Co z Catherine!?

Jim wycofał chryslera i odwrócił go przodem w stronę osiedla przyczep.

– Catherine nie jest sobą – wyjaśnił. – Przynajmniej nie w tej chwili.

– Ale przecież tam jest! – oświadczyła Sharon, łapiąc go za ramię – Proszę spojrzeć, panie

Rook, jest tam!

Jim wdusił gaz do dechy i chrysler wystrzelił z miejsca w kłębach kurzu. Potem zerknął w lusterko i ujrzał Catherine biegnącą za nim z rozwianymi włosami. Ale kiedy spoglądał za siebie przez ramię, widział jedynie masywny, mroczny cień ścigającej ich Niedźwiedziej Panny – Panie Rook, niech się pan zatrzyma! – błagała Sharon – Musimy ją zabrać!

Jim zahamował gwałtownie.

– Sharon, to nie jest Catherine. To coś innego. Dla ciebie wygląda jak Catherine, ale ja widzę coś zupełnie innego.

– Wezwałem gliniarzy – oznajmił Mark, wymachując telefonem. – Powiedzieli, że postarają się tu być za pół godziny.

Catherine wciąż biegła za nimi. Jim widział w lusterku grymas zastygły na jej twarzy i szkliste oczy. Biegła jak ktoś, komu zależało na doścignięciu ich za wszelką cenę, nawet za cenę życia.

– Trzymajcie się – powiedział, ruszając z miejsca z piskiem opon. Koła chryslera ugrzęzły na moment w ziemi, a potem pomknęli przed siebie. W tej samej chwili poczuli potężny wstrząs i tylna szyba samochodu rozprysnęła się w drobny mak. Rozległo się ohydne drapanie, po nim jękliwy zgrzyt i Jim poczuł, że kierownica chryslera szarpie się w jego rękach niczym żywa.

– Co się dzieje? – zapytała przerażona Sharon.

Jim obejrzał się i ujrzał biegnącą za nimi Niedźwiedzią Pannę. W pewnej chwili rzuciła się na samochód, odrywając fragment tylnych drzwi, który z łoskotem potoczył się przez pyliste pole. Potem rozbiła światła stopu i oderwała następny kawałek karoserii. Jechali siejąc za sobą odłamki czerwonego plastiku.

– To Catherine – stwierdził Mark. – Co ona do cholery wyprawia? Rozwała ten cholerny wóz na kawałki!

– Tak jak powiedziałem, Mark, to nie jest Catherine, nie w tej chwili – odparł Jim. – To

bestia, ta sama, która zabiła Martina Amato i zdemolowała naszą szatnię.

– Co pan opowiada?? – wykrztusiła z niedowierzaniem Sharon – Twierdzi pan, że to

Catherine zabiła Martina i zniszczyła szatnię??

Obejrzał się i zobaczył, że bestia znowu jest tuż za nimi. Z impetem uderzyła w tylny

zderzak, zmuszając Jima do wykonania dzikiego zygzaku. Pędzili teraz główną alejką między

przyczepami, wszędzie pałętały się dzieci i psy, ale Jim nie odważył się zwolnić, wiedział, że

jeśli to zrobi, potwór wdrze się do środka przez rozbitą tylną szybę i rozedrze ich na strzępy.

– Panie Rook! – wrzasnęła nagle Sharon.

Przed nimi przez alejkę przechodziła stara Indianka wspierająca się na balkoniku.

Towarzyszyła jej mała dziewczynka, może sześciolatka. Uśmiechała się do niej, opowiadała coś

z przejęciem i podsuwała jej polne kwiaty.

Osiągnęli już siedemdziesiątkę na godzinę, jechali za szybko, by zahamować na czas. Jim

zdążył jedynie krzyknąć „trzymajcie się!”, skręcił z głównej alejki, roztrzaskał czyjś płot, skosił

ogródek obsadzony fasolą, melonami i dymami, wpadł na beczkę z deszczówką, rozpruł kolejne

ogrodzenie, cudem ominął tył kolejnej przyczepy, przejeżdżając przez linkę ze świeżo

rozwieszonym praniem, i wyskoczył z powrotem na główną drogę.

Wyjechał z osiedla, niemal na dwóch kołach skręcił w prawo i nie zwalniając ani na moment

poprowadził samochód z powrotem do Window Rock.

Raz jeszcze spojrzął w lusterko. Catherine już za nimi nie biegła, stała przed wjazdem do

osiedla odprowadzając ich wzrokiem. Obrócił głowę i ujrzał to samo – potwór zniknął. Poczł

nagłą chęć zawrócenia po dziewczynę, chęć tak silną, że oparł jej się z najwyższym trudem.

Chryste, był jej nauczycielem, poczuwał się do odpowiedzialności za nią. Nie potrafił sobie

nawet wyobrazić, przez co teraz przechodziła, jakie dręczyły ją lęki. Ale jedno wiedział na

pewno dopóki nie zostanie uwolniona spod wpływu Psiego Brata, będzie stanowić dla nich śmiertelne zagrożenie.

– Tak po prostu ją tam pan zostawi? – zapytał Mark.

– Nic innego mi nie pozostaje. Mężczyzna, za którego ma wyjść, rzucił na mą czar. Kiedy biegła za nami, wy widzieliście Catherine, ale ja widziałem wielką czarną bestię.

Mark odwrócił się i spojrzał na drogę za ich plecami. Ujrzał, jak Catherine rusza w stronę przyczep.

– Bestię? Trudno w to uwierzyć – mruknął z powątpiewaniem.

– Przyjrzyj się uszkodzeniom w naszej furgonetce. Gdyby nie była opętana tym czymś, cokolwiek to jest, nie byłaby w stanie nawet wgnieść karoserii.

– Daj spokój, Mark – włączyła się Sharon. – Dobrze wiesz, że pan Rook potrafi dostrzegać duchy upiory i inne takie.

– Wiem. Ale potwór, i to w środku dnia? Szkoda, że ja go nie widziałem!

– Posłuchajcie – przerwał mu Jim, a potem opowiedział im legendę o Niedźwiedziej Pannie, którą usłyszał od Johna Trzy Imiona. Przemilczał natomiast, że Indianin nie żyje oraz że Susan również została zabita i spalona w ofierze.

Dotarli do Window Rock i zatrzymali się przed Navajo Nation Inn.

– Co teraz robimy? – zapytała Sharon.

– Spakujemy się i wyniesiemy stąd, gdzie pieprz rośnie.

– A co powie stary Catherine, kiedy wróci pan bez niej? – zapytał Mark.

– Sam nie mogę doczekać się tej chwili.

– Zaraz, zaraz. To znaczy, że on wcale nie oczekiwał jej powrotu?

– Nie sądzę, by się spodziewał, że którykolwiek z uczestników tej wycieczki wróci.

Z wyjątkiem mnie, żebym mógł potwierdzić, że potwór odszedł na dobre. I wątpię, bym długo

potem pożył.

– Nie kumam. Mieliśmy wszyscy zginąć?

Jim skinął głową.

– Prawdopodobnie tak. Henry Czarny Orzeł zabrał rodzinę do Kalifornii, by wymigać się od obietnicy danej Psiemu Bratu. Nie docenił jednak siły jego magii ani jej zasięgu. Po śmierci Martina i aresztowaniu Paula oraz Szarej Chmury zrozumiał, że musi dotrzymać słowa, ale chciał, by Niedźwiedzia Panna któreś z nas zabiła, co miałoby stanowić dowód na to, że jego synowie nie mogli zamordować Martina. Zresztą rzeczywiście tego nie zrobili. Tamtej nocy poszli na plażę szukać siostry, by nie zdążyła nikogo skrzywdzić.

– Czuję się okropnie, zostawiając tu w ten sposób Catherine – oświadczyła Sharon. – Nieważne, w co się teraz zmieniała, zawsze była taką wspaniałą koleżanką.

– W tej chwili niczego więcej nie możemy dla niej zrobić. Jeżeli się do niej zbliżymy, pourywa nam głowy. Zaczynam podejrzewać, że Psi Brat nie ma najmniejszego zamiaru odsyłać Niedźwiedziej Panny z powrotem do otchłani czy gdziekolwiek. Wydaje mi się, że obecna sytuacja bardzo mu odpowiada.

Jim wynajął pontiaka kombi, którym przejechali z Window Rock do Gallup, gdzie zatrzymali się na cheeseburgery, a potem ruszyli do Albuquerque. Dojechali w samą porę, by złapać bezpośredni samolot American Airlines do Los Angeles i wkrótce wystartowali wprost w słońce. Sharon i Mark przespali większą część lotu. Jim również był bardzo zmęczony, ale nie otrząsnął się jeszcze do końca z przebytego szoku i nie chciał zamykać oczu w obawie przed tym, co mógłby ujrzeć.

Wyciągnął z kieszeni srebrny gwizdek otrzymany od Henry'ego Czarne Orła. Nie miał szczególnej ochoty w niego dmuchać, jednak zastanawiało go jego właściwe przeznaczenie.

Catherine ostrzegła go, że jego użycie zwróci na nich uwagę Coyote i zdradzi ich położenie, lecz

Jim nie widział w tym większego sensu. Wyrwał przecież Catherine z jej transu kiedy opadali na las Obola, choć Jim nie pojmował, jakim sposobem. Miał przygotowaną całą listę pytań dla Henry'ego Czarnego Orła i zamierzał mu je zadać zaraz po powrocie do Los Angeles. Kiedy odwiózł Marka i Sharon do domu, na dworze było już ciemno.

– Posłuchajcie, lepiej nie opowiadajcie rodzicom o tym, co się wydarzyło w Fort Defiance – powiedział. – Będą chcieli powiadomić policję, a z tym przypadkiem policja na pewno nie da sobie rady. Jeżeli wytropi Catherine, a ona wpadnie w szal, tak jak w rezerwacie Navajo cóż, resztę sami możecie sobie wyobrazić.

– W porządku. Do zobaczenia jutro w klasie, panie Rook – odparła Sharon i nieoczekiwanie pocałowała go w policzek. – Dziękujemy za wyciągnięcie nas z kłopotów.

– Przede wszystkim nie powinienem był was w nie pakować.

– Hej, co jest warte życie bez paru nerwowych chwil! – zapytał Mark – W życiu się tak nie bawiłem. To znacznie lepsze od siedzenia na tyłku przed telewizorem.

– Nie myślałeś tak, kiedy spadaliśmy na te drzewa – zauważyła Sharon.

– Przynajmniej się nie sfajdałem.

– Gdybyś to zrobił, pierwsza bym wysiadła z tego samolotu, że spadochronem czy bez.

– Słuchajcie – przerwał im Jim – jutro nie musicie pokazywać się w szkole. Chyba przydałoby się wam trochę odpoczynku.

– Niech pan spróbuje nas powstrzymać, panie Rook Niech pan spróbuje nas powstrzymać.

Rozdział VIII

Jim pojechał do domu George'a Babounsa. George siedział na ganku szarpiąc struny bouzouki.

– Już wróciłeś? – zawołał. – Co powiesz na szklanek retsiny? Musisz posłuchać piosenki, którą właśnie skomponowałem. Zatytułowałem ją: „Gdy tańczyliśmy w Aspropirgos”.

– Tytuł wpada w ucho – stwierdził Jim. – Mogę zostać u ciebie na noc? Dozorca powinien już uporządkować moje mieszkanie, ale nie jestem pewien, czy potrafię tam wrócić, nie dzisiaj.

– Oczywiście, że możesz Jesteś głodny? Zrobiłem wczoraj faszerowaną paprykę, potrzeba jej jedynie paru minut w mikrofalówce.

– Wystarczy mi na razie coś do picia – odparł Jim.

George wprowadził go do środka. Trzeba przyznać, że od ostatniej wizyty Jima trochę posprzątał. Złote rybki nadal pływały w ciemnoturkusowym mroku, za kanapę wciśnięte były stare skarpetki, lecz wyrzucił większą część makulatury i puste puszki po piwie, a na stole pojawiła się nawet misa z pomarańczami.

– Czyżbyś się zakochał? – zdziwił się Jim

– No niezupełnie – mruknął zmieszany George – Ale mam przyjaciółkę i jak na razie jest nam ze sobą całkiem dobrze. Chyba ją nawet znasz, a przynajmniej powinieneś ją znać. Mieszka w twoim domu.

– Kto to? – zapytał Jim podejrzliwym głosem, stawiając torbę na podłogę.

– Zostawiłeś mój numer swojemu dozorczy, na wypadek gdyby miał jakieś pytania, no nie? Więc kiedy zadzwonił i powiedział, że nie może znaleźć dokładnie takich samych drzwi do szafek kuchennych i czy te drugie byłyby w porządku, zajrzałem tam. Były w porządku, to znaczy te drzwi. Zupełnie jak dawne, tyle że lepszej jakości. I przy okazji poznałem twoją sąsiadkę z dołu, tę kobietę.

– Masz na myśli pannę Neagle?

– Właśnie, Valerię. I coś ci powiem, Jim, żadna para nie rozumie się lepiej od nas. Ta spontaniczność! To takie wspaniałe! I do tego szaleje za grecką muzyką kawiarnianą!

– Cóż, George, nie bardzo wiem, co powiedzieć. Ale bardzo się cieszę z waszego szczęścia.

– Wybieram się do niej dziś wieczorem. Może byś pojechał ze mną? Mógłbyś obejrzeć swoje

mieszkanie.

– Sam nie wiem. Nie chcę wam przeszkadzać.

George otworzył lodówkę i wyjął z niej dwie puszki pabsta.

– Nie będziesz. A jak było na czerwonej ziemi? Udało ci się wszystko uporządkować?

– Prawdę mówiąc, nie. Kompletne fiasko

– Jak to możliwe? Myślałem, że cieszysz się na ten wyjazd. Jim Rook w roli indiańskiego doradcy małżeńskiego. Fajki pokoju, tańce wokół plemiennych totemów i te sprawy.

– Henry Czarny Orzeł okłamywał mnie od samego początku. Wcale nie chodziło mu o zerwanie zaręczyn Catherine. Chciał jedynie, żebym odegrał rolę przyzwoitki, upewnił się, że bezpiecznie dojedzie na miejsce i wyjdzie za tamtego faceta. Zawarł pakt z diabłem, George, a potem przekonał się, że nie może się z niego wycofać.

– Co masz na myśli?

– Właśnie diabła Demona, złego ducha, nazwij go jak chcesz. Człowiek, za którego ma wyjść Catherine, potrafi przywołać najgorszego z nich, zwanego Coyote. To Psi Brat. Potrafi zamieniać ludzi w potwory.

– Potrafi zamieniać ludzi w potwory? – powtórzył George, unosząc czarną krzaczastą brew.

– Wiem, że nie brzmi to szczególnie wiarygodnie, ale we wszystkich kręgach kulturowych znane są opowieści o demonach zamieniających ludzi w zwierzęta. W Irlandii znany był ponoć zazdrosny duch, który zamieniał ludzi w psy. W Afryce żyje demon, który przeobraża kobiety w małpy. Nie wiem, czy któryś z tych mitów znajduje potwierdzenie w faktach, ale tu, w Ameryce, mamy ducha potrafiącego zamienić młodą dziewczynę taką jak Catherine w wielką czarną istotę podobną do niedźwiedzia. To właśnie ona zdemolowała nasze szatnie. To ona obróciła w perzynę moje mieszkanie i zamordowała Martina Amato. Co gorsza, zabiła jeszcze dwoje ludzi.

– Zaczynam się trochę gubić – mruknął George. – Kogo?

– Johna Trzy Imiona, indiańskiego przewodnika, który zawiózł nas do przyszłego małżonka Catherine. Rozdarła go na strzępy A drugą ofiarą była – urwał i po chwili dokończył z trudem – Susan. Susan Randall.

– Susan? Żartujesz sobie chyba?

W oczach Jima pojawiły się łzy. Po raz pierwszy od chwili śmierci Susan pozwolił sobie na okazanie uczuć.

– Ten potwór po prostu rzucił się na nią, George. Oderwał jej głowę. Rozpruł jej ciało Krzychałem, chciałem ją ostrzec, ale byłem bezsilny.

– I jak gdzie to się stało?

– W Window Rock na tyłach naszego motelu. Spaliliśmy jej ciało w ognisku.

George przycisnął swoją puszkę pabsta do czoła.

– Catherine zamieniła się w potwora i zabiła Susan, a ty spaliłeś jej ciało w ognisku?

– Przysięgam na rany Chrystusa, George, że to prawda. Wszystko to jest prawda – odparł Jim.

– A co z tym Johnem Trzy Imiona?

– Zabiła go w przyczepie Psiego Brata. Próbowałem ją stamtąd wyprowadzić, ale wtedy w jednej sekundzie przemieniła się ze ślicznej dziewczyny w rozwścieczone czarne stworzenie, zdolne wybijać dziury w stali.

– Jezu Chryste, Jim. Co zamierzasz zrobić?

– Mogę zrobić tylko jedno. Jestem odpowiedzialny wobec Catherine za to, co zrobiłem, za to, że zabrałem ją z powrotem do rezerwatu. Co prawda wprowadzono mnie w błąd, nie wiedziałem, w co ją pakuję, ale ona nie jest niczemu winna, George, a ja przyczyniłem się do tego, że znalazła się na powrót w świecie, którego nie chce, i z mężczyzną, którego nie kocha.

– Ale zabiła Susan.

– Nie ona, George. Zrobiła to Niedźwiedzia Panna, ten potwór. To on zabił Susan.

– Co zamierzasz powiedzieć Ehrlichmanowi i rodzinie Susan? Myślisz, że ci uwierzą? Ja cię znam i mam do ciebie zaufanie, ale nawet ja nie jestem pewien, czy ci wierzę.

– To, co zamierzam powiedzieć innym, będzie musiało poczekać. Teraz pozostaje mi już tylko oddanie sprawiedliwości cieniowi Susan i uratowanie Catherine przed życiem w rezerwacie z tym Psim Bratem – przez poddanie jej egzorcyzmom czy cholera wie czemu, co się robi z kimś opętanym przez dziesięciostopowe stworzenie z pazurami jak szable.

– Jesteś zdenerwowany – stwierdził George. – Myślę, że jutro powinieneś jeszcze raz to wszystko sobie przemyśleć.

– Nie mogę przestać o tym myśleć nawet teraz.

– Może więc przejdźmy się do Valerie i przekonajmy się, czy widok twojego odnowionego mieszkania pomoże ci się od tego oderwać.

Jim złapał George'a za rękę i ścisnął ją tak mocno, że George skrzywił się z bólu.

– Wiesz co, George? Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Widywałem duchy, cienie zmarłych, widziałem człowieka porzucającego swoje ciało i spacerującego po mieście i samochody przejeżdżające przez niego, jakby go wcale nie było. Ale to coś innego. To moc pochodząca z powietrza, którym oddychamy, z ziemi, po której stąpamy. To prawdziwa indiańska magia.

George klepnął go w plecy.

– Jedno muszę ci przyznać, Jim. Niczego nie robisz połowicznie. Kiedy ci odbija, odbija ci na całego. Próbowaleś już prozacu?

– Nie wydaje ci się, że przeżyłem już wystarczająco wiele wstrząsów?

– Pewnie tak – przyznał George.

– Pozwól więc, że cię o coś spytam. Nawet jeśli nie wierzysz w ani jedno moje słowo, chyba wiesz, że mam dobre chęci?

– Jasne

– W takim razie pomóż mi. Nawet jeśli uważasz, że brakuje mi piątej klepki.

George objął go ramionami i uściśnął mocno. Miał olbrzymi brzuch, drapiącą brodę i pachniało od mego kebabem i dezodorantem Sure.

– Nie martw się, Jim. Bez względu na to, jakie bzdury byś wygadywał, George zawsze będzie stał u twego boku.

Pojechali na Electric Avenue starym pikapem Silverado George’a. Jim czuł się bardzo dziwnie wracając w to miejsce po śmierci swojej kotki i zniszczeniu mieszkania. Miał wrażenie, że to nie jest już jego dom i nigdy już nim w pełni nie będzie. Po włamaniu i zdemolowaniu żaden dom nie sprawia już wrażenia bezpiecznego, a kolejne zamki w drzwiach tylko pogarszają sytuację.

– Idź, popatrz sobie na swoje mieszkanie, a potem zjedź do nas – powiedział George. – Odwalają tam kawał solidnej roboty. Spodoba ci się.

Jim wszedł po schodach na podest drugiego piętra i przeszedł do swoich drzwi. Żaluzja w oknie po drugiej stronie poruszyła się i wiedział, że Myrlin znowu go szpieguje, upewniając się, że on nie szpieguje jego. Po chwili wahania włożył klucz do zamka. Wewnątrz pachniało świeżą farbą i nowymi dywanami. Zapalił światło i zobaczył, że ściany odmalowano na bladopiaskowy kolor, wszystkie dziury w gipsie załatano i wygładzono, a drzwiczki szafek kuchennych zastąpiono nowymi.

Pod wielką zakurzoną płachtą grubego plastiku znajdował się cały jego dobytek: książki, zdjęcia, kompakty, nawet wełniana kamizelka. Czuł się tak, jakby wszedł do mieszkania kogoś, kto niedawno umarł.

Ruszał już do drzwi, kiedy pod oknem zobaczył swojego dziadka. Tym razem wyglądał znacznie starzej niż ostatnio. Miał przygarbione ramiona, a dłonie wcisnął głęboko w kieszenie. Jim podszedł do niego i powiedział.

– Dziadku, dlaczego wróciłeś? Czy wszystko jest w porządku?

– W porządku? Nie, nie wydaje mi się – odparł dziadek.

– W takim razie co się stało? Moja przyjaciółka twierdzi, że krewni wracają z zaświatów tylko wtedy, gdy mają jakąś pilną sprawę do załatwienia.

– A skąd twoja przyjaciółka to wie?

– Bo nie żyje, tak jak ty. Nazywa się Alice Vaizey i cóż, pewnie mi nie uwierzysz, rozmawia ze mną za pośrednictwem kobiety, która wprowadziła się po jej śmierci do jej mieszkania.

– Czemu miałbym ci nie wierzyć? Takie rzeczy zdarzają się codziennie. Umarli kurczowo trzymają się żywych.

– No to co się stało? – zapytał Jim. Kusiło go, by dotknąć dziadka, złapać go za rękę, poczuć jego suche palce, przypominające sękatę korzenie, poczuć gładki, starannie wygolony policzek. W powietrzu unosił się nawet zapach dziadkowego żelu do włosów i jego tytoniu.

– Ta rzecz, przed którą cię ostrzegałem... zjawiała się, prawda? – zapytał dziadek. – Ta stara, zimna, szczeciniasta rzecz?

– Zjawiała się, a jakże – Jim pokiwał głową. – Rozejrzyj się dokoła, robotnicy dopiero co skończyli uprzętać po niej bałagan.

– To nie jest jedyny bałagan, jakiego narobiła, prawda, Jim?

– Nie, dziadku. Była jeszcze kobieta, którą kochałem. Susan Randall. To coś ją zabiło.

– Spotkałem Susan... – powiedział dziadek. – To dlatego tu jestem.

– Widziałeś ją? Gdzie?

– Jim, po śmierci nie ma już żadnego „gdzie”. W jednej chwili spoglądasz ponad mokrymi,

pokrytymi dachówką domami, a w następnej minucie jedziesz autobusem po Eighth Avenue.

Potem, zanim zdążysz się zorientować, spacerujesz plażą nieopodal Hilton Head.

– Co u niej słyhać? – dopytywał się Jim. – Próbowałem ją uratować. Mam nadzieję, że wie o tym.

– Ona niewiele wie. Doświadczyła ciężkiego wstrząsu, jak to zwykle bywa, kiedy ktoś urywa ci głowę. Pogodzenie się ze sposobem odejścia z tego świata zajmuje trochę czasu. Ale powiedziała mi jedno: „Ostrzeż Jima, żeby trzymał się jak najdalej od West Grove. Niech pojedzie do Europy czy nawet do Japonii. Niech pojedzie gdziekolwiek, tam, gdzie bestia go nie dosięgnie, bo jest już na jego tropie”.

– Myślisz, że ją jeszcze zobaczysz? – zapytał Jim. – Może mógłbym przekazać jej przez ciebie wiadomość?

Dziadek rzucił mu szybkie, zniecierpliwione spojrzenie.

– Nie jestem posłańcem, Jim. Nie zajmuję się roznoszeniem listów w zaświatach.

– Powiedz jej tylko, że ją kocham i że nie przestanę jej kochać. I że dopilnuję, by winnych jej śmierci spotkała sprawiedliwa kara.

– Sprawiedliwość niewiele znaczy dla zmarłych, Jim. Sprawiedliwość jest ważna tylko dla żywych.

– Tak czy owak, powtórzysz jej to?

Dziadek wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować. Ale niczego ci nie gwarantuję.

W tej samej chwili rozległo się stukanie do drzwi i do mieszkania weszła panna Neagle w wymiętym czarnym negliżu i pantoflach na wysokim obcasie.

– Jim? – odezwała się. – Zastanawialiśmy się, czy nie chciałbyś zejść na dół i napić się czegoś z nami. George powiedział, że miałeś bardzo interesujące przygody w Arizonie.

Nagle zatrzymała się, zamrugła i utkwiała wzrok w dziadku Jima.

– Och – wymamrotała zaskoczona. – Przepraszam. Nie wiedziałam, że masz gościa.

– Widzisz go? – zapytał zaskoczony Jim.

– Oczywiście. Chwilami trochę się rozmywa, jak obraz na starym telewizorze, ale widzę go, bez dwóch zdań.

– Nie życzę sobie, by porównywano mnie do obrazu ze starego telewizora – obruszył się dziadek Jima. – Kim pani jest?

– To chyba pani Alice Vaizey, dziadku – powiedział Jim. Odwrócił się do panny Neagle i zapytał: – Mam rację?

– Jak najbardziej – uśmiechnęła się panna Neagle. – Sama nie potrafię go dostrzec, ale pani Vaizey owszem. To dlatego tak migocze.

– Co tu się dzieje? – zapytał podejrzliwie dziadek Jima. – To jest przyjaciółka, o której mi opowiadałeś? Ta, która nie żyje?

– Zgadza się, dziadku. Panna Neagle kupiła jej mieszkanie wraz z jej duchem.

Dziadek Jima powoli podszedł do panny Neagle i stanął przed nią. Uniósł lewą rękę i zatrzymał ją o cal od jej czoła. Wyglądało na to, że próbował jej dotknąć, lecz nie potrafił.

– Widzę ją – powiedział. – Naprawdę ją widzę. Jakby stały tu dwie kobiety, jedna we wnętrzu drugiej.

Do oczu panny Neagle napłynęły łzy.

– Odkąd umarłam, po raz pierwszy ktoś mnie zauważył – powiedziała. – Zaczynałam już podejrzewać, że jestem niewidzialna dla wszystkich, nawet dla innych duchów.

– Nie powinnaś się tym przejmować – pocieszył ją dziadek Jima. – Ja cię widzę... widzę cię doskonale.

– W takim razie jak wyglądam? – zapytała panna Neagle kokieteryjnie, zupełnie tak, jak

uczyniłaby to pani Vaizey.

– Jesteś szczupła, bardzo szczupła, jak tancerka. Zupełnie niepodobna do tej pani. I jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

– Cóż, dzięki – oświadczyła panna Neagle. – Nawet gdybyśmy się więcej nie spotkali.

Dziadek Jima uśmiechnął się do niej i posłał jej całusa. Jim mruknął zdumiony.

– Własnym oczom nie wierzę, dziadku. Przyszedłeś tu, aby mnie ostrzec, a teraz flirtujesz z duchem kobiety, która kiedyś mieszkała piętro niżej.

– To nie jest flirt, Jim. Po śmierci ludzie potrzebują pociechy bardziej niż kiedykolwiek za życia. Dla kobiety starość i brzydota, które powodują, że nikt nie zwraca na nią uwagi za życia, są wystarczająco bolesne. Jak myślisz, jak to jest, kiedy się umiera i od nikogo nie można już spodziewać się żadnej reakcji? Stajesz się niczym, bo jesteś niewidzialny. Nie wiesz nawet, jakim jestem szczęściarzem mając wnuka, który potrafi mnie dostrzec – urwał i dodał po chwili.

– Posłuchaj, Jim, to „coś” pragnie twojej krwi i pozostały ci tylko dwa wyjścia albo spakujesz swoje manatki i wyniesiesz się stąd jak najdalej, albo będziesz musiał znaleźć sposób pokonania tej bestii.

– Dzisiaj przecież miałeś umrzeć, Jim – dorzuciła panna Neagle. – A jednak wciąż żyjesz, prawda? Powinno ci to dodać trochę pewności siebie.

– Jestem już martwy – odparł Jim. – Tak długo, jak długo ta bestia pozostaje w naszym świecie, będzie mnie szukać.

– Więc uciekaj – powiedział dziadek. – To jedyne rozwiązanie. Uciekaj.

Jim zrozumiał nagle, dlaczego dziadek uważał się za nieudacznika. On rzeczywiście był nieudacznikiem. Kiedy na horyzoncie zamajaczyło jakiekolwiek wyzwanie, zwykle podwijał ogon pod siebie i pospiesznie oddalał się w przeciwnym kierunku. Ale on sam taki nie był – był nieodrodnym synem swojej matki, a matka zawsze nieustępliwie egzekwowała swoje prawa.

Odmówiła pomocy ojcu, gdy ten rozkręcał swoją morską firmę ubezpieczeniową, i zamiast tego nauczyła się grać na pianinie. „Jeżeli nie wzbogacisz się własną pracą, nie zasługujesz na to, by być bogatym – powiedziała. – A ty zasługujesz, i będziesz bogaty, więc czego będą słuchać twoi bogaci przyjaciele, kiedy będziemy podejmować ich obiadem?”

– Nie, dziadku – oświadczył Jim. – Zamierzam zostać. Indianie zawsze dużo mówią o honorze plemienia. Catherine jest moją uczennicą i należy do drugiej klasy specjalnej, która jest jakby moim plemieniem. Muszę bronić jego honoru.

Dziadek patrzył na niego przez długą chwilę, a potem pokiwał głową.

– Odważne słowa, Jim. Wygląda na to, że mogę jedynie życzyć ci szczęścia przyda ci się tutaj, a po stokroć bardziej w zaświatach.

– Do widzenia, dziadku – powiedział Jim – Nie zapomnę o tym, obiecuję.

Dziadek podszedł do otwartych drzwi balkonu i odszedł w ciemność. Jim odprowadzał go wzrokiem, gdy dziadek szedł wzdłuż balustrady. Jego postać bladła stopniowo, a kiedy dotarł do schodów, światło ulicznych lamp przechodziło przez niego na wskroś. Zatrzymał się na moment, odwrócił i obejrzał na Jima, machając mu na pożegnanie. Zanim zdążył zrobić choćby jeden krok po schodach, zniknął wśród nocy wypełnionej blaskiem lamp, warkotem samochodów i czyimś śmiechem.

– Jim – odezwała się panna Neagle – chodź do nas na piwo.

– To nie jest najlepszy pomysł, Valerie. Jestem już trochę zmęczony.

– Ale George w pojedynkę nie da rady odtąńczyć tych wszystkich greckich tańców...

– No dobrze – ustąpił Jim. Uznał, że wszystko będzie lepsze od przewracania się na kanapie George’a i wsłuchiwania przez całą noc w mruczenie lodówki.

Panna Neagle objęła go.

– Zawsze byłam podejrzliwa w kontaktach z Grekami, wiesz? Ale kiedy poznałam George’a,

pomyślałam sobie: „Co było dobre dla Jackie, może być dobre i dla mnie”. Nie wiesz

przypadkiem, jak po grecku mówi się „Uwielbiam twoją brodę”?

Następnego ranka przed pójściem do szkoły Jim zadzwonił do brata Susan, Bruce’a, scenarzysty mieszkającego w Sherman Oaks.

– Susan zostaje jeszcze na parę dni w Arizonie – poinformował go.

– Ach tak?

– Cóż... pomyślałem, że lepiej dam ci znać, żebyś się nie niepokoił.

– A czemu miałbym się niepokoić? Jest już pełnoletnia.

– W takim razie wszystko w porządku. Po prostu pomyślałem, że dam ci znać, to wszystko.

Po chwili milczenia Bruce zapytał:

– Nie stało się nic złego, prawda?

– Co przez to rozumiesz?

– Wiesz, Susan i ja prawie ze sobą nie rozmawiamy. Zupełnie inaczej podchodzimy do życia,

jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi. Ona uważa, że jestem materialistą, a ja myślę, że powinna spróbować objechać świat dookoła używając jednej z tych swoich zabytkowych map i przekonać się, jak daleko zajędzie.

– Rozumiem... – mruknął Jim.

Kiedy jechał do szkoły, czuł się dziwnie. Wszystko wokół było takie normalne i znajome.

Poranny smog jeszcze się nie rozwiął i dzień opatulony był w delikatną mgiełkę, jak na obrazach

impresjonistów. Jim zaparkował na parkingu dla nauczycieli, czekając na pożegnalny strzał

z tłumika, który jednak nie nastąpił. Wygramolił się zza kierownicy i był już przy głównym

wejściu, kiedy od strony samochodu rozległa się potężna detonacja, odbijająca się echem między budynkami.

Wszyscy obecni w pokoju nauczycielskim z niecierpliwością czekali na jego relację

z wycieczki do rezerwatu, ale mówienie o tym przychodziło Jimowi z trudem. Powtarzał tylko:

– Pewnie, było wspaniale. Fascynujące miejsce. Susan była tak zachwycona, że postanowiła zostać tam jeszcze przez parę dni.

Richard Bercovici, wykładający nauki społeczne, podszedł do niego, rozsiewając wokół zapach tytoniu fajkowego.

– Zetknąłeś się może z przejawami alkoholizmu wśród Navajo? Czytałem, że pijaństwo stanowi plagę w rezerwatach.

– Myślę, Richard, że gdybyś widział to, co ja tam widziałem, też chciałbyś się czegoś napić – odparł Jim.

Kiedy nadeszła pora pierwszej lekcji, z ulgą przeszedł korytarzem do drugiej klasy specjalnej. Prawie wszyscy byli obecni, z wyjątkiem Jane Firman, która zawsze ciężko przechodziła okres, więc Jim uznał, że nawet nie wypada pytać, gdzie jest. Sue–Robin kończyła malować paznokcie na perłowy odcień różu, a Sherma szukała czegoś w wielkiej brązowej torbie na zakupy, głośno szeleszcząc.

– Sherma...? Pozwolisz nam posłuchać naszych myśli?

– Przepraszam, panie Rook, ale dzisiaj mam piec z panią Evers ciastka z musem jabłkowym i chyba zapomniałam o rodzynkach.

Mark siedział za Davidem Littwinem, blady i wyciszony – ku wielkiemu zmartwieniu swego najlepszego kumpla, Ricky!ego, który próbował rozruszać go głupimi żartami w rodzaju: „Panie doktorze, wydaje mi się, że jestem spanielem. – Proszę położyć się na kanapie. – Nie mogę, właściciel mi nie pozwala”. Sharon założyła obcisłą czarną suknię i naszyjniki z gagatu, a we włosy wplotła czarne wstążki. Kiedy tylko Jim wszedł do klasy, Sharon i Mark spojrzeli na niego.

– Pewnie ucieszy was wiadomość, że nasza wycieczka do Arizony była okropnie uciążliwa –

zaczął Jim. – Niewiele straciliście, może jedynie trochę efektownych widoków i wyjątkowo ohydne jedzenie. Ale dowiedzieliśmy się wiele o legendach Navajo i bardzo jestem ciekaw, co wam udało się odkryć na miejscu. Niestety Catherine Biały Ptak postanowiła pozostać trochę dłużej w Arizonie, aby... aby odwiedzić paru znajomych, tak więc nie poznamy jej opinii na ten temat. Również pani Randall nie wróciła razem z nami, bo pragnęła... – zawahał się widząc, jak Mark i Sharon spoglądają na niego marszcząc brwi. Nie lubił kłamać, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia, przynajmniej dopóty, dopóki Niedźwiedzia Panna nie zostanie przepędzona raz na zawsze. – ...zbadac parę zabytkowych map. Sami wiecie, że ma na ich punkcie bzika.

Beattie McCordic podniosła rękę i zapytała:

– Jak wygląda sytuacja kobiet Navajo? Czy są tak samo równouprawnione jak my, w Kalifornii?

– Nikt nie jest równiejszy od ciebie, Beattie! – stwierdził Seymour Williams.

– Doskonałe nawiązanie do literatury – pochwalił go Jim. – Z czego to jest, Seymour?

– Co takiego? – zapytał zdziwiony Seymour.

– „Folwark zwierzęcy” George’a Orwella. „Wszystkie zwierzęta są równe, ale są też równiejsze”.

– Ach, racja – odparł Seymour z głupim uśmiechem, co cała klasa skwitowała gwizdami i tupaniem.

– Wracając do twojego pytania, Beattie – podjął Jim – z moich obserwacji wynika, że pozycja indiańskiej kobiety w rodzinie jest zupełnie inna. Mężczyźni Navajo nadal sądzą, że tylko ich głos się liczy. To zgodne z tradycją i historią tego ludu. Ale panuje tam takie bezrobocie, że to właśnie kobieta stanowi ogniwo spajające rodzinę... i ona codziennie musi podejmować najważniejsze decyzje.

– Może i tak – odezwał się Mark. – Ale musi pan przyznać, że trudno być wielkim

wojownikiem i myśliwym, kiedy nie ma z kim się bić i na co polować. No bo co niby teraz mogą robić ich mężczyźni, rabować sklepy spożywcze?

– Na razie wróćmy do poprzedniego tematu i porozmawiajmy o historii i legendach Navajo – powiedział Jim. – Niektórzy Indianie utrzymują, że to odejście dawnej magii doprowadziło do ich obecnego katastrofalnego położenia. Czy komuś udało się zebrać informacje na temat jakiejś legendy?

– Ja znalazłam podanie o gigantycznym demonie, którego nazywano Wielkim Potworem – odparła Sue–Robin. – Był o połowę niższy od najwyższego świerku, miał odrażającą twarz w niebieskie i czarne pasy i zawsze był ubrany w zbroję z odłamków krzemienia powiązanych jelitami i ścięgnami zabitych przez niego ludzi.

– Ohyda – wzdrygnęła się Amanda.

– To tylko opowieść – uspokoił ją Jim, jednocześnie przypominając sobie, jak z rozdartego ciała Johna Trzy Imiona wnętrzości wylewały się na podłogę.

– Wielkiego Potwora dopadło w końcu dwóch dzielnych bogów Bliźniaków – ciągnęła Sue–Robin. – Próbowali podkraść się do niego, kiedy zaspokajał pragnienie całą wodą z wielkiego jeziora, lecz on dostrzegł ich odbicie w ostatnich kroplach. Wystrzelił w ich kierunku dwie olbrzymie strzały, ale oni schwycili tęczę i użyli jej jako tarczy. Wielki Potwór zaczął ich gonić, jednak kiedy prawie już do nich dobiegał, zabił go nagły piorun. Bliźniacy obcięli mu głowę i odrzucili ją na wschód. Tam wypuściła korzenie i pozostaje w tym samym miejscu aż do dzisiaj. To Cabezon Peak.

– Ja też znalazłem trochę informacji o Wielkim Potworze – oświadczył Titus podnosząc rękę.

– Jest taka internetowa strona poświęcona mitom Indian. Wyczytałem tam, że piorun nie wyrządziłby Wielkiemu Potworowi żadnej krzywdy, gdyby inny demon nie obciął mu wcześniej wszystkich włosów, pozbawiając jego głowę osłony. Ten drugi demon nazywał się... mam to tu

gdzieś zapisane... Coyote.

Jim poczuł nagle mrowienie na karku, jakby spacerował po nim jakiś owad.

– Coyote, tak? Czy ktoś jeszcze ma coś na temat tego Coyote?

– Ja mam – odezwał się John Ng. – Był dla mnie jednym z najciekawszych indiańskich demonów, bo w Japonii i Wietnamie są demony bardzo do niego podobne. Był bardzo sprytny i podstępny i lubił ludzkie kobiety. Jest taka legenda Navajo... – Zaczął czytać: – „Pewnego dnia na górskiej przełęczy Coyote spotkał młodą kobietę. – Co masz w swoim tobołku? – zapytała. – Rybie jajka. – Dasz mi trochę? – Tak, jeżeli zamkniesz oczy i zadrzesz spódnicę. – Zrobiła, jak jej kazał. – Wyżej – powiedział Coyote, wyskakując ze spodni. – Nie ruszaj się – przykazał. – Nie mogę, coś pełźnie między moimi nogami – odparła. – Nie martw się, to pszczoła. Złapię ją. – Kobieta opuściła spódnicę. – Nie byłeś wystarczająco szybki, użądliła mnie – powiedziała”.

– Typowy samiec – stwierdziła Beattie. – Nawet demon nie potrafi utrzymać łap przy sobie.

– Zmień płytę – burknął Ricky Herman.

– Mów dalej, John – przerwał im Jim. – Czego jeszcze dowiedziałeś się o Coyote?

– Cóż, od innych duchów różnił się tym, że posiadał władzę nad śmiercią. A to dlatego, że zakochał się w pewnej kobiecie i zgodził się dla niej umrzeć. Ale zakopał swoje płuca, serce, krew i oddech w ziemi, aby móc je na powrót odkopać. Cztery razy umierał dla tej kobiety i za każdym razem powracał do życia, i w końcu duchy świata zmarłych stwierdziły, że należy do świata żywych.

– Więc wobec tego pewnie wciąż pozostaje wśród żywych?

– Jeżeli wierzy pan w duchy, to chyba tak. Ale w „Legendach Navajo” mówi się, że po nadejściu białego człowieka udało mu się przeżyć jedynie dzięki związkowi z ludzką kobietą. W każdym nowym pokoleniu wynajduje sobie najpiękniejszą kobietę Navajo i daje jej syna. Syn jest również częścią niego, więc gdy Coyote umiera, żyje dalej. Mam nadzieję, że wyrażam się

jasno? Zanim stał się półczłowiekiem, jego wygląd był tak przerażający, że okrywał się skórą kojota, i właśnie dlatego otrzymał imię Coyote. Dawniej Navajo nazywali go Pierwszym, Który Użył Słów Mocy. Teraz wyglądem przypomina zwykłego człowieka, tyle że musi nosić żółte okulary, by ludzie nie widzieli jego żółtych psich oczu.

Przed oczyma Jima pojawił się nagle Psi Brat, siedzący w swojej przyczepie. Pióra, skórzane spodnie, żółte okulary... John Trzy Imiona okłamał go, bo musiał wiedzieć, że gdyby tylko domyślił się prawdy, za żadne skarby nie zabrałby ze sobą Catherine.

Psi Brat wcale nie jest człowiekiem. A raczej jest nim tylko częściowo, pomyślał. Nie potrzebował szamana, by rzucić klątwę na Catherine. Nie musiał wzywać Coyote, bo sam był Coyote.

Zauważył nagle, że John zamilkł i spogląda na niego.

– Mów dalej, John, słucham cię uważnie.

– Coyote podobno wybiera swoje żony w ich piętnaste urodziny – podjął John. – Nacina swoją dłoń i jej dłoń, a potem mieszają swoją krew.

– Czy on nie słyszał o HIV? – zapytał Seymour.

– To tylko legenda, na miłość boską – jęknął Ray. – Legendy nie chorują.

– Superman choruje w zetknięciu z kryptonitem – zaproponował Ricky.

– Tak, ale Superman to postać z komiksu, nie legenda. Poza tym on nie złapałby HIV-a, bo nie jest gejem.

– Wygląda jak gej.

– Ty też, jednak nikt nie poświęca temu osobnej lekcji.

– Dość tego – uciął Jim. – John, dokończ swoją opowieść.

– No więc, kiedy krew Coyote krąży już w żyłach tej kobiety, może ją kontrolować, gdziekolwiek by była, nawet gdyby spróbowała od niego uciec.

– No właśnie – odezwała się Beattie. – Typowe samcze zachowanie.

Jim w zamyśleniu przeszedł powoli na tył klasy.

– Doskonale się spisałeś – pochwalił Johna. – Dotarłeś do bardzo interesujących legend. Ale jedno mnie zastanawia... chociaż Coyote nie może umrzeć, czy komuś nie udało się znaleźć sposobu przegnania go w miejsce, skąd nie mógłby uciec? Albo pozbawienia go części magicznej mocy, tak jak inny demon zrobił to z Wielkim Potworem, obcinając mu włosy?

– W „Legendach Navajo” jest napisane, że za dawnych czasów szamani przyzywali Coyote gwizdkiem i wchodzili z nim w układy, by pokonać wrogie plemiona – powiedział John i znów zaczął czytać: – „W tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku szaman Navajo wezwał Coyote i obiecał mu pięć dziewczic w zamian za zwycięstwo w wojnie z plemieniem Hopi. Następnego dnia Navajo zaatakowali wioskę Oraibi, jedną z najstarszych osad w Ameryce, i wymordowali prawie wszystkich jej mieszkańców”. – Przebiegł palcem po stronie i dodał: – Wygląda na to, że jedynym sposobem poradzenia sobie z Coyote jest przekonanie innego ducha, by go zabił, a potem wykopanie jego serca, zanim on zdąży to zrobić, i ukrycie go tak, by nie mógł go znaleźć.

– Panie Rook... – odezwała się Beattie. – Znalazłam trochę informacji o kobiecie, która zmieniała się w jedno z tych wielkich futrzastych zwierząt mieszkających w lesie. – Beattie cierpiała na afazję nominalną i miała trudności z zapamiętywaniem nazw przedmiotów.

– Mówisz o Niedźwiedziej Pannie? – pomógł jej John. – To właśnie w niej zakochał się Coyote.

– Wydaje mi się, że starczy już tej dyskusji o legendach Navajo – stwierdził Jim. – Na ten tydzień mam ich dosyć. Ale chciałbym, żebyście napisali dziejącą się współcześnie opowieść opartą na starej indiańskiej legendzie.

– No właśnie – mruknęła Beattie. – Kiedy zaczynamy rozmawiać o żeńskich demonach,

musimy przerwać.

– Wszyscy pozbiali swoje książki i zeszyty, po czym z hałasem opuścili salę. Jim wrócił do biurka, by przejrzeć rozkład zajęć na resztę miesiąca. Kiedy usiadł, podeszli do niego Mark i Sharon. Oboje mieli bardzo poważne twarze.

– Chyba wiem, co chcecie mi powiedzieć – odezwał się Jim.

– Co jest grane, panie Rook? – zapytała Sharon. – Czy pani Randall miała atak astmy, jak pan nam powiedział w Arizonie, czy też została w rezerwacie szukając starych map? A może ani jedno, ani drugie?

– Jestem wam winien przeprosiny – odparł Jim. – Wiecie, jakie jest moje stanowisko na temat kłamstw. Ale wtedy w Window Rock nie chciałem was jeszcze bardziej martwić.

– Co się stało? – zapytał Mark. – Z panią Randall wszystko w porządku, prawda?

– Muszę was poprosić, żebyście zatrzymali to dla siebie... Afera z Catherine jeszcze się nie skończyła i jeżeli nie będę miał swobody ruchów, nie potrafię jej pomóc. – Przerwał na moment, a potem powiedział: – Pani Randall miała wypadek. Obawiam się, że nie żyje.

– Nie żyje? – powtórzyła wstrząśnięta Sharon.

– Jaki wypadek? – zapytał Mark.

Jim bezradnie wzruszył ramionami.

– Miało to związek z Catherine, jednak teraz naprawdę nie jestem w stanie wam tego wytłumaczyć. Gdy tylko będę mógł, opowiem wam, co się stało.

– Ale powiedział pan wszystkim, że pani Randall została w Arizonie... nawet doktorowi Ehrlichmanowi – oświadczyła Sharon.

– Wiem. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, ich również przeproszę.

– Jezu – wymamrotał Mark. – Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje. Wciąż widzę jej twarz.

Jim położył dłoń na jego ramieniu.

– Ja również, Mark.

Kiedy po ostatniej lekcji Jim zbierał się już do wyjścia, do klasy wkroczył doktor Ehrlichman.

– Cieszę się, że wycieczka się wam udała, Jim. Muszę się przyznać, że wcale nie byłem przekonany do tych twoich etnicznych wędrówek. Nie bardzo widziałem ich związek z zajęciami wyrównawczymi z angielskiego. Ale kuratorium wyrażało się pochlebnie o twojej pracy i widziałem, że uzyskujesz coraz lepsze wyniki na testach.

– Dobra komunikacja to podstawa – odparł Jim. – Wierzę, że jeśli moi uczniowie rozumieją odmienność swoich kolegów i koleżanek, pomoże im to w docenieniu ich własnego pochodzenia i w jaśniejszym wyrażaniu myśli.

– Bardzo ładnie. Wygląda na to, że *Los Angeles Times* może być zainteresowany artykułem na ten temat.

– Moim uczniom taka reklama nie jest potrzebna – oświadczył Jim. – W klasie nie wstydzą się swoich wad, ale nie chcą, by cały świat dowiedział się, że są powolniejsi od innych.

– Taki artykuł przysłużyłby się szkole... zwłaszcza po zeszłotygodniowej tragedii.

– Nie jestem pewien... Przemyślę to sobie przez weekend.

– Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro po południu?

– A co takiego ma być jutro po południu?

– Rozgrywamy mecz z Asuzą. Ben Thunkus uważa, że mamy duże szanse na zwycięstwo.

– Więc ten mecz się odbędzie? Mimo tego, co przydarzyło się Martinowi?

Ehrlichman potarł dłonie.

– Rozmawiałem z jego rodzicami. Są za tym. Rozmawiałem też z drużyną. Chcą zagrać, aby w ten sposób oddać hołd Martinowi.

– Skoro tak uważają...

– Tak właśnie uważają, Jim. I ja również tak myślę. Szkoła ma za sobą bardzo zły początek semestru, bardzo zły. Chciałbym ujrzeć, jak wszystko wraca do normy. Pamiętaj o hasło West Grove: „Przez przyjemność do sukcesu”.

– W wersji uczniowskiej brzmi to chyba „Przez imprezy do absolutorium” – odparł Jim.

– Nie wiedziałem o tym – mruknął Ehrlichman – i żałuję, że się dowiedziałem.

– Do zobaczenia na meczu – powiedział Jim.

Rozdział IX

Wczesnym wieczorem Jim pojechał odwiedzić Henry'ego Czarnego Orła. Na progu stała ładna młoda Meksykanka, polerując brązową wizytówkę na drzwiach.

– Pan Czarny Orzeł jest w domu? – zapytał Jim.

– Nie, *señor*. Ale znajdzie go pan w Cafe del Rey.

– Widziała go dziś pani?

– Pewnie. Nie był dzisiaj w pracy. Powiedział, że kręcą sceny bez niego.

– W jakim był nastroju?

– *Que?*

– Był szczęśliwy, wesoły, nucił sobie pod nosem? A może był smutny i przygnębiony?

– Był bardzo nerwowy.

– Nerwowy? Krzyczał na panią?

– Nie, ale wyglądał, jakby na coś czekał. Kiedy dzwonił telefon, natychmiast pędził go odebrać.

– Dziękuję, bardzo mi pani pomogła – powiedział Jim.

Wrócił do samochodu i pojechał w stronę oceanu. Do zachodu brakowało jeszcze godziny, ulice skąpane były w pomarańczowym blasku. Skręcił w Admiralty Way i skierował się ku zatoce. Ciepłe morskie powietrze dmuchało mu we włosy. Gdyby tak bardzo się nie martwił,

mógłby uznać, że wieczór jest wspaniały.

Henry'ego Czarnego Orła znalazł przy kawiarnianym barze, gdzie samotni klienci mogą zjeść w spokoju spoglądając na tańczące na kotwicy jachty. Aktor był w połowie steku z sałatką z kopru i popijał czerwone wino z pękatego kieliszka. Jim wsunął się na wolny stołek obok niego.

– Jak tam stek, panie Czarny Orzeł? Wystarczająco krwisty jak na pańskie potrzeby? A może wolałby pan całopalną ofiarę?

Henry Czarny Orzeł podskoczył jak oparzony, wytrzeszczając w przerażeniu oczy.

– Och, przepraszam – powiedział Jim. – Czyżbym pana wystraszył?

– Co pan tu robi? – zapytał Henry Czarny Orzeł, a potem rozejrzał się po zatłoczonej knajpce, jakby kogoś szukał. – I gdzie jest Catherine?

– Chce pan wiedzieć, co tu robię? – powtórzył Jim. – Zamierzam wyrównać pewien rachunek... A co do Catherine, zadanie wykonane, przynajmniej w znacznym stopniu. Udało mi się dostarczyć ją do osiedla przyczep w Fort Defiance i przekazać ją w ręce przyszłego małżonka, tak jak przewidywał pański plan, prawda? Kłopot w tym, że potem zrobiło się trochę nieporządku.

– Nieporządku...? O czym pan mówi?

– Czyżby pański przyjaciel John Trzy Imiona nie zadzwonił do pana z radosną informacją?

Cóż, nie za bardzo mnie to dziwi. W tej chwili John Trzy Imiona zapewne wygląda dokładnie tak, jak ten stek w pańskim żołądku.

– John Trzy Imiona nie żyje?

– Zgadza się. Jak również Susan Randall, która pojechała ze mną, by pomóc mi opiekować się pańską córką.

– A pańscy uczniowie?

– Och, Bóg zapłać za pamięć. Są w doskonałej formie, choć nie dzięki panu, Niedźwiedziej Pannie czy Pierwszemu, Który Użył Słów Mocy.

Henry Czarny Orzeł odsunął talerz.

– Nie miałem wyboru – powiedział. – Gdybym nie odesłał Catherine do Coyote, dalej by zabijała. Co miałem robić?

– Odesłanie Catherine do Coyote to jedno, ale poświęcenie najzupełniej niewinnej kobiety i gotowość złożenia w ofierze dwojga niewinnych młodych ludzi tylko po to, by wydostać z więzienia synów, to zupełnie inna sprawa.

– To nie był jedyny powód, panie Rook. Coyote wiedział, jak bardzo zależało panu na tamtej kobiecie i ile znaczyli dla pana ci uczniowie. Chciał pokazać panu, że jeśli kiedykolwiek ośmieli się pan mu sprzeciwić albo spróbuje odebrać mu Catherine, będzie pan skończony.

– Więc nie zamierzał mnie zabić?

– Cóż, to zależy od pańskiej definicji śmierci, panie Rook. Zabiłby wszystkich, których pan kocha, i zniszczył wszystko, co jest panu drogie. Uśmierciłby pana za życia.

– Ale za co? Co ja mu zrobiłem?

– Jest pan biały, panie Rook, a to wystarczający powód. Poza tym wie, że posiada pan dar widzenia. Musiał to wykryć, gdy tylko zbliżył się pan do Catherine. Jego krew płynie w jej żyłach, proszę o tym nie zapominać.

– I co?

Henry Czarny Orzeł opuścił na ułamek sekundy oczy, a potem spojrział na Jima.

– I trochę się pana boi – powiedział.

– Co ja mu mogę zrobić, skoro on dysponuje magią, mogącą zamienić pańską córkę w bestię?

– Ale pamięta, co biali zrobili z pozostałymi duchami, panie Rook. Jest teraz sam. Może

określenie „boi się” jest rzeczywiście lekką przesadą, ale z pewnością pana nie lekceważy. Sądzi, że jest pan w kontakcie z duchami białych ludzi, i nie zamierza ryzykować obrażenia demona, który mógłby okazać się silniejszy od niego.

Jim patrzył na niego przez chwilę, a potem zapytał:

– Co teraz pan zamierza?

– A co mi pozostało? Przejrzał mnie pan i nie potrafię panu nawet powiedzieć, jak bardzo wstydę się tego, co zrobiłem. Do końca życia prześladować mnie będzie śmierć pańskiej kobiety i śmierć moich synów, jeżeli sąd uzna ich za winnych. Gdybym wiedział, jakie konsekwencje będzie miała moja umowa z Coyote, którą z nim zawarłem, kiedy moja żona się rozchorowała, wolałbym nic nie robić i pozwolić jej umrzeć.

– Być może przejrzałem pana, ale nie pociągnie to za sobą żadnych konsekwencji – odparł

Jim. – Nie złamał pan żadnego prawa, oprócz praw ludzkiej przyzwoitości.

– Bardzo mi wstyd z tego powodu – powiedział Henry Czarny Orzeł.

– Cóż, może nie będzie się pan aż tak wstydzić, jeśli pomoże mi pan odzyskać pańską córkę.

Tyle chyba jesteśmy jej winni, prawda?

– To niemożliwe. Coyote stale będzie przemieniał ją w Niedźwiedzią Pannę i za każdym razem potwór będzie potężniejszy, a transformacja będzie trwać dłużej. W końcu na zawsze zmieni się w potwora, co noc wędrującego po rezerwacie w poszukiwaniu ofiar. Może pan sobie wyobrazić podobny koszmar? A każde kolejne zabójstwo znowu spadnie na moje sumienie. Ale jeśli zostawimy ją w spokoju, panie Rook. Coyote zdejmie z niej klątwę i będzie ją dobrze traktować, a wszyscy mieszkańcy rezerwatu odnosić się będą do niej z wielkim szacunkiem.

– Panie Czarny Orzeł, Catherine nie takiego życia pragnęła. Powinniśmy spróbować wyrwać ją stamtąd.

– To niemożliwe – powtórzył Henry Czarny Orzeł. – Kto wie, do czego posunie się Coyote

w odwecie.

– Boże miłosierny – westchnął Jim. – Nic dziwnego, że Indianie przegrali wojnę z białymi.

– Panie Rook... gdybym znał sposób na odzyskanie córki... i wierzył, że istnieje droga naprawienia wszystkiego, co spowodowałem...

– Owszem, istnieje. Niech pan zorganizuje nam na jutro lot do rezerwatu, a przydybiemy tego drania Coyote w jego legowisku.

– Jakim sposobem? Nie zdaje pan sobie sprawy z jego potęgi.

– Według legendy można nad nim zapanować nakłaniając innego ducha do zabicia go, a potem zabierając jego serce. Na pewno zna pan szamanów potrafiących przywołać innego ducha.

– Szara Chmura ich zna. Ale nawet gdyby udało się znaleźć szamana chętnego do takiego przedsięwzięcia, żaden duch nie zgodzi się zabić Coyote bez zapłaty. Duchy zawsze żądają zapłaty.

– W takim razie może człowiek jest w stanie go zabić. Może nam się to uda.

– Przykro mi, panie Rook, ale nie mielibyśmy najmniejszej szansy. Nikt nie rzuca wyzwania Coyote, chyba że jest pijany w trupa albo ma dosyć życia.

– Uda mi się znaleźć jakiś sposób, jestem tego pewien.

Henry Czarny Orzeł uniósł rękę, prosząc o rachunek. Po zapłaceniu za obiad powiedział:

– W porządku, panie Rook. Załatwię dwa bilety na jutro, na wieczorny lot. Skoro nie mogę pana powstrzymać, mogę przynajmniej panu towarzyszyć. Może kiedy Niedźwiedzia Panna zabije nas obu, policja uwolni Paula i Szarą Chmurę.

Jim nagryzmolił pospiesznie numer telefonu na papierowej tacce.

– Do dwunastej może mnie pan złapać pod tym numerem. Później będę w szkole. Jutro po południu rozgrywamy mecz.

Henry Czarny Orzeł podniósł się i wyciągnął dłoń w jego stronę.

– Nie wiem, co powinienem panu powiedzieć, panie Rook. Nie oczekuję, by mi pan wybaczył, ale proszę o odrobinę zrozumienia.

– Hmm, jest jeszcze jedno... – mruknął Jim i wyciągnął srebrny gwizdek spod koszuli. – Jakie jest dokładne przeznaczenie tego przedmiotu?

– Przyciąga uwagę Coyote. Wszyscy dawni szamani używali takich gwizdków, kiedy chcieli przywołać go z zaświatów. Wydaje dźwięki tej samej częstotliwości co nietoperze, bo kiedy Coyote nie był jeszcze na wpół człowiekiem, lubił nietoperze.

– Gdy lecieliśmy z Albuquerque do Gallup, w samolocie wszystko nagle wysiadło. Silniki, urządzenia pokładowe. Catherine wpatrywała się w kontrolki, a wokół niej widziałem cień potwora. Wtedy dmuchnąłem w gwizdek i jakby się obudziła, i wszystko znowu zaczęło normalnie funkcjonować. Cudem uniknęliśmy rozbicia w lesie. Gdybyśmy wpadli w te drzewa, na pewno byśmy zginęli.

Wyszli z kafejki i ruszyli przed siebie chodnikiem. Słońce rozpuszczało się w oceanie, zaczął wiać chłodny wietrzyk. Henry Czarny Orzeł powiedział zamyślony:

– To bardzo dziwne... Coyote uczyniłby wszystko, co w jego mocy, by Catherine dotarła do niego cała i zdrowa. Na pewno nie chciał, by rozbiła samolot. Nikt nie miał zginąć przed dotarciem do Window Rock, a panu w ogóle nic się nie miało stać. – Po chwili dodał: – Wygląda na to, że gdzieś w głębi serca Catherine wiedziała, co was czeka. W końcu w jej żyłach płynie krew Coyote. Wiedziała, co was czeka, i wiedziała, że będzie to los o wiele gorszy od szybkiej śmierci w wypadku lotniczym, użyła więc mocy Coyote, by unieruchomić urządzenia pokładowe. On to potrafi. Kiedy biali ludzie zaczęli budować linie telegraficzne, uciszał je samym spojrzeniem, tak jak niektórzy ludzie potrafią uciszać spojrzeniem psy.

– Czyli kiedy dmuchnąłem w gwizdek...

- Ostrzegł pan Coyote, a kiedy zorientował się, co się dzieje, powstrzymał Catherine.
- To oznacza, że zachowała resztki wolnej woli, nawet w postaci Niedźwiedziej Panny.
- Być może. Ale jeżeli nawet tak jest, nie sądzę, by Coyote pozwolił jej ponownie z niej skorzystać. Proszę pamiętać, co panu mówiłem: przy każdej przemianie w coraz większym stopniu staje się bestią.

Jim dotarł do swojego samochodu.

- Proszę jutro do mnie zadzwonić – powiedział.

Henry Czarny Orzeł skinął w odpowiedzi głową. Ruszając z miejsca, Jim spojrzał na niego w lusterku. Indianin nie budził w nim ani cienia współczucia, nie po tym, czego się dopuścił, ale wyglądał na najbardziej samotnego człowieka na świecie.

Tej nocy Jim spał bardzo źle. Przez cały czas śnił o człowieku w żółtych okularach i czuł szarpiący wewnętrzności lęk. Wydawało mu się, że się obudził, spojrzał przez pokój i ujrzał siedzącą w fotelu postać w zwęglonym, dymiącym kocu. Boże, pomyślał, to Susan, ona nie zginęła. Zerwał się z kanapy i podbiegł, lecz opatulona w koc postać ani drgnęła. Wyciągnął rękę i wtedy obudził się. Ociekał potem i dygotał jak w febrze.

Podczas przygotowywania śniadania George spojrzał na niego i powiedział:

- Wyglądasz jak śmierć, Jim. Powinieneś zrobić sobie przerwę, wiesz?
- Dziś wieczorem wracam chyba do Arizony.
- Po cholere?
- Cóż, powiedzmy, że mam tam sprawy do zakończenia.

George usiadł naprzeciw niego i nabrał sobie widelcem ogromną porcję smażonego boczku i rzadkiej jajecznicy.

- Nie rób niczego głupiego, Jim. Znam cię dobrze. W encyklopedii przy haśle „kamikaze” jest twoje zdjęcie.

– A czy śniadanie o wartości energetycznej cztery tysiące kalorii nie jest formą samobójstwa?

– Muszę regenerować siły... Ta Valerie to bardzo wymagająca kobieta.

– Chyba nie...

– Tańczyliśmy do dziesięć po drugiej. Polka, fokstrot, walc, shimmy, shake, charleston, twist, frug, locomotion, turkey trot, wszystko.

– Podobało ci się, co?

– Pewnie. Powiem ci jeszcze coś. Chyba się zakochałem.

Jim zostawił George'a nad bekonem i jajecznicą i pojechał do szkoły. Sny ostatniej nocy sprawiły, że postanowił zajrzeć do książki znalezionej przez Johna Ng – „Legendy Navajo”.

Musiał poznać jak najwięcej ewentualnych słabych punktów Coyote. Był pewien, że jedynym sposobem pokonania ducha jest oszukanie go.

Tego ranka tereny szkoły były prawie całkowicie opustoszałe, tylko paru uczniów rozwieszało kolorowe proporce przed popołudniowym meczem. Drużyna West Grove od dawna rywalizowała zawzięcie z drużyną szkoły w Asuzie, ale nigdy nie udało jej się wygrać czy choćby osiągnąć remis. W drodze do budynku Jim spojrzał ku niebu. Wyglądało dziwnie, zasnuwały je ciężkie, spiętrzone chmury. Miał wrażenie, że w powietrzu wisi jakaś groźba.

Ruszył wywoskowanym korytarzem w stronę swojej klasy. Pan Wallechinsky, szkolny strażnik, wychodził właśnie z pokoju Susan Randalf.

– O, pan Rook! Orientuje się pan może, kiedy wraca pani Randall? Pożyczyła projektor z pracowni naukowej i chcielibyśmy go dostać z powrotem.

– Chyba dopiero za parę dni, panie Wallechinsky. Może po prostu go pan im zwróci?

– Nie ma sprawy.

Jim sięgnął po klucz, otworzył drzwi i stanął jak wmurowany. Sala była kompletnie

zdeprawiona. Wszystkie stoliki wywrócono, niektóre połamano na kawałki. Wszędzie leżały komputery z porozbijanymi monitorami, połamanymi klawiaturami i potrzaskanymi drukarkami. Portrety Szekspira, Marka Twaina i Walta Whitmana zdarto ze ścian i porwano na strzępy. Świetlówki zwisały na kablach z sufitu, a biurko Jima leżało na boku, wysypując z siebie zawartość.

Po ścianach, z których wydarto całe płyty gipsu, biegły przecinające się wyżłobienia, przypominające ślady gigantycznych pazurów. Jedna bruzda przecinała ramę i powierzchnię tablicy, sięgając prawie ściany.

Jim postąpił parę kroków w głąb klasy i powąchał powietrze, tak jak zrobiłaby to pani Vaizey. Poczł ciężki odór niedźwiedzia oraz zjełczały odór dzikiego psa. Podniósł z podłogi pierwsze wydanie *Green Fruit Peale*'a Bishopa. Dostał ją od ojca w dniu absolutorium. Miała połamany grzbiet, a połowa stron wysypała się, kiedy ją otworzył.

Ona tu jest, pomyślał. Nie sądził, by mogła podążyć za nim do Los Angeles, ale najwyraźniej tak właśnie było. To dlatego dziadek usiłował nakłonić go do ucieczki – jak najszybciej i jak najdalej. Coyote nie zamierzał wybaczyć i zapomnieć, nawet mając przy sobie swoją przyszłą małżonkę, a przecież nie miał powodu, by podejrzewać, że Jim będzie próbował ją uwolnić.

Choć może i nie... Może wyczuł u Jima tę determinację, która sprawiła, że zgłosił się do nauczania w klasie specjalnej. Może zrozumiał, że Jim nigdy nie zrezygnuje z Catherine.

Jim podniósł biurko i wziął się do ustawiania krzeseł i stolików. Podłoga usiana była podartymi wierszami, esejami i potłuczonym szkłem. Dla tych uczniów napisanie jednego składnego zdania stanowiło ogromny trud, a teraz większość owoców ich mozolnej pracy wałała się po podłodze. Jim wziął do ręki esej Marka Foleya na temat Ripa van Winkle: „Rip van Winkle pozwalał swoim dzieciakom biegać bez rządnych butów i gacie jego syna spadali zawsze na dół”. Kiedy pomyślał o esejach, jakie Mark teraz potrafi pisać, poczuł ból, że ktoś potraktował

jego pierwsze dzieło z takim brakiem szacunku. Podniósł kolejną kartkę, ostatni esej Marka o Walcie Whitmanie: „Walt Whitman był gejem. Całował umierajonych żołnierzy podczas wojny domowej, częściowo w odruchu ludzkiej solidarności, a częściowo, gdyż go to podniecało. Niemniej jednak kochał swoją matkę i zawsze odnosił siem z szacunkiem do kobiet. Pisał o »radosnym domu pełnym młodych dam« i »Nigdzie nie widziałem tak wielu eleganckich, siwowłosych dam... jakich nie znał żaden czas ni kraj, tylko nasz«,,.

Ortografia Marka wciąż jeszcze pozostawiała sporo do życzenia, ale jego umiejętność interpretacji tego, co przeczytał, bardzo się rozwinęła. Henry Czarny Orzeł miał rację: Coyote umiał wybierać słabe punkty swoich przeciwników. Wiedział, co cenili najbardziej, i niszczył to bez najmniejszych skrupułów.

Jim wciąż jeszcze zbierał kartki papieru i książki oraz kawałki szkła, kiedy pojawił się Wallechinsky.

– Co tu się stało, do cholery? – zapytał.

– Wrócił nasz wandal – odparł Jim.

– To nie do wiary! Zaglądałem tu przed godziną!

– I niczego pan nie słyszał ani nikogo nie widział?

– Tylko tego pańskiego wielkiego, grubego ucznia... jak on się nazywa, Gloach?

– Russell Gloach, zgadza się. Ale wolałbym, żeby nie nazywał go pan wielkim i grubym.

Proszę wybrać jakieś inne określenie. Może coś o jego włosach?

– Dobra, widziałem pańskiego wielkiego, grubego, ostrzyżonego na jeża ucznia. Był tu może jakiś kwadrans temu.

– Kogoś jeszcze?

– Bo ja wiem. Niech się zastanowię... zaglądało tu jeszcze paru. Ta Indianka, ona też tu była.

– Catherine Biały Ptak? Ona tu była?

– Widziałem ją na własne oczy, maszerującą korytarzem. Rozczesywała sobie włosy.

– Wie pan może, gdzie potem poszła?

– A niby skąd? W każdym razie wcale się nie spieszyła.

Wróciła, pomyślał Jim. Poluje na mnie.

– W porządku, panie Wallechinsky – powiedział. – Tylko spokojnie. Teraz lepiej zamknijmy tę salę.

– Nie chce pan, żebym tu posprzątał?

– Nie, niech pan to zostawi tak, jak jest. Po meczu zadzwonię na policję i nie chciałbym, żeby coś się stało z ewentualnymi dowodami.

– W takim razie może niech pan też przestanie już tu porządkować, panie Rook. Założę się, że zostawił pan już tyle odcisków palców, że można by udowodnić, że pan to zrobił.

Jim rzucił na podłogę esej Marka o Whitmanie.

– Ma pan słuszość – stwierdził. – Ale jedną sprawę muszę dziś uporządkować.

Wyszedł na dwór i obszedł wszystkie budynki, lecz nigdzie nie znalazł Catherine. Na boisku zobaczył Grega Lake'a, siedzącego na trybunie i rozmawiającego z Sherri Hakamoto.

– Hej, panie Rook. Nie może się pan doczekać meczu?

Jim osłonił oczy dłonią i rozejrzał się dookoła.

– Widzieliście dziś Catherine?

– Catherine? – zdziwił się Greg. – Nie. Sądziłem, że jeszcze jest w Arizonie.

– Ja również, ale najwyraźniej nie. Tak przy okazji, nie wchodźcie dzisiaj do waszej klasy

Miał miejsce kolejny akt wandalizmu.

– Hej, ale moim rzeczom nic się chyba nie stało, co? Zostawiłem tam mój cały projekt.

– Nie wiem. Później będziesz miał okazję to sprawdzić. A tymczasem uważaj na Catherine, dobrze?

– Dobrze, panie Rook.

Jim pożyczył od Wallechinsky'ego zapasowy komplet kluczy i następne dwadzieścia minut spędził na przeczesywaniu terenu szkoły. Ponieważ była sobota, większość budynków zamknięto, lecz udało mu się sprawdzić pracownię plastyczną i halę sportową. Zajrzał nawet do żeńskiej szatni, ale kiedy otworzył szafkę Catherine Biały Ptak, nie znalazł w niej niczego, co pozwoliłoby stwierdzić, że wróciła. Książki, czasopisma, koszulki, kosmetyki – oraz wycięte z gazet zdjęcia modelek i młodych gwiazd rocka o zamyślonym spojrzeniu. Z fotografii przy lustrze szczerzył się Kurt Cobain.

Wreszcie musiał się poddać. Zwrócił klucze Wallechinsky'emu, przeszedł do pokoju nauczycielskiego i sięgnął po telefon. Czekał i czekał, aż w końcu usłyszał głos Henry'ego Czarnego Orła.

– Pan Czarny Orzeł? Tu Jim Rook. Nie, nie szkodzi, że nie zarezerwowałem pan biletów. Nie, nawet jestem z tego zadowolony. Nie musimy lecieć do Arizony. Catherine jest tutaj.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał Indianin.

– Catherine jest tutaj – powtórzył Jim. – Moja klasa została zdemolowana w ten sam sposób co szatnia i moje mieszkanie. Nasz strażnik powiedział mi, że widział ją na korytarzu.

– Coyote nie wypuściłby Catherine od siebie.

– Nie rozumiem.

– To proste, panie Rook. Skoro Catherine tu jest, Coyote też znajduje się w pobliżu.

– Mam nadzieję, że mnie pan nabiera.

– Nie, panie Rook. Mówiłem panu o jego zaborczej naturze.

– Więc czego on teraz chce?

– Chyba bardzo go pan rozzłościł. Może i pana nie lekceważy, ale wygląda na to, że chce panu pokazać, kto tu rządzi.

– Dlaczego miałby się mną przejmować? Jestem przecież tylko białym człowiekiem.

– Widział, jak bardzo troszczy się pan o swoich uczniów, panie Rook. Może wie, że nie spocznie pan, dopóki nie wydrze Catherine z jego rąk.

Ale Jim wiedział, że to nie może być całe wyjaśnienie. Nawet gdyby wrócił po Catherine, Coyote mógłby poszczuć na niego Niedźwiedzią Pannę albo skorzystać ze swojej mocy, by go zabić, zanim się do niego zbliży. Nie musi się go obawiać. Więc dlaczego odbył tę podróż, żeby go zniszczyć?

I wtedy nagle przyszło mu do głowy, że może Coyote naprawdę ma się czego obawiać – czegoś, o czym on sam jeszcze nie wie. Może jednak jestem w stanie go zabić, pomyślał. To musi mieć jakiś związek z moją zdolnością widzenia duchów. Nie tylko duchów białego człowieka, ale i indiańskich duchów.

– Jest tam pan? – zapytał zniecierpliwiony Henry Czarny Orzeł.

– Tak, tak, przez cały czas. Proszę posłuchać, powinien pan odwiedzić Paula i Szarą Chmurę i zapytać, który indiański duch jest największym wrogiem Coyote. Proszę ich zapytać, którego ducha najłatwiej będzie namówić do zabicia go.

– Jest ich wielu. Nie znam wszystkich.

– Cóż, proszę zapytać synów. Potem niech pan przyjedzie do szkoły tak szybko, jak się da.

– Ale.

– Żadnych „ale”, panie Czarny Orzeł. Jest mi to pan winien. Co ważniejsze, jest pan to winien własnej córce. To może być dla niej jedyna droga ratunku.

Drużyna Asuzy wraz z kibicami przyjechała tuż po dwunastej. Doktor Ehrlichman zorganizował piknik pod drzewami w północnej części szkolnego parku. Jim obszedł teren szkoły z płaszczem przerzuconym przez ramię, rozglądając się uważnie wokół w poszukiwaniu Catherine lub Coyote. Jeżeli wciąż jeszcze tu byli, starali się nie rzucać w oczy, ale Jim był

przekonany, że wyczuwa ich obecność. Za drzewami dostrzegał cienie tańczące w miejscach, gdzie nie powinno być żadnego cienia. Ciarki przebiegały mu po grzbiecie, na myśl przyszedł mu cytat z „Makbeta”: „Coś mnie nagle w palcu rwie, znak, że ktoś zły zbliża się”.

Przeszedł między drewnianymi rozkładanymi stołami, przy których drużyna West Grove konsumowała lunch. Mitch Magro, nowy kapitan, usiłował wzbudzić w Partaczach bojowego ducha.

– Jesteśmy to winni Martinowi, jasne? Nie umarł po to, żebyśmy teraz dostali cięgi od Asuzy. Wiele nas nauczył, nie? Był dla nas natchnieniem. Więc kiedy wyjdziemy dziś na to boisko, spierzemy tym facetom tyłki. Gdy zdobędziemy piłkę, atakujemy. Jeżeli ktoś oberwie, niech sobie pomyśli, jak ciężko oberwał Martin. Kiedy najdzie was ochota, by skapitulować, odegnać te myśli. Powiem wam jedno: wolę umrzeć, niż przegrać, i chciałbym, żebyście wszyscy czuli podobnie.

Russell Gloach siedział w pewnym oddaleniu od reszty zespołu, krojąc wyjętego z bułki hamburgera na małe kawałki.

– Jakie wieści z frontu, Russell? – zapytał go Jim.

– Och, doskonale. Uwielbiam te dietetyczne burgery. Ale mogę pożerać je setkami.

– Daj spokój, Russell. Świetnie ci idzie.

– Jestem słaby, panie Rook, przysięgam. Jestem tak cholernie słaby, że ledwie stoję, nie mówiąc już o graniu.

– Posłuchaj, Russell – powiedział Jim. – Dzieje się tu dzisiaj coś dziwnego. Catherine wróciła.

– Co w tym dziwnego?

– Cóż, nie jest zupełnie sobą. Przechodzi coś jakby załamanie nerwowe. Jeśli ją zobaczysz, złap ją i natychmiast pošlij kogoś po mnie.

– Mam ją łapać? A jeśli ona tego nie chce? Zwłaszcza w moim wykonaniu? Dlaczego nie poprosi pan o to Brada Kaisera?

– Nieważne, po prostu złap ją. I nie puszczaj.

– To rzeczywiście dziwne – powiedział Russell. – Powie mi pan, co się tu dzieje, czy nie?

– Sam nie bardzo wiem – odparł Jim. – Ale obawiam się, że to coś naprawdę niedobrego.

– Chyba nie coś w stylu tej afery z voodoo, co? To mnie naprawdę przerażyło. Potem tygodniami śniły mi się koszmary.

– Nie wiem. Ale jeżeli będę mógł liczyć na to, że złapiesz Catherine, skoro ją tylko zobaczysz, i że zawiadomisz mnie, jeżeli wydarzy się coś naprawdę dziwnego...

– Nie ma sprawy, panie Rook. Zrobię to.

Nagle Jim dostrzegł cień kobiecej sylwetki wśród drzew. Ale powietrze było mgliste od dymu z *barbecue*, po terenie krążyli uczniowie i ich rodzice, zasłaniając mu widok. Spojrzał ponownie w tamtą stronę. Kobięca sylwetka zniknęła, lecz mimo to przeprosił Russella i ruszył ku drzewom. Zatrzymał się i rozejrzał naokoło. Wiatr przyniósł mu zapach piżma, wraz z delikatnym iskrzeniem energii psychicznej. Wydawało mu się też, że słyszy rytm wybijany na bębnie: uderzenie, przerwa, uderzenie.

Wrócił do stołu. Russell zjadł już swojego hamburgera i zapisywał teraz w dietetycznej tabeli ilość skonsumowanych kalorii.

– Każą nam być całkowicie uczciwymi... jakby to była spowiedź czy co – oświadczył z urazą.

– A co się dzieje, jeśli w tajemnicy zjesz całą paczkę herbatników? Co wtedy?

Russell zaczerwienił się i wymamrotał:

– Robi się pięć rund wokół boiska w nadziei, że wszystko się spali, i tyle. Autorzy współczesnych diet są bardzo wyrozumiali.

– W porządku... ale pamiętaj o jednym. Dziś po południu nie chcę widzieć u ciebie ani śladu wyrozumiałości. Masz wyjść na boisko i załatwić tych gości. Jesteś taranem, Russell. Chcę, żebyś taranował. Chcę, żeby za dwadzieścia lat ludzie mówili: „Pamiętasz tamtą sobotę? Tamej soboty Russell Gloach w pojedynkę zrównał z murawą całą drużynę Asuzy. Był wspaniały. Był jak jednoosobowe stado słońi”.

– Zrobię to – uśmiechnął się Russell. Ale Jim jeszcze nie skończył.

– Może też zdarzyć się coś innego... Coś absolutnie nieoczekiwanego. I jeżeli tak będzie, chciałbym, żebyś był na to przygotowany.

– Pan to mówi serio, panie Rook? – Russell spowaźniał nagle.

– Tak, Russell. Dzisiejszy dzień nie będzie zwyczajnym dniem, gwarantuję ci to. Popatrz na te chmury, nadciągające ze wschodu. Wiatr się zmienił. Cokolwiek wydarzy się dziś po południu, pamiętaj o swojej klasie, o swoich przyjaciółach, i rób to, co uważasz za właściwe.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, panie Rook.

– Kiedy nadejdzie ta chwila, na pewno zrozumiesz.

– W porządku, panie Rook. – Russell utkwiał smutne spojrzenie w pustym talerzu. – Czy pan wie, co jadałem na śniadanie jeszcze sześć tygodni temu? Dwie kanapki z masłem orzechowym i marmoladą, a do tego usmażone na krucho plastry boczku i frytki.

– To właśnie zabiło Elvisa – zauważył Jim.

– Pewnie, wiem o tym. Tak daleko bym się nie posunął. Zawsze przegryzałem to pomidorem i listkiem sałaty.

Przed trzecią, kiedy miał zacząć się mecz, niebo było już zupełnie zaciągnięte chmurami.

W oddali, nad górami Santa Monica, za chmurami zapalały się błyskawice, niczym flesz w ukrytej za zasłonami kabinie fotograficznej. Orkiestra West Grove grała „Pasadenę” tak, jakby zależało jej na jak najszybszym zakończeniu występu. Dopingujące zespół dziewczyny

podskakiwały i maszerowały w rytm muzyki. Powietrze naładowane było elektrycznością.

Jim usiadł na trybunie po południowej stronie boiska, co chwila zerkając na zegarek. Henry Czarny Orzeł wciąż się nie zjawiał, lecz Jimowi jakoś udawało się przekonać samego siebie, że nie ma jeszcze powodów do niepokoju. Nigdzie nie dostrzegł Coyote ani Catherine i wyglądało na to, że być może uznali zdemolowanie klasy Jima za wystarczające ostrzeżenie i nie zamierzali dokonywać dalszych zniszczeń, ale nie był tego pewien.

Dokładnie w chwili, gdy drużyna West Grove rozpoczęła mecz, zjawił się George Babouris z Valerie Neagle u boku. George miał na sobie szkarłatną wiatrówkę o dwa numery za małą, a Valerie Neagle włożyła suknię z imitacji lamparciej skóry o dekolcie o dwa cale za dużym jak na jej wiek. Podczas gdy widzowie klaskali na stojąco, Jim przecisnął się do nich i powiedział do Valerie:

– Hej, wyglądasz oszałamiająco.

– Dziękuję – odparła Valerie, składając mu na policzku wielkiego czerwonego buziaka. –

Zawsze wiedziałam, że znasz się na rzeczy.

– Posłuchaj – powiedział Jim – wiem, że pora i miejsce nie są najodpowiedniejsze, ale czy mógłbym porozmawiać teraz z panią Vaizey?

Valerie zamrugała pokrytymi tuszem rzęsami.

– Chcesz rozmawiać z panią Vaizey? O czym?

– Coś się tu dzisiaj wydarzy... coś niedobrego. Potrzebuję pani Vaizey jako pośrednika w rozmowie z zaświatami.

Odpowiedź Valerie utonęła w ryku entuzjazmu, kiedy Asuza zdobyła pierwsze punkty.

George ukrył twarz w dłoniach, a Ray Vito, siedzący trzy rzędy za nimi, ulżył sobie długą serią soczystych włoskich wyzwisk.

– Co mówiłaś? – zapytał Jim Valerie.

– Powiedziała, że pani Vaizey mnie opuściła. Zdecydowała, że nadeszła już pora, by się rozpląnąć.

– Teraz? Postanowiła się rozpląnąć właśnie teraz?

– Nie mogłam jej powstrzymać, Jim – Valerie wzruszyła ramionami. – Powiedziała, że wystarczająco długo czepiała się resztek życia i że zaczyna ją to męczyć.

– Ale teraz? Kiedy naprawdę jej potrzebuję?

– Przykro mi, Jim. Rozmawiała z twoim dziadkiem, a potem oboje zniknęli.

– Nie wierzę w to – powiedział Jim. – Oboje ostrzegali mnie przed niebezpieczeństwem.

Oboje przewidywali, że zginę. A teraz znikają i pozostawiają mnie samego.

– Pani Vaizey przekazała ci wiadomość.

– Ach tak? Jak brzmi? „Spoczywaj w pokoju”?

– Nie. Oświadczyła, że już jej więcej nie potrzebujesz. Sam dysponujesz wystarczającą mocą. Powiedziała, że powinieneś wierzyć w siebie i w to, co potrafisz.

– Wspaniale, ale rzecz w tym, że nie wiem, co potrafię. Miałem nadzieję, że pani Vaizey mi to powie.

– Cóż, mnie o to nie pytaj – odparła Valerie. – Powiedziała tylko tyle. A potem po prostu się rozpląnęła. Na moment ogarnęło mnie cudowne uczucie błogości... i za chwilę już jej nie było.

– Zdobyliśmy punkty! – ryknął George nad uchem Jima, niemal rozrywając mu bębenek. –

Magro zdobył punkty! Widziałeś, jak biegł? Ten chłopak to geniusz!

Jim ujął dłoń pani Neagle i wycisnął na niej pocałunek.

– Dzięki, Valerie. Jeżeli poczujesz jeszcze kiedyś obecność pani Vaizey, możesz jej powiedzieć, że bardzo mi jej brakuje.

Usiadł z powrotem. Zrobiło się jeszcze ciemniej, chmury przesuwały się po niebie przypominały arkusze papieru namoczone w atramencie. George powiedział:

– Mam nadzieję, że nie będzie padać. Zostawiłem sandały przed domem.

– Sandały?

– Greckie. Kupiłem je w Agnos Ioannis. Są doskonałe, ale jeśli się je zmoczy, zwijają się jak suszona ryba.

Jim spojrzał na drugą stronę boiska – i ponad wykonującymi uniki graczami w hełmach, ponad tłumem kibiców z Asuzy, wymachującym proporcami i transparentami z nazwą swojej szkoły, na samym szczycie trybuny po przeciwnej stronie boiska zobaczył dwie ciemne postaci, odcinające się wyraźnie na tle złowrogiego nieba. Była to Catherine Biały Ptak z rozwianymi długimi włosami, w czarnym, szerokim w ramionach płaszczu ze skóry, oraz Psi Brat, w długim szarym poncho, o oczach skrytych za żółtymi okularami. Coyote, Pierwszy, Który Użył Słów Mocy, znajdował się na terenie szkoły West Grove.

– Przepraszam cię na moment, George – powiedział Jim i przepchnął się przez tłum dopingujących swoją drużynę uczniów West Grove do przejścia. Okrążając boisko nie spuszczał wzroku z Psiego Brata i Catherine. Nie wiedział, czy go dostrzegli, ale był przekonany, że tak.

– Hej, panie Rook! – zawołała Sue–Robin Caufield, wymachując pomponem przy bocznej linii. – Czy to nie wspaniały mecz? Czy ten fullback Asuzy nie był zabójczy? Chyba chodzę do niewłaściwej szkoły. Oczywiście jeśli chodzi o chłopaków, nie o poziom nauczania – dodała szybko.

Jim kiwnął jej głową z uśmiechem, choć ledwie słyszał jej słowa. Jeden z guardów Asuzy przedarł się przez obronę West Grove i zaliczył przyłożenie, więc wszyscy znów zerwali się z miejsc. Na ułamek sekundy Jim stracił z oczu Psiego Brata i Catherine. Musiał podskakiwać, by odszukać ich wzrokiem. Na szczęście ostatnie promienie słońca zabłyszczały w żółtych okularach Psiego Brata, pomagając mu ich zlokalizować. Nie bardzo wiedział, co zamierza zrobić, kiedy już do nich dotrze, ale oboje byli niebezpieczni i nie chciał, by przebywali w West

Grove.

Był już prawie po drugiej stronie boiska, kiedy ktoś walnął go w plecy. Obrócił się, instynktownie unosząc rękę w obronnym geście, lecz okazało się, że to tylko Ben Thunkus, trener drużyny West Grove.

– Co za mecz, Jim! Coś mi mówi, że tym razem wygramy! Podawaj, Beidermeyer, na rany Chrystusa! – wrzasnął do jednego z graczy.

– Ben, chcę, żebyś miał oczy i uszy otwarte – powiedział Jim. – Osoba, która zabiła Martina, jest na widowni.

– Wiesz, kto to jest? Myślałem, że to ci Indianie.

– Nie, to nie oni. Ale nie mogę ci wytłumaczyć, kto to naprawdę zrobił, jeszcze nie teraz.

– W porządku, Jim.

Jim dotarł do trybuny, na której stali Psi Brat i Catherine. Gdy piął się przejściem w górę, West Grove czterokrotnie przesunęło się w stronę bramki przeciwnika – od linii końcowej Asuzy dzieliło ich zaledwie piętnaście jardów. Wszyscy podnieśli się i zaczęli dopingować, gwizdać i śpiewać. W powstałym zamieszaniu Jim po raz drugi stracił z oczu Psiego Brata i Catherine. Na chybił trafił wybrał rząd, w którym, jak mu się wydawało, widział ich przedtem, i zaczął się przepychać przez widzów.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, przepraszam...

Kiedy dotarł na miejsce, nie znalazł ich tam. Zrozpaczony rozejrzał się dookoła. Złapał za ramię potężnego mężczyzny w golfowej czapce założonej tyłem do przodu.

– Czy nie widział pan może dwojga ludzi, którzy stali tu przed chwilą? Dziewczyny w czarnym płaszczu i Indianina w żółtych okularach?

Mężczyzna rozejrzał się i zerknął za siebie, jakby spodziewał się, że tamtych dwoje ukryło się w cieniu jego olbrzymiego tyłka, a potem spojrzał na Jima i tępo potrząsnął głową.

Jim przepychał się dalej. Asuza odzyskała piłkę i podniecenie na stadionie opadło. Wszyscy usiedli na miejsca, więc Jim mógł ponownie rozejrzeć się po trybunach. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem Psi Brat i Catherine zdołali mu się wymknąć.

Cóż, pomyślał, jest jeden pewny sposób sprawdzenia, gdzie się podziali.

Zdjął z szyi gwizdek i dmuchnął. Wielki mężczyzna w golfowej czapce patrzył na niego z ciekawością. Jim czekał, przepatrując boisko i położone za nim tereny szkolne. Nic – nigdzie ani śladu Psiego Brata czy Catherine. Dmuchał w gwizdek ponownie, a potem jeszcze raz. Psi Brat uniósł ramiona w górę i wtedy Jim zauważył go. Oboje z Catherine znajdowali się po drugiej stronie boiska, zaledwie parę rzędów od miejsca, w którym Jim rozmawiał z George'em Babounsem. To niemożliwe, pomyślał. Nikt nie potrafiłby pokonać takiego dystansu w kilka sekund, nawet mistrz olimpijski. A jednak stali tam, i teraz wiedzieli już bez wątpienia, że i on jest na widowni i że ich obserwuje.

W tym momencie dotarł do niego ogrom potęgi, z jaką miał do czynienia, i poczuł głęboki lęk.

Rozdział X

Zszedł z trybun i ruszył w stronę budynku szkoły. Niebo było teraz czarne, silny wiatr tarmosił krzaki. Jim sam za dobrze nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Nie mógł wezwać policji, bo nie potrafił udowodnić, że Psi Brat i Catherine dopuścili się czegoś bezprawnego, a z powodu odejścia pani Vaizey nie mógł już nawet skorzystać z usług swego jedyne go doradcy z zaświatów.

Był już prawie przy głównym wejściu, gdy od strony parkingu nadszedł Henry Czarny Orzeł, ubrany w czarną skórzaną kurtkę z frędzlami, z włosami przewiązanymi opaską. Pod pachą niósł niewielki pakunek owinięty bizonia skórą, mocno ściągnięty nawoskowanym sznurem i ozdobiony starymi, wyblakłymi piórami.

– Udało mi się porozmawiać z Paulem i Szarą Chmurą – oznajmił. – Obaj są bardzo zaniepokojeni obecnością Coyote w mieście. Ten duch jest bardzo mściwy, więc przypuszczają, że zamierza zamordować wielu ludzi, by pokazać panu, że jest potężniejszy od wszystkich duchów białych ludzi.

– Powiedzieli panu może, jak go powstrzymać?

– Powtórzyli tylko to, co już wiemy z legend. Coyote musi zginąć z ręki pobratymca i wtedy należy zabrać mu serce. Jedyne nienawiść do Coyote jest większa niż strach przed nim, to Duch Deszczu. Według legendy Coyote podstępem uwiódł jego córkę, a kiedy to się stało, dziewczyna umarła ze wstydu, bo miała zachować czystość dla szlachetnego myśliwego o imieniu Łowca Jeleni.

– Jak możemy wezwać tego Ducha Deszczu?

Henry Czarny Orzeł pokazał mu pakunek z bizoniej skóry.

– Mam tutaj święte kości, przywiezione przez Szarą Chmurę z rezerwatu Wide Ruins.

Wykorzystywano je do wzywania Ducha Deszczu podczas suszy. Ale tym razem będziemy musieli poprosić go o przysługę innego rodzaju.

– A nie zażyczy sobie czegoś w zamian?

– Owszem – potwierdził Henry Czarny Orzeł. – Będzie trzeba go obdarować. Jak pan myśli, co moglibyśmy mu zaoferować?

– To zależy od tego, co lubi. Ale co można podarować duchowi, który i tak ma już pewnie wszystko?

– Mógłby pan mu dać swój dar widzenia rzeczy ukrytych.

– Myśli pan, że poszedłby na to?

– Czemu nie? To dar jak każdy inny. Pewien człowiek oddał Duchowi Bizonów swój melodyjny głos w zamian za pełną spiżarnię dla swojej rodziny.

Jim milczał przez chwilę. Kiedy odkrył, że potrafi dostrzegać duchy, oddałby swój dar pierwszemu lepszemu, kto byłby skłonny go przyjąć, i jeszcze by się z tego cieszył. Teraz jednak wydawało mu się to tak naturalne i normalne, że czułby się, jakby wydarto mu oko. Ale jednooki człowiek nadal widzi, a najważniejsze było uratowanie Catherine i uwolnienie świata od Coyote.

– Niech będzie – powiedział. – Jeżeli zechce, może wziąć mój dar widzenia.

– Ma pan szczęście, że dysponuje pan czymś, co może mu pan zaoferować – odparł Henry Czarny Orzeł. – Czasem duch żąda dłoni czy stopy, a nawet męskości. Ale musimy się spieszyć.

Widział pan już Coyote i Catherine?

– Ostatnim razem kręcili się wśród widzów. Próbowałem ich dopaść, ale kiedy już prawie dopchałem się do nich, nagle znaleźli się po drugiej stronie boiska.

– A co by pan zrobił, gdyby udało się panu ich dogonić?

– Nie wiem. – Jim wzruszył ramionami. – Jeszcze tego sobie nie przemyślałem.

– W kontaktach z Coyote to konieczność. Jest zbyt sprytny, by można go było zaatakować bez przygotowania. Teraz chodźmy między te cedry i spróbujmy przywołać Ducha Deszczu.

Od strony boiska rozległy się okrzyki radości, gdy Russell Gloach przechwycił dwudziestojardowe podanie Micky'ego McGuivera.

– Galopem, Russell! – wrzeszczał kapitan. – Przebieraj tymi cholernymi nogami!

Jim nawet nie próbował zobaczyć, co się dzieje. Potrafił wyobrazić sobie Russella truchtającego w słoniowatym tempie przez boisko. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się pokonać jard, zanim gracze Asuzy go powalą. Ruszył za Henrym Czarnym Orłem pod trzy wysokie cedry, rosnące na wzniesieniu w północno-zachodnim rogu szkolnych terenów. Ich nisko zwisające gałęzie osłaniały przed wiatrem i deszczem. Było pod nimi ciemno i cicho.

Henry Czarny Orzeł usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i rozwiązał swój pakunek.

Jim stanął obok niego, przyglądając się uważnie.

– Nie jestem szamanem – powiedział Henry Czarny Orzeł – więc podczas rytuału przywołania Ducha Deszczu będę musiał polegać na pańskim darze.

Starannie rozprostował bizonią skórę. Spoczywało na niej pięć pożółkłych kości, przypominających ludzkie kości przedramienia. Ich końce przewiązane były kosmykami włosów i wyblakłymi czerwonymi wstążkami. Henry Czarny Orzeł podniósł dwie z nich i zaczął stukać nimi o siebie.

– Proszę usiąść przede mną i opróżnić umysł ze wszystkich myśli o Coyote i Catherine – poinstruował Jima. – Musi pan także opróżnić umysł z myśli o sobie... ze wszystkich lęków, pytań, wątpliwości. Pański umysł powinien być tak mroczny i pusty jak skryty za gwiazdami wszechświat, gdzie jest jedynie ciemność, w której mieszkają Wielcy i Dawni.

Jim powoli usiadł na suchej trawie ze skrzyżowanymi nogami. Ostatni raz siedział tak podczas obiadu w Koto, japońskiej restauracji, i przez resztę wieczoru chodził jak Groucho Marx. Henry Czarny Orzeł stukał kośćmi, stopniowo przyspieszając. Zaczął nucić, a potem śpiewać, na zmianę w języku Navajo i po angielsku:

– „Duch deszczu żyje na zachodzie... Mieszka na szczycie najwyższej góry, jego płaszczem są chmury... W płaszczu nosi wodę i pokrywa nim suchą ziemię... Jest szczodry i sprawiedliwy, jest obrońcą wszelkiego życia... Prosimy go, by się zjawił, byśmy mogli oddać mu cześć i poprosić o szczególną przysługę...”.

Pieśń powtarzała się monotonnym, gruchającym zaśpiewem i Jim nie musiał się szczególnie starać, by opróżnić swój umysł – śpiew Henry’ego Czarnego Orła był tak hipnotyczny, że wykonał za niego większą część pracy. Nie zamykał oczu, ale czuł, jak z głowy uciekają mu wszystkie świadome myśli. Wkrótce pozostała tam jedynie ciemność i pustka.

– „Pojaw się, Duchu Deszczu, i użycz nam swojej siły... Pojaw się, byśmy mogli cię ujrzeć... Zrzuć swój płaszcz chmur i stań przed nami, byśmy mogli stać się świadkami twego

powrotu... Pojaw się, Duchu Deszczu! Pojaw się! Pojaw się!”.

Henry Czarny Orzeł śpiewał tak głośno, że dwoje przechodzących obok uczniów zatrzymało się na moment i spojrzęło na nich podejrzliwie. Kiedy się odwrócili, rozblęśło oślepiające światło błyskawicy, zawtórował jej ogłuszający huk i piorun rozszczepił w połowie drzewo cedrowe, pod którym siedział Jim i Czarny Orzeł, momentalnie zapalając je.

– Henry! Na miłość boską, wynośmy się stąd! – krzyknął Jim.

Ale Indianin nie ruszał się z miejsca, nadal opętańczo stukając kośćmi, mrużąc i śpiewając.

Ze wszystkich stron obsypywały go iskry, a cedr trzaskał i skwierczał.

Kilku ludzi zaczęło biec w ich stronę. Henry Czarny Orzeł uniósł kości nad głowę i zawołał:

– „Ukaż się nam, o Duchu Deszczu! Ukaż nam się! Ukaż się i bądź naszym strażnikiem!

Ukaż się i bądź naszym obrońcą!”.

Gdy ostatni raz stuknął kośćmi, ziemia zadrżała od przetaczającego się przez niebo

ogłuszającego gromu. Zanim pierwsi biegnący na pomoc ludzie dotarli do nich, z nieba lunął

deszcz, zacinając wściekle i niemal zatrzymując ich w miejscu. Zdusił płomień i siekł teraz po

gałęziach. Jim spojrzęł w stronę boiska i zobaczył, że większość widzów rozbiegła się

w poszukiwaniu schronienia. Co wytrwali trzymali nad głowami płaszcze i gazety. Mecz trwał

dalej. West Grove i Asuza toczyły bój, w którym stawkę był honor szkoły, i żadna z drużyn nie

zamierzała pozwolić na to, by deszcz jej w tym przeszkodził. West Grove czuło zapach

pierwszego zwycięstwa w tym sezonie, a Asuza za wszelką cenę starała się uniknąć porażki. Fale

deszczu przesuwęły się nad stadionem niczym ociekające wodę firany. Połowa boiska zniknęła

pod wodę. Zawodnicy skakali, kopali i zderzali się ze sobą wśród mglistych fontann, deszcz

spływał po ich kaskach, woda pryskała spod butów.

– Co się dzieje, do cholery? – krzyknął Jim. – Deszczu jest pod dostatkiem, ale gdzie jest

Duch Deszczu?

– Pojawi się! – odkrzyknął Henry Czarny Orzeł. – Musisz uwierzyć!

Deszcz tak się nasilił, że Jim ledwie widział zarysy boiska. Woda wylewała się z rynien budynków szkoły i wypełniała klomby z różami przed głównym wejściem, przelewając się przez wykładane cegłą krawędzie i spływając ścieżką w stronę parkingu. Rodzice i kibice, którzy przyjechali odkrytymi samochodami, biegli teraz na parking, by jak najszybciej postawić dachy. Kolejna pajęczasta błyskawica przecięła niebo i po chwili ziemia znowu zadygotała.

– Uwierz! – wrzeszczał Henry Czarny Orzeł. – Musisz uwierzyć!

Jim podniósł się i wyszedł spod drzewa. Lodowaty deszcz natychmiast przemoczył go do suchej nitki. Mokry płaszcz zaciążył mu na ramionach, włosy przylepiły się do czoła. Duch Deszczu istnieje, powiedział sobie. Duch Deszczu istnieje, a ja w niego wierzę. Mam dar. Potrafię go dostrzec. Wierzę w niego i mogę go zobaczyć. Wierzę w niego i potrafię go zobaczyć.

Wśród ulewnego deszczu, wprost przed sobą, dostrzegł rozmyty zarys sylwetki wysokiej istoty podobnej do człowieka, lecz nie będącej człowiekiem. Miała dumne, wyniosłe oblicze i ciało spowite w falujące burzowe chmury.

Jim czuł jej moc – zimną i przenikliwą jak sam deszcz. Nigdy nie wierzył w istnienie duchów władających żywiołami, ale teraz miał przed sobą dowód na prawdziwość opowieści o nich – postać o wodnistych, spłowiałych i niewyraźnych konturach, z czasów, gdy Ameryka wyciosywana była ze skały, wiatru i wody.

Osunął się na kolana. Czuł się zupełnie bezradny i nic nie znaczący. Miał wrażenie, jakby wszystko, co dotąd przyjmował za oczywiste fakty, rozplynęło się bez śladu niczym błoto i liście zmywane burzą Ducha Deszczu.

Henry Czarny Orzeł podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Widzi go pan, prawda? – zapytał.

– Tak – potwierdził Jim. – Jest jak deszcz.

– Nawet pan nie wie, jak bardzo panu zazdroszczę – powiedział Henry Czarny Orzeł. –

Widzieć przejawy mocy ducha to jedno, ale ujrzeć jego oblicze...

– Co teraz robimy? – zapytał Jim. – Jak nakłonimy go do zabicia Coyote?

– Poprosimy go o to. To jedyny sposób – odparł Indianin, po czym ukląkł obok Jima, uniósł obie ręce i powiedział: – O, wielki duchu, skrzywdził nas Pierwszy, Który Użył Słów Mocy. Jest tu dzisiaj wraz z moją córką, Catherine Biały Ptak, którą zamierza poślubić. Oszukał mnie tak samo, jak kiedyś ciebie, więc w imieniu własnym i mojej córki błagam cię, byś zabił go i wydarł mu serce z piersi.

Jim nie spuszczał wzroku z Ducha Deszczu, ale nie zauważył żadnej reakcji. Duch dryfował w deszczu, a jego utkany z chmur płaszcz kłębił się i przelewał. Chwilami dostrzeżenie go stawało się niemożliwością.

– Proszę cię, wielki duchu. Poniżam się przed twoim obliczem... – Henry Czarny Orzeł rozpląszczył się na ziemi z rozłożonymi szeroko ramionami, zalewany strumieniami deszczu.

Podszedł do nich uczeń ostatniej klasy, Franklin Sharp. Miał problemy z nauką, ale był genialnym stolarzem.

– Wszystko w porządku, panie Rook? – zapytał, podejrzliwie przyglądając się Indianinowi.

– Oczywiście, Franklin. Wracaj na trybuny i dopinguj naszych.

– W życiu nie widziałem takiego deszczu, panie Rook.

– Hmm, ja chyba też nie. Może powinieneś zabrać się za budowanie arki?

Kolejny piorun rozświetlił szarość deszczu niczym światło stroboskopu. Kiedy Franklin odszedł, Jim odwrócił się z powrotem do Ducha Deszczu, który wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpuścić.

– Musisz nam pomóc! – zawołał. – Nie możesz zostawić nas samych w walce z Coyote!

Musisz nam pomóc! Posiadam dar widzenia! Możesz go sobie zatrzymać, jeżeli zabijesz Coyote!

Usłyszał w głowie szmer niezrozumiałych słów, jakby jakiś głos szeptał mu coś do ucha.

Henry Czarny Orzeł podniósł się z ziemi i powiedział:

– Dziękuję ci, wielki duchu.

– Co powiedział? – dopytywał się Jim.

– Zgodził się nam pomóc. Zabije dla nas Coyote. W zamian chce jedynie pańskiego daru widzenia i jeden z moich palców.

– Jeden z pańskich palców?

– To niska cena za odzyskanie córki, panie Rook.

– Ale przecież nie może pan oddać mu swojego palca!

Henry Czarny Orzeł uniósł prawą dłoń.

– Już to zrobiłem – powiedział. Brakowało mu środkowego palca, z dłoni sterczał jedynie kikut ułamanej kości. Krew ściekała mu po grzbiecie dłoni pod rękaw.

Jim dotknął swojego czoła.

– Ale mojego daru widzenia jeszcze nie zabrał, prawda?

– Zrobi to dopiero po śmierci Coyote. Chce, żeby był pan tego świadkiem.

Jim znowu usłyszał w głowie szmer niewyraźnych słów. Henry Czarny Orzeł wyciągnął z kieszeni chustkę i owinał nią dłoń.

– Mamy iść za nim – powiedział. – Teraz odszuka Coyote i wydrze mu serce z piersi.

Ledwo widoczny Duch Deszczu odwrócił się i zaczął schodzić zboczem w stronę boiska. Jim z trudem za nim nadążał. Deszcz wciąż padał i duch zamazywał się co chwila, pojawiając się i znowu znikając, nie bardziej materialny niż wstęga dymu z ogniska.

Idąc za nim obeszli od tyłu trybuny i przeszli na drugą stronę stadionu. Prawie na samym szczycie trybun stał Psi Brat, z włosami zlepionymi deszczem, oraz Catherine z postawionym do

góry kołnierzem płaszcza. Jim wspiął się na górę i stanął przed nimi.

– Czego chcesz? – zapytał Psi Brat. – Nie dość ci dotychczasowych kłopotów?

– Przychodzę po Catherine – oznajmił Jim. – Jeżeli ją uwolnisz, może pozwolę ci odejść.

– Przybyłem tu, by cię zabić – odparł Psi Brat. Kropelki deszczu skapywały z jego żółtych okularów. – Przybyłem, by zniszczyć wszystko, czego się tknąłeś, i wszystkich, których kochasz.

Twoi uczniowie zginą pierwsi. Potem zabiję wszystkich innych, którzy kiedykolwiek coś dla ciebie znaczyli. Pamiętasz swoją kuzynkę Laureę? Pamiętasz wiersz, który dla niej napisałeś, a ona nawet nie potrafiła go przeczytać? Za parę dni dowiesz się, co się z nią stało, gdy zadzwoni do ciebie siostra twojej matki.

– Co ty próbujesz ze mną zrobić? – ryknął Jim.

– To samo, co twoi pobratymcy zrobili ze mną – uśmiechnął się Psi Brat. – Wybiliście moich ludzi, a kiedy to zrobiliście, zabiliście i mnie. Cóż, nadeszła twoja kolej, by przekonać się, co to znaczy.

Jim odwrócił się do Catherine. Jej długie włosy ociekały deszczem, była bardzo blada.

– Catherine – odezwał się błagalnym głosem. – Będziesz się przyglądać śmierci niewinnych ludzi?

– Nie tylko zwykłych niewinnych ludzi – uzupełnił z uśmiechem Psi Brat. – Także twoich kolegów i koleżanek z klasy, Catherine. Całej drugiej klasy specjalnej, w której nauczyłaś się, jak zapomnieć o stylu życia Navajo i o wierze Navajo... i nauczyłaś się, jak zapomnieć o mnie.

– Jeżeli skrzywdzisz kogoś z moich uczniów... – zaczął Jim, ale Psi Brat uniósł rękę – była to długa, wąska ręka, przypominająca bardziej szpon niż ludzką kończynę, o wąskim, owłosionym nadgarstku – i powiedział:

– Zamierzam zabić ich wszystkich, panie Rook. Davida, Sharon, Muffy i Marka.

– Catherine – powtórzył Jim. – Catherine, proszę cię! Zastanów się, co robisz. On mówi

o twoich przyjaciółach. Chce zamordować wszystkich twoich przyjaciół.

Dziewczyna odwróciła głowę, ale Jim mógłby przysiąc, że dostrzegł ślad reakcji na jej twarzy.

– Catherine – powtórzył znowu. – Posłuchaj mnie, Catherine...

– Nie możesz mnie powstrzymać – oświadczył Psi Brat. – Twoje duchy są słabsze od moich.

Jim cofnął się o trzy kroki. Piorun uderzył wprost nad nim i poczuł się, jakby niebo waliło mu się na głowę.

– Moje duchy być może są słabsze od twoich, Coyote. Ale duchy Navajo są równie silne jak ty. Przyzywam cię, Duchu Deszczu, zjaw się i ujrzyj, czym stał się Coyote. I błagam cię, zniszcz go: zdław mu oddech, wydrzyj mu płuca i wypruj mu serce z piersi.

Jakiś rodzic z rudawym wąsem odwrócił się do Jima i powiedział:

– Wybacz, koleś, ale tu są dzieci. Jeżeli chcecie używać takiego słownictwa, znajdźcie sobie inne miejsce.

– Och, przepraszam – odparł Jim, lecz zaraz rozłożył szeroko ramiona i krzyknął: – Wielki duchu, przybądź i zabij Coyote! Wielki duchu, przybądź i wydrzyj mu serce!

– Jezu – wymamrotał rudowąsy rodzic. – Powiem o tym dyrektorowi.

W tej samej chwili nagła fala deszczu zalała trybunę i Jim ujrzał Ducha Deszczu sunącego przejściem w górę z mściwym spojrzeniem na wodnistej, ponurej twarzy. W jednej dłoni dzierżył wielką włócznię, z której grotu nieprzerwanie spływała woda, a z drzewca skapywały krople deszczu.

– Nadszedł twój czas, Coyote – powiedział Duch Deszczu gdzieś w głowie Jima. – A dziś nie jest dobry dzień na umieranie.

– Poczekaj! – zawołał Psi Brat, unosząc dłoń. – Spełnij moje ostatnie życzenie, zanim mnie zabijesz.

Catherine przywarła do jego ramienia i choć Jim wciąż powtarzał jej imię, nawet na niego nie spojrzała.

– Dlaczego miałbym na to przystać po tym, co zrobiłeś mojej córce? – zapytał Duch Deszczu.

– Pragnę jedynie wybrać sposób swojej śmierci – wyjaśnił Psi Brat. Z jego twarzy ani na chwilę nie zniknął uśmiech.

Dookoła nich nieliczni kibice, których nie zniechęcił deszcz, dopingowali drużynę West Grove zmierzającą do kolejnego przyłożenia:

– Naprzód, West Grove! Naprzód, West Grove!

– Możesz umrzeć w sposób, jaki sobie wybierzesz – zgodził się Duch Deszczu. – Wybieraj więc, ale szybko. Moja włócznia pragnie posmakować twego serca.

– Ponieważ jesteś duchem burzy, zabij mnie uderzeniem pioruna! Pozwól mi wznieść twą włócznię i przyjąć na siebie pełnię twego gniewu! Jestem tylko na wpół duchem, więc zabije mnie to równie szybko, jak zwykłego człowieka.

Duch Deszczu zawahał się na chwilę.

– Nie słuchaj Coyote! – zawołał Jim. – Po prostu pchnij go i wydrzyj mu serce z piersi.

– Jeżeli wróg pragnie umrzeć w jakiś szczególny sposób, niehonorowo byłoby mu odmawiać.

– Zamierzasz oddać mu swoją włócznię? Genialny pomysł!

– Jestem wodą, przyjacielu. Jestem tylko deszczem. Moja włócznia nie może wyrządzić mi krzywdy.

– W takim razie zgoda. Zrób to. Ale nie zwlekaj. A ty, Psi Bracie, upewnij się, czy Catherine stoi w odpowiedniej odległości od ciebie.

– Myślisz, że mógłbym skrzywdzić najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek

spotkałem?

– Dopilnuj, by stała daleko od ciebie, jasne? – powtórzył Jim.

Duch Deszczu rzucił swoją włóczęgię Psiemu Bratu. Jedynie Jim widział, co się działo. Nikt inny nie potrafił dostrzec Ducha Deszczu w jego płaszczu z kotłujących się chmur. Nikt nie wiedział, dlaczego Psi Brat uniósł nagle ręce, jakby coś łapał. Ale Jim widział go stojącego na szczycie trybuny z włóczęgią Ducha Deszczu wzniesioną wysoko w prawej ręce, skierowaną grotem ku gnanym wiatrem czarnym chmurom.

– Jestem gotów – oznajmił Psi Brat. Zdjął swoje żółte okulary, odsłaniając oczy, które również były żółte.

Duch Deszczu uniósł palec ku niebu. Na moment wszystko zastygło w bezruchu, tylko deszcz wciąż padał. Potem zygzak błyskawicy spłynął węzowo z chmur, kierując się wprost ku nim. Jim cofnął się i odepchnął do tyłu rudowąsą mężczyznę.

– Co się rozpychasz, koleś? – zapytał tamten.

W tej samej chwili piorun uderzył w grot włóczęgi Ducha Deszczu. Psi Brat odrzucił ją z powrotem Duchowi Deszczu, który złapał ją odruchowo – dokładnie w momencie, kiedy uderzył w nią piorun, niosący ze sobą energię o mocy ćwierci miliona woltów.

Jim tylko przez mgnienie oka widział wykrzywione bólem oblicze Ducha Deszczu, a potem cała jego postać eksplodowała parą. Ludzie wokół nich obejrzeliby się, zaintrygowani dziwnymi odgłosami, ale ujrzeli jedynie rozwiewający się szybko obłok pary.

Deszcz jednak nie ustawał, jakby niebiosy oplakiwały utratę swego pana, który władał nimi przez stulecia.

Psi Brat założył okulary i powiedział do Jima:

– Żaden duch nie jest w stanie mnie pokonać. Żaden człowiek nie jest w stanie mnie zabić.

Teraz zademonstruję ci, do czego jest zdolny rozżłoszczony Coyote. – Odwrócił się do Catherine

i położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie – odezwał się Henry Czarny Orzeł. – Zostaw ją w spokoju.

– Ona nie należy już do ciebie, starcze – oświadczył Psi Brat. – Jest moja, i moja pozostanie.

Catherine, przekonajmy się, ile cierpienia jesteś w stanie zadać drużynie pana Rooka.

Powiedziałaś mi, że nigdy jeszcze nie wygrali meczu. Cóż, zobaczymy, jak ciężką porażką zakończy się to spotkanie.

– Catherine, nie! – krzyknął Jim.

Ale wokół jej głowy zaczęły się już zbierać cienie, przygarbiła ramiona, a w jej oczach pojawił się purpurowy poblask.

– Nie! – zawołał ponownie, usiłując złapać ją za ramiona, jednak odepchnęła go na bok.

Poczuł pod palcami twardą szczecinę.

Henry Czarny Orzeł nie potrafił dostrzec przemiany Catherine, ale wiedział, co się z nią dzieje. Wspiął się po trybunie do Psiego Brata, próbując chwycić go za płaszczyk.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał. – To jeszcze dziecko! Nie może się przemieniać na oczach ludzi! Daj jej spokój!

– Kiedy ja przy niej jestem, może się przemienić, gdy tylko tego zapragnę. A tego właśnie teraz chcę. – Psi Brat chwycił Henry’ego Czarnego Orła za kłapy kurtki i strącił go w dół po schodach. Rozległy się krzyki wystraszonych ludzi. George Babouris zawołał do Jima:

– Co się do cholery dzieje, Jim? Co jest grane?

– Wezwij karetkę i policję! – polecił mu Jim. – Przerwij mecz! Wyprowadź stąd wszystkich!

– Chcę wiedzieć, co się dzieje!

– Zrób to, George, tylko o to cię proszę! Zrób to!

Psi Brat zbiegł po stopniach, złapał Jima za ramię i uderzył go otwartą dłonią w twarz. Jim próbował mu oddać, ale nie udało mu się. Psi Brat uderzył go ponownie.

Za jego plecami Catherine urosła i zmroczniała, była teraz „szczeciniasta”, tak jak określił to dziadek Jima. Jej pazury przypominały czarne półksiężycy, w paszczy błyszczały rzędy zakrzywionych zębów.

– Oto moja zemsta, biały człowieku – oznajmił Psi Brat. – Tak właśnie kończą ludzie, którzy wchodzą mi w drogę. Catherine Biały Ptak należy do mnie. Zawsze tak było i zawsze tak będzie, nawet kiedy urodzi mi już dziecko, a sama pozostanie jedynie potworem.

George wybiegł na boisko, wymachując ramionami. Ben Thunkus krzyczał na niego, trener Asuzy również. Ubłoceni gracze zatrzymali się, a ludzie zaczęli odsuwać się od Jima i Psiego Brata. Gdyby byli w stanie dostrzec potwora, w jakiego powoli przeistaczała się Catherine, odsuwaliby się jeszcze szybciej.

– Teraz wymorduję twoje dzieci – powiedział Psi Brat. – Wymorduję twoje dzieci tak, jak biali ludzie wymordowali moje.

Skinął dłonią i Niedźwiedzia Panna ruszyła po schodach w dół. Wszyscy inni widzieli jedynie Catherine – może tylko idącą nieco sztywnym krokiem i z przygarbionymi ramionami, ale Jim widział potężną czarną istotę, zdolną zamordować wszystkich ludzi na boisku i rozerwać ich ciała na strzępy.

– Catherine! – ryknął. – Catherine, posłuchaj mnie!

Psi Brat uśmiechał się coraz szerzej.

– To nic nie da, panie Rook. Pora rozlać trochę krwi.

– Catherine – powtórzył bezradnie Jim. – Catherine, to stworzenie nie jest tobą. To tylko iluzja. Magia, oszustwo, nic więcej. Wciąż tu jesteś, Catherine, wolna i sama mogąca decydować o sobie.

– Nie zdoła jej pan już powstrzymać, panie Rook – oświadczył Psi Brat. – Może pan sobie usiądzie i poogląda całe to przedstawienie? Będzie jeszcze zabawniej niż na rzymskich

igrzyskach.

– Catherine – błagał Jim. – Nigdy nie chciałaś wrócić do rezerwatu, prawda? Nigdy nie chciałaś zostać żoną Psiego Brata. Catherine, posłuchaj mnie. Musisz się uwolnić. Musisz stać się na powrót sobą!

Przerwał, by nabrać powietrza w płuca, a potem wyrecytował:

Tak oto w zimie stoi samotne drzewo

I rzec nie może, jakie miłości przeszły;

Wiem tylko, że lato grało w mojej duszy

Przez krótką chwilę, muzyką ucichła.

Potwór z cienia obejrzał się, w jego oczach zamigotał ból.

– Ruszaj! – rozkazał Psi Brat. – Ruszaj i wypruj im płuca! Odgryź im głowy!

Ale Niedźwiedzia Panna nie poruszyła się. Po chwili wahania podeszła do Psiego Brata.

Deszcz spływał strugami po jej futrze.

– Zabij ich – powtórzył Psi Brat bez przekonania. Jednak Niedźwiedzia Panna nadal stała w miejscu, pochylając się nad nim.

– Zabij! – krzyknął Psi Brat. – Zabij tych skurwieli, zanim ja zabiję ciebie!

Niedźwiedzia Panna zatopiła pazury w ramieniu Psiego Brata. Kiedy usiłował wyrwać się z jej uścisku, uniosła go w górę.

– Puść mnie! – zawołał. – Puść mnie!

Był w połowie człowiekiem, więc nie dysponował dostateczną siłą, by się uwolnić.

A chociaż zabić go mógł tylko inny mieszkaniec zaświatów, ona również była po części duchem

– i o tym właśnie Psi Brat zapomniał.

Z jej gardła dobył się ryk, który przyprawił Jima o dreszcz. Potem rozpruła klatkę piersiową

Psiego Brata jednym potwornym ciosem, przebijając się przez skórę, mięśnie i żebra, i wyrwała

jeszcze bijące serce. Uniosła je w skrwawionej łapie i ponownie ryknęła.

Wokół Jima rozległy się wrzaski przerażonych ludzi. Tłum musiał sądzić, że to Catherine wydarła serce Psiemu Bratu z piersi. Krew tryskała na wszystkie strony. Psi Brat zatoczył się, potknął i upadł na trybuny, przyciskając dłonie do piersi.

Wyciągnął rękę do Niedźwiedziej Panny, prosząc ją, by zwróciła mu serce, ale ona cofnęła się w dół, jeden krok, a potem następny. Za każdym krokiem otaczający ją cień topniał, szczecina kurczyła się, pazury skracały, a oczy opuszczał ogień. Po siódmym kroku znowu stała się Catherine, o trupio bladej, zszokowanej twarzy, z sercem Psiego Brata w dłoni, ale jednak Catherine.

Psi Brat dźwignął się na kolana i złapał za metalową poręcz.

– Catherine, oddaj mi moje serce – powiedział.

Ale ona stała nieruchomo, trzymając serce nad głową. Krew i deszcz spływały po rękawie jej kurtki. Odwróciła się do Jima i spojrzała na niego z rozpaczą.

– Proszę cię, Catherine, oddaj mi moje serce – powtórzył Psi Brat.

– Nie – odezwał się Jim.

Psi Brat powoli zaczął schodzić na dół. Jego skrwawione dłonie przesuwały się po poręczy cal za cal.

– Proszę, Catherine... błagam cię – wymamrotał.

Catherine znowu cofnęła się o krok dalej. Psi Brat rzucił się w jej kierunku, potknął i przewrócił u jej stóp. Leżał z rozrzuconymi ramionami w poprzek ławek, wierzgając konwulsyjnie nogami, a potem znieruchomiał. Krew skapywała ze schodów na trawę. Henry Czarny Orzeł podszedł do Catherine, objął ją ramieniem i przytulił.

– Wybacz mi – powiedział. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi przykro.

– Czy on nie żyje? – zapytała Catherine.

– Jest na wpół człowiekiem, ale i na wpół duchem. Potrafi przeżyć jakiś czas bez serca.

– Wygląda na martwego.

Jim rozejrzał się po stadionie. Widzowie, oszołomieni i wystraszeni, stali w deszczu, wpatrując się w nich z przerażeniem. Z oddali dobiegał dźwięk policyjnych syren. Na boisku zawodnicy tkwili w miejscu jak wmurowani. Psi Brat w dziwacznej pozie leżał na schodach, jego krew skapywała na ziemię pod trybunami.

– Lepiej mi to oddaj – powiedział Jim, wyciągając rękę do Catherine.

W tej samej chwili Psi Brat rzucił się do przodu i złapał Catherine za kostkę. Dziewczyna potknęła się i wpadła na ojca, który również stracił równowagę. Psi Brat podniósł się z wysiłkiem i złapał dziewczynę za ramię, usiłując odebrać jej swoje serce.

– Catherine! – krzyknął Jim, wyciągając ręce. Rzuciła serce do niego. Nadleciało ciągnąc za sobą strugę krwi niczym fajerwerk i wylądowało z miękkim młaśnięciem w jego dłoniach.

Ściskając je mocno, popędził w dół po wilgotnych ławkach, wymijając ogłupiałych widzów.

Niektórzy z nich łapali za poły jego płaszcza, usiłując go zatrzymać.

Psi Brat ruszył za nim wielkimi susami. Obaj ślizgali się i potykali na mokrych deskach, ale Jimowi udało się zachować równowagę. Przebił się przez tłum spanikowanych kibiców, a potem pobiegł przez boisko, lawirując między graczami. Deszcz smagał go po twarzy, buty chlupotały w kałużach.

Myślał już, że jest bezpieczny, jednak kiedy zerknął przez ramię, ujrzał Psiego Brata zaledwie pięć czy sześć jardów w tyle. Jego płuca nadymały się niczym krwawe balony, ale nie ustawał w biegu. W jego żółtych oczach płonęła nienawiść. Jim zrozumiał, że nie da rady przed nim uciec.

– Mo! – zawołał do Mo Newtona. – Łap to i uciekaj!

Rzucił serce, a Mo złapał je, zanim spostrzegł, co łapie.

– Co to jest, człowieku?

– Uciekaj! – krzyknął Jim.

Mo rzucił się do ucieczki, ale Psi Brat był jeszcze szybszy. Ominął Jima, warknął w przelocie „Sukinsyn!” i pognął przez deszcz za Mo. Kiedy Mo dotarł do linii dwudziestu jardów, zaczął zwalniać, i wtedy Psi Brat dopadł go, złapał za koszulkę i rozdarł mu ją na plecach. Mo krzyknął „Ron!” i rzucił serce innemu graczowi, jednemu z half-backów, który złapał je i popędził z nim w stronę linii bramkowej Asuzy.

Dookoła boiska kibice z osłupieniem przypatrywali się Psiemu Bratu ścigającemu Rona Hubbarda. Ron rzucił serce Keithowi Althamowi, a on natychmiast przekazał je kolejnemu graczowi, Denzilowi Greenowi. Denzil uwielbiał futbol i grał dla przyjemności, więc teraz tańczył i obskakiwał Psiego Brata, wymachując jego sercem niczym pucharem.

Psi Brat złapał go za kask i obrócił go do siebie. Denzil cisnął sercem na oślep. Jedynym graczem w pobliżu był Russell Gloach, który złapał je, obejrzał z niesmakiem, a potem pognął przez boisko, rozpryskując na boki błoto.

– Uciekaj, Russell! – zawołał Jim. – Na miłość boską, uciekaj!

Russell biegł ciężkim, miarowym krokiem. Psi Brat doganiał go z każdą sekundą, ciągnąc za sobą rozwiany płaszcz, zaciskając zęby i wykrzywiając twarz. Był już zaledwie trzy jardy za Russellem, gdy chłopiec obejrzał się. Odchylił głowę do tyłu, nabrał powietrza w płuca i przyspieszył. Psi Brat zamierzył się na niego, ale chybił. Russell jeszcze bardziej przyspieszył. Deszcz powoli ustawał, a on pędził przez kałuże, przez linię trzydziestu pięciu jardów, przez linię pięćdziesięciu jardów. Błoto bryzgało mu spod butów. Wszyscy dopingowali go głośno, gwizdząc i klaszcząc, choć większość nie rozumiała, co się dzieje, ani nie widziała dziury ziejącej w piersi Psiego Brata.

Na linii pięćdziesięciu jardów Psi Brat poślizgnął się, potknął i upadł na kolana. Russell

przebiegł przez końcową linię i wykonał krótki triumfalny taniec własnej choreografii. Chmury prawie całkowicie zniknęły, powietrze było parne i ciepłe. Jim podszedł do Psiego Brata i stanął obok niego. Psi Brat chwiał się i wyglądał, jakby miał zaraz się przewrócić. Zdjął swoje żółte okulary i przetarł je, a potem spojrzał na Jima. Na jego twarzy malowała się rezygnacja.

– Cóż, biały człowieku, jednak mnie pokonałeś.

Jim nie odpowiedział. W ich stronę szło trzech policjantów, więc dał im znak, by się nie zbliżali.

– Może powinienem był zrozumieć, że czasy się zmieniły – powiedział Psi Brat, spluwając krwią na ziemię. – Może powinienem był zrozumieć, że na świecie nie ma już miejsca dla takich jak ja.

– Chcesz wzbudzić we mnie współczucie? Przez ciebie zginął niewinny chłopak... utraciłem też kobietę, którą kochałem. John Trzy Imiona również nie zasługiwał na śmierć.

– Gdybym tylko dostał z powrotem moje serce... – wymamrotał Psi Brat.

– Nie oddam ci go. Twoje dni na tym świecie są policzone, Coyote.

– Przypominam ci, że posiadam władzę nad śmiercią. Owszem, zabrałem życie paru ludziom. Ale to, co zostało zabrane, może zostać zwrócone.

– O czym ty mówisz?

– O układzie, biały człowieku. O odzyskaniu mojego serca.

– Chcesz mi powiedzieć, że możesz przywrócić tych ludzi do życia? O czym ty mówisz?

Mojej dziewczynie urwano głowę i spalono jej ciało. Została złożona ci w ofierze.

– A czymże jest ofiara? Prezentem, i tyle. A prezenty zawsze mogą zostać zwrócone.

– Nie wierzę ci.

Psi Brat pochylił głowę i splunął krwią.

– Masz do tego prawo. Ale czyż nie byłoby wspaniale, gdyby to była prawda?

Jim milczał przez długą chwilę. Rozejrzał się po stadionie. Zaniepokojeni widzowie krążyli nerwowo po trybunach, a gracze obu zespołów spoglądali na niego zdumieni. Chmury rozeszły się i wyjrzało zza nich słońce.

– Jeżeli zwrócę ci serce – powiedział – musisz obiecać mi, że zostawisz w spokoju Catherine Biały Ptak, raz na zawsze, i wrócisz do Fort Defiance. A jeśli chcesz mieć żonę, musisz znaleźć sobie dziewczynę Navajo, która naprawdę cię zechce. Jeżeli znowu zaczniesz się kręcić przy Catherine Biały Ptak, dopadnę cię, a wtedy pożałujesz, że się urodziłeś.

Psi Brat pokiwał głową.

– Proszę się nie martwić, panie Rook. Już jej więcej nie tknę.

Jim dał znak Russellowi, by przyniósł mu serce.

– Zasługujesz na medal – powiedział, a potem podał serce Psiemu Bratu, który obejrzał je uważnie i wepchnął sobie w pierś, jak człowiek chowający portfel do kieszeni. Przesunął dłońmi po ciele, kości połączyły się ze sobą z cichym chrzęstem, a ranę pokryła skóra.

– Powinienem zrozumieć, że czasy się zmieniły – powiedział wstając. – Wielu z nas zginęło, ale to było dawno temu, przynajmniej z ludzkiego punktu widzenia. Może nadeszła już pora, by o tym zapomnieć. – Dotknął gwizdka, który zwisał Jimowi z szyi. – Jeżeli będziesz potrzebował kiedyś wsparcia, dmuchnij w to.

W tym momencie podeszła do nich Catherine Biały Ptak, a za nią Henry Czarny Orzeł.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować – powiedziała.

– Zaczynj od wybaczenia swemu ojcu – odparł Jim. – A potem zapracuj na najlepsze oceny z angielskiego.

Obrócił się, by powiedzieć coś Psiemu Bratu, lecz jego już nie było. Słońce świeciło nad wilgotnym boiskiem, w powietrzu ostro pachniało ozonem.

Catherine wzięła Jima za rękę i razem wrócili do szkoły. Była cała mokra, jej włosy

pozlepiały się w strąki, jednak wcale nie ujęło jej to urody.

– Chodzi pan na randki z uczennicami? – zapytała, ściskając jego dłoń.

Jim uśmiechnął się do niej i odpowiedział podobnym uściskiem.

– Nie – odparł. – Nigdy.

Tego samego wieczoru w kostnicy w West Grove ciało Martina Amato, kapitana drużyny futbolowej, wyprężyło się nagle i zadygotało. W innej kostnicy, w Windo w Rock w Arizonie, ciało Johna Trzy Imiona, indiańskiego dziennikarza, wydało z siebie głęboki jęk.

Za motelem Navajo Nation Inn wiatr utworzył niewielką trąbę powietrzną i zapłonęły drobne błękitne ogniki. W powietrzu zawirował kurz i popiół, a potem z ziemi wyłoniła się kobieca ręka.